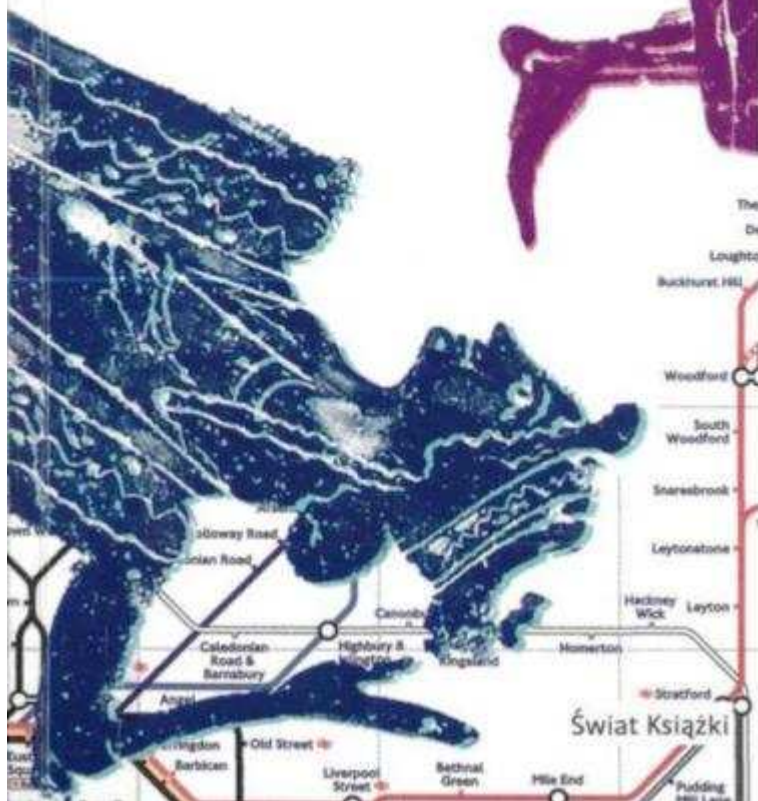


Marie Phillips

niegrzeczni bogowie



Pierwsza powieść Marie Phillips jest radosną wariacją na prosty i zabawny temat. Ta oryginalna, niezmiernie błyskotliwa książka w subtelny sposób skłania nas do przemyśleń nad współczesną moralnością. Nie tylko wywoła wazs śmiech i wprawi w miły, ciepły nastrój, ale dostarczy też solidnej dawki wiedzy na temat greckiej mitologii.

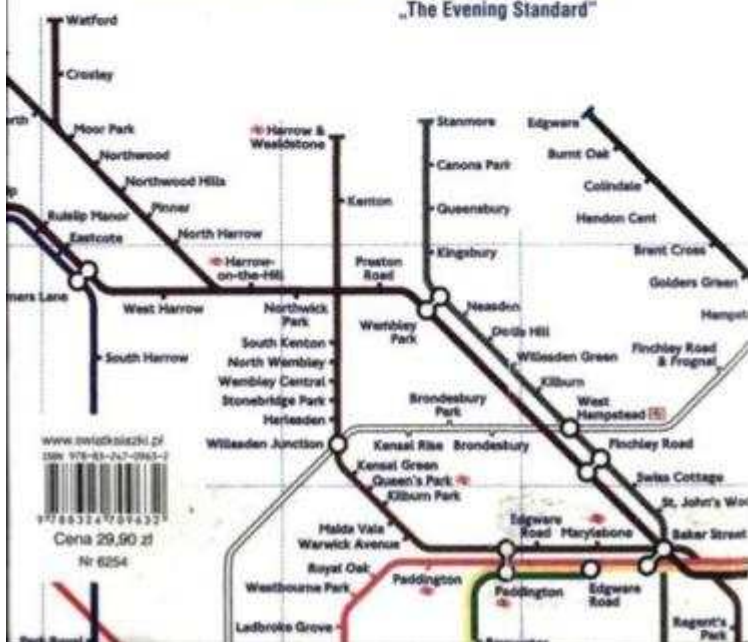
„The Independent”

Ta bardzo śmieszna książka rzuca na czytelnika urok i prowokuje.

„The Times”

Niegrzecznych bogów uznano za najmłodniejszą książkę lata. To jedna z tych rzadkich, pełnych uroku, na wskroś oryginalnych powieści, które zadowolają zarówno umysł, jak i serce.

„The Evening Standard”



Marie Phillips

niegrzeczni
bogowie




Świat Książki

Tytuł oryginału

GODS BEHAVING BADLY

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja

Helena Klimek

Redakcja techniczna

Julita Czachorowska

Korekta

Bożenna Burzyńska

Elżbieta Jaroszuk

Copyright © Marie Phillips 2007

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Bertelsmann Media sp. z o.o.

Warszawa 2009

Świat Książki

Warszawa 2009

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosola 10

02-786 Warszawa

Skład i łamanie *Piotr Trzebiecki*

Druk i oprawa GGP Media GmbH, Pörsneck

ISBN 978-83-247-0963-2 Nr 6254

Poświęcam rodzicom



1

Pewnego ranka podczas spaceru z psami Artemida zobaczyła drzewo w miejscu, gdzie żadnego drzewa być nie powinno.

Stało samotnie na osłoniętej części zbocza. Dla niewprawnego oka zwykłego przechodnia zapewne wyglądało jak zwyczajne drzewo. Ale oko Artemidy nie należało do niewprawnych. Ponadto przebiegała tę część Hampstead Heath codziennie. To drzewo było nowe: wczoraj tu nie rosło. I wystarczyło jedno spojrzenie, by Artemida dostrzegła, że jest to zupełnie nowy gatunek, gatunek, który jeszcze poprzedniego dnia nie istniał. To drzewo w ogóle nie miało racji bytu.

Ciągnąc za sobą kundle, Artemida skierowała się ku niemu. Dotknęła jego kory i poczuła, jak oddycha. Przycisnęła ucho do pnia, by posłuchać bicia serca. Potem rozejrzała się wokół. Dobrze: jest wcześnie, nikogo w zasięgu głosu. Powiedziała sobie, że nie powinna złościć się na drzewo, że to nie jego wina. Potem przemówiła.

- Cześć - powiedziała.

Zapadła długa cisza.

- Cześć - powtórzyła Artemida.

- Mówisz do mnie? - zapytało drzewo. Miało z lekka australijski akcent.

- Tak - powiedziała Artemida. - Jestem Artemida. - Drzewo nie dało po sobie poznać, aby mu to cokolwiek mówiło. - Bogini łowów i czystości - dodała Artemida.

Cisza. Potem drzewo rzekło:

- Jestem Kate. Pracuję w fuzjach i przejęciach w Goldman Sachs.

- Wiesz, co się z tobą stało, Kate?

Jeszcze dłuższa cisza. Artemida właśnie miała powtórzyć pytanie, kiedy drzewo odpowiedziało:

- Myślę, że zamieniłam się w drzewo.

- Tak - potwierdziła Artemida. - Owszem.

- Dzięki Bogu - powiedziało drzewo. - Myślałam, że zwariowałam.

- Potem drzewo najwyraźniej ponownie przemyślało swoją sytuację. - Właściwie - odezwało się - chyba wolałabym być wariatką. - Po czym dodało z nadzieją w głosie: - Jesteś pewna, że nie zwariowałam?

- Najzupełniej. Jesteś drzewem. Eukaliptusem. Odmianą skrubu.

O różnobarwnych liściach.

- Och - westchnęło drzewo.

- Przykro mi - powiedziała Artemida.

- Ale mam różnobarwne liście?

- Tak. Zielone i żółte.

Drzewo wyglądało na zadowolone.

- No cóż, dobre i to.

- Rzeczywiście - przyznała Artemida.

- A więc - powiedziało drzewo swobodniejszym tonem - jesteś boginią łowów i czystości?

- Tak - odparła Artemida. - A także księżycy i kilku innych rzeczy.

Artemida - dodała z naciskiem. Wciąż bolało ją, gdy śmiertelnicy nie kojarzyli jej imienia.

- Nie wiedziałam, że istnieje bogini łowów, czystości i księżycy - wyznało drzewo. - Myślałam, że jest tylko jeden Bóg. Wszystkiego. A właściwie, jeśli mam być szczerą, sądziłam, że Boga w ogóle nie ma. Bez urazy.

- Drobiazg - odparła Artemida. - Wolę niewierzących niż heretyków.

- Muszę jednak powiedzieć, że niespecjalnie wyglądasz na boginię - dodało drzewo.

- A jak niby ma wyglądać bogini? - zapytała ostrym tonem Artemida.

- Nie wiem - odparło drzewo trochę nerwowo. - Nie powinnaś być ubrana w togę czy coś takiego? Albo nosić wieniec laurowy?

- Chodzi ci o to, że nie powinnam chodzić w dresie - stwierdziła Artemida.

- W zasadzie tak - przyznało drzewo.

- Czasy się zmieniają - powiedziała Artemida. - Ty na przykład nie wyglądasz w tej chwili na kogoś, kto pracuje w fuzjach i przejęciach w Goldman Sachs. - Jej ton wskazywał, że temat stroju został zamknięty.

- Wciąż nie mogę się nadziwić, że jesteś boginią - odezwało się po chwili drzewo. - No, no. Jeszcze wczoraj bym w to nie uwierzyła. A dzisiaj... - Drzewo niemal niezauważalnie wzruszyło konarami, szeszcząc liśćmi. Potem się przez chwilę zastanawiało. - Skoro jesteś boginią, czy to znaczy, że możesz zamienić mnie z powrotem w człowieka? - zapytało.

Artemida spodziewała się tego pytania.

- Przykro mi - odparła - ale nie mogę.

- Dlaczego nie? - zapytało drzewo.

Było tak przygnębione, że Artemida nie potrafiła udzielić mu przygotowanej wcześniej odpowiedzi: „Bo nie chcę”.

- Żaden bóg nie może cofnąć tego, co uczynił inny - powiedziała zamiast tego, ku własnemu zaskoczeniu. Nie cierpiała przyznawać się do jakiegokolwiek słabości, zwłaszcza śmiertelnikowi.

- Chcesz powiedzieć, że tamten facet też był bogiem? Ten, który... to zrobił. Cóż, w sumie teraz to jasne. Miałam nadzieję, że to może hipnotyzer.

- Nie, to bóg - odparła Artemida.

- Eee - odezwało się drzewo. - Mogłabyś zrobić coś z tym rudym seterem? Nie bardzo mi się podoba, jak koło mnie węszy.

Artemida odciągnęła durnego zwierzaka.

- Przepraszam - powiedziała. - No więc co się właściwie wydarzyło?

- Spacerowałam sobie wczoraj, kiedy zagadał do mnie ten gość...

- Wysoki? - zapytała Artemida. - Blondyn? Prawie niemożliwie przystojny?

- Tak, to właśnie on - odparło drzewo.

- Co powiedział? - spytała Artemida.

Kora lekko się przemieściła, jakby drzewo się skrzywiło.

- Ja, eee...

- Co powiedział? - powtórzyła Artemida z rozkazującą nutką w głosie.

- Powiedział: „Cześć. Chcesz mi zrobić laskę?”.

Laskę. Dlaczego ludzie robią sobie takie rzeczy? Artemidę ogarnęły mdłości.

- Odparłam, że nie - ciągnęło dalej - a ona na to: „Na pewno nie chcesz? Bo wyglądasz mi na taką, co jest w tym dobra, i myślę, że to by ci się naprawdę spodobało”.

- Bardzo mi przykro - rzekła Artemida - z powodu mojego brata.

Gdyby to ode mnie zależało, nie wypuszczano by go bez nadzoru.

- To twój brat?

- Bliźniak... niestety.

- Cóż, tak czy owak, po prostu odeszłam, a on ruszył za mną, i trochę się przestraszyłam, i zaczęłam biec, a potem, zanim się spostrzegłam... wyglądałam tak.

Artemida pokręciła głową.

- To nie pierwszy raz - powiedziała. - Bądź pewna, że porozmawiam z nim o tym.

- A wtedy on zamieni mnie z powrotem?

- Oczywiście - skłamała Artemida.

- W takim razie nie ma potrzeby zawiadamiać mojej rodziny - stwierdziło drzewo. - Dobrze. Powinnam natomiast chyba zadzwonić do pracy i powiedzieć, że jestem chora. Nie mogę przecież pójść w tym stanie. Miałam przy sobie komórkę; powinna gdzieś tu leżeć. Mogłabyś wybrać numer mojego szefa i przytrzymać mi telefon przy pniu?

- Obawiam się, że śmiertelnicy nie zrozumieją cię - powiedziała Artemida. - Tylko bogowie. I inna roślinność. Nie próbowałabym jednak rozmawiać z trawą. Nie jest zbyt bystra.

- Och - odparło drzewo. - No dobra. - Artemida dała mu czas na przyswojenie tej informacji. - Czemu nie martwi mnie to bardziej? - zapytało w końcu. - Gdybyś mi wczoraj powiedziała, że zostanę zamieniona w drzewo, na pewno bardzo bym się zdenerwowała.

- Jesteś teraz drzewem, nie śmiertelną istotą ludzką - wyjaśniła Artemida. - Tak naprawdę nie masz już uczuć. Myślę, że teraz będziesz znacznie szczęśliwsza. I dłużej pożyjesz, no chyba że zrobi się bardzo wietrznie.

- Tyle tylko, że twój brat mnie odmieni.
- Oczywiście - zapewniła Artemida. - No dobra, czas na mnie. Muszę odprowadzić psy z powrotem do... moich przyjaciół.
- Miło było cię poznać - powiedziało drzewo.
- Ciebie też - odparła Artemida. - No to pa. Do zobaczenia wkrótce. Może.

Zanim jeszcze zdążyła się odwrócić, przyjemny wyraz ulotnił się z jej twarzy. Psy, zobaczywszy jej minę, zaskomlały chórem. Ale one nie miały się czego obawiać. Pora wrócić do domu i odszukać Apollina.

2

Był taki czas, pomyślał Apollo, wykonując rytmiczne pchnięcia, kiedy potajemnie dymano z Afrodytą w łazience wprawiloby go w podniecenie. Przyjrzał się jej uważnie, gdy odsunęła się od niego i trzymając jedną drobną stopę na poplamionym rezerwuarze, oparła się o ścianę oblażącą z farby; jej paznokcie stanowiły tu jedyną powierzchnię równo pociągniętą kolorem. Była cudowna. Nie mógł zaprzeczyć. To po prostu najpiękniejsza „kobieta”, jaka kiedykolwiek „żyła”, chociaż Helena ze swoją wabiącą statki buźką okazała się dla niej trudnym przeciwnikiem. Oczy (pchnięcie), włosy (pchnięcie), usta (pchnięcie), skóra (pchnięcie), piersi (pchnięcie), nogi (pchnięcie) - nie mógł jej niczego zarzucić. No ale cóż to za sukces. Jest w końcu boginią piękna. Jednakże, pomyślał Apollo, pomijając całą tę wspaniałość, czy musi wyglądać na tak... cóż... znudzoną? Fakt, Apollo sam był tak znudzony Afrodytą, że chciało mu się krzyczeć. Jego duma nie pozwalała jednak, by ona czuła to samo.

- No dobra. Odwracam się - oświadczyła Afrodyta.
- W porządku - powiedział Apollo. Przynajmniej nie będzie musiał dłużej oglądać tej biernej, obojętnej twarzy.

Afrodyta odłączyła się od niego i odwróciła do ściany. Wygięła plecy w łuk, wypięła się na bratanka dwiema nieskazitelnymi alabastrowymi krągłościami pośladków, wspierając o ścianę smukłe, zgrabne dłonie. Apollo wsunął się w nią ponownie i wrócił do pchnięć. Patrząc na tył jej głowy, na lśniące czarne włosy opadające falami na alabastrowe ramiona, mógł sobie niemal wyobrazić, że pieprzy się z Catherine Zeta Jones. Zastanawiał się, czy zdołałby przekonać Afrodytę, żeby mówiła do niego po walijsku. Potrzebował jakiegoś urozmaicenia. Cokolwiek, byleby to urozmaicić.

Apollo nie chciał tu dłużej tkwić. W Afrodycie, w tej łazience, w tym domu, w tym życiu. Miał dosyć Londynu. Rodzina przeprowadziła się tu w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym roku, kiedy zaraza trzymała ceny nieruchomości na najniższym poziomie, a tuż przed tym, jak zniszczenia spowodowane wielkim pożarem znów wywinowały je w górę. Był to typowy przykład sprytnej operacji finansowej jego siostry Ateny. Apollo już wtedy przewidział, że nigdy nie będą mogli sprzedać domu, który tak chytrze zakupili, i próbował ostrzec resztę rodziny, ale oni go nie słuchali. Prawda - wszyscy wiedzieli, że zdarzało mu się kłamać w swoich przepowiedniach, by osiągnąć własne cele, i wszyscy zdawali sobie sprawę, że wcale nie chce przeprowadzać się do Londynu, ale przecież tym razem miał rację i był o tym przekonany od początku. Problem polegał na tym, że zakupili tę nieruchomość na Zeusa. Ale nawet Apollo nie mógł przewidzieć, co stanie się z Zeusem.

- Zastanawiam się nad zmianą wystroju mojej sypialni - odezwała się Afrodyta, zakłócając bieg jego myśli.

- Znowu? - zapytał Apollo.

- Zmiana dobrze by mi zrobiła - odparła Afrodyta. - Jestem pewna, że Hefuś nie będzie miał nic przeciwko.

Hefuś, czyli Hefajstos, bóg kowali i mąż Afrodyty, tak szkaradny, jak ona piękna. Przez pozostałych członków rodziny traktowany z pogardą, niemniej jednak zajmował się wszystkimi naprawami i odnawianiem domu. Jako że mieszkali tu ponad trzysta lat - miał co robić. Zdaniem Apollina, mógłby poświęcać więcej czasu na takie zadania jak załatanie tej wilgotnej, niszczonej, przeciekającej łazienki, służącej wszystkim mieszkańcom, a mniej na wzbogacanie swojej sypialni o nowe luksusy zawsze, kiedy Afrodyta ma kolejną ze swoich coraz częstszych zachcianek.

- Co zamierzasz zrobić tym razem? - zapytał. - Więcej listków złota? Zawieszysz diamenty na żyrandolu? Pozbędziesz się wreszcie róż?

Afrodyta spojrzała na niego ostro przez ramię. Nawet to gniewne spojrzenie było obliczone na porażanie seksapilem.

- Nie ma nic złego w różach - warknęła. - Nie, pomyślałam tylko, żeby znowu zamienić czerwone na różowe. - Odwróciła się z powrotem twarzą do ściany, złapała przechodzącego obok karalucha i rozgniotła go między kciukiem a palcem wskazującym. - Rób to wolniej - powiedziała.

Apollo posłusznie zmienił rytm. Pomyślał o tysiącu tysięcy lat spędzonych z Afrodytą, minionych i tych, które nadejdą - i to był najlepszy z możliwych scenariuszy. A ona jest zawsze taka sama. Zawsze, zawsze. Ale seks z Afrodytą był lepszy niż żaden. A nikt inny z rodziny nie zgodziłby się z nim przespać. Gdyby tylko znalazł sobie porządną śmiertelniczkę, kogoś takiego jak jego dawne kochanki w Grecji czy Rzymie, które otaczały wciąż jego i wszystko, co robił... Ale nie pozwoliłby myślom wędrować ku tym wspomnieniom. To zbyt dołujące.

W tamtych czasach, które teraz zmuszeni są określać mianem p.n.e., wszystko było znacznie łatwiejsze.

Rozległo się pukanie do drzwi, charakterystyczny pomruk i dudnienie, niczym wybuch bomb zrzuconych gdzieś daleko stąd. To mógł być tylko Ares: bóg wojny, brat przyrodni Apollina i jego współlokator, a także, co irytujące, ulubiony kochanek Afrodyty. Apollo zamarł w połowie pchnięcia.

- Moglibyście się tam pośpieszyć? - dobiegł ich głos Aresa. - Mam dziś prezentację „Jak rozpętać wojnę” i muszę się ogolić.

- Spieprzaj - krzyknął Apollo i wrócił do przerwanej czynności. - Byłem tu pierwszy, więc będziesz musiał zaczekać.

- Och, wpuść go - odezwała się spod niego Afrodyta, przeciągając samogłoski. - Niech się do nas przyłączy. Będzie fajnie.

- Nie słyszałaś? - zapytał Apollo. - On wychodzi. Nie ma dla ciebie czasu.

- Każdy ma dla mnie czas - oświadczyła Afrodyta.

To niemal na pewno prawda. Ale Apollo nie odczuwał najmniejszej potrzeby, by dać się seksualnie zdeklasować bratu.

- W tej łazience panuje zasada „kto pierwszy, ten lepszy” - oświadczył półgębkiem. - Jeśli Aresowi się to nie podoba, niech namówi Hefajstosa, żeby zbudował mu inną. Najwyższy czas, do cholery. A twoja pieprzona tapeta może zaczekać.

- Dobra, skończyłam. - Afrodyta osiągnęła szybki i satysfakcjonujący orgazm, po czym usunęła z siebie Apollina.

- Ale ja nie doszedłem! - zaprotestował Apollo.

- Cóż, trzeba było być dla mnie miłszym.

Afrodyta weszła do popękanej emaliowanej wanny i odkręciła kurek od prysznicza, podczas gdy Apollo patrzył, jak jego nabrzmienie zanika. Pokuśtykał do zlewu i spryskał genitalia zimną wodą. Afrodyta nie ma dla niego szacunku. Zerkając na siebie w porośniętym pleśnią lustrze, zaczął się zastanawiać, czy miałaby o nim lepsze zdanie, gdyby zrobił sobie tatuaż.

- Nie wierzę - odezwała się Afrodyta.

- Tak tylko pomyślałem - odparł Apollo. - W gruncie rzeczy wcale nie zamierzałem...

Afrodyta weszła mu w słowo.

- Nie ma ciepłej wody. Znowu!

Pomaszerowała do drzwi, otworzyła je i wystawiła głowę na ciemny, pusty korytarz.

- Kto zużył całą gorącą wodę? - wrzasnęła. Brak odpowiedzi. Cofnęła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. - Nienawidzę tej rodziny - oświadczyła.

- I nawzajem - powiedział Apollo.

Afrodyta odwróciła się gwałtownie. Apollo się spodziewał, że odgryzie mu głowę - może dosłownie - a tymczasem, niespodziewanie, na twarz wypłynął jej jeden z najmiłszych uśmiechów - jak suchy ląd dla rozbitka, jak woda na pustyni, zarezerwowany tylko na najbardziej wyjątkowe okazje, albo, co jeszcze rzadsze, na chwile, gdy jest naprawdę szczęśliwa. Doskonaliła go przez wieki, by nie sposób było mu się oprzeć. Chce czegoś, zrodziła się w głowie Apollina myśl, powoli i opornie, ale słowa te nie chciały nabrać znaczenia.

- Apollinie, kochany - powiedziała Afrodyta, a jej oczy nagle rozblęskły nieklamany ciepłem. - Wziąwszy pod uwagę, że właśnie spędziliśmy ze sobą tak urocze chwile, czy nie mógłbyś użyć ociupinki swojej mocy i podgrzać dla mnie odrobinę wody? Tylko na szybciutki prysznic? Przez ciebie jestem taka... - przesunęła delikatnym

palcem po zagłębieniu między piersiami - ... spocona.

Apollo zamrugał dwukrotnie i przełknął ślinę. Powiedział swojemu penisowi stanowczo, aby nie śmiał drgnąć. Począł, aż będzie zupełnie pewny, że jego ciało i twarz podporządkują się mózgowi, po czym odpowiedział z całą nonszalancją, na jaką mógł się zdobyć.

- Przykro mi, ale nie.

- Proszę, kochanie - powiedziała Afrodyta. - Zrobiłabym to sama, ale mnie wyczerpałeś. Możesz się do mnie jeszcze przyłączyć, jeśli chcesz... - podeszła bliżej, patrząc na niego spod wywiniętej czerni rzes.

Apollo utkwiał wzrok w podłódze.

- Odpowiedź wciąż brzmi nie - odparł z trudem. - Jeśli chcesz gorącej wody, użyj własnej mocy.

- Jak sobie, kurwa, chcesz - powiedziała Afrodyta, a uśmiech zastąpił jej na twarzy jak martwa ryba w galarecie; weszła pod lodowaty strumień, zaciągając za sobą zasłonę z ostrym dźwiękiem przypominającym grzechotanie węża.

Apollo wiedział, że to była błędna decyzja. W domu mawiano, że wzgardzona Afrodyta jest gorsza od diabła. Jednakże, co dziwne, czuł się nieco podniesiony na duchu. Jej zemsta będzie szybka i bez wątpienia zabójcza, ale przynajmniej pozwoli też zabić trochę czasu.

3

Kiedy Artemida odprowadziła wszystkie psy do ich nie wdzięcznych właścicieli i przyjęła śmiechu wartą zapłatę, nie wróciła do parku, by upolować kilka wiewiórek, jak miała w zwyczaju, lecz ruszyła prosto do domu.

Zatrzymała się przed drzwiami wejściowymi. Niegdyś błyszcząca czarna farba odłaziła długimi postrzępionymi pasmami, a kołatka w kształcie wieńca laurowego tak zmatowiała, że nie sposób było stwierdzić, z jakiego metalu została zrobiona. Artemida, nim weszła do środka, zawsze odczekiwała kilka chwil na progu, aby zostawić za sobą pogardliwy świat i odzyskać właściwą rangę. A także dlatego, że to ostatnia chwila ciszy i spokoju, jaka będzie jej dana w najbliższym czasie.

Tym razem, nim jeszcze otworzyła drzwi, poczuła słoniowaty tupot ciężkich uderzeń rozlegający się w jej klatce piersiowej. Wdarła się do środka i pod potężną falą muzyki przebiła się przez przedpokój do kuchni na tyłach domu. Jej przyrodni brat Dionizos ustawił swoje deki na stole kuchennym. Obok niego na podłodze leżała sterta płyt, a przed nim stała pusta butelka po winie i druga, w której też niewiele już zostało. Dionizos był akurat przy przejściu do kolejnego nagrania; miał na uszach słuchawki, a jego kozia twarz promieniała błogim uśmiechem. Za nim wrzeszczała Atena. Ledwo ją było słycać przez muzykę.

- Czy nie masz ani odrobiny zrozumienia obowiązków, które inni mieszkańcy tego domostwa wypełniają o tej godzinie? - darła się. - Pracuję nad przełomową inicjatywą naukową w pomieszczeniach mieszkalnych na piętrze! Poziom hałasu, jaki wytwarzasz, czyni moje zadanie niewykonalnym! Zaryzykuję twierdzenie, że ten twój tak zwany hedonizm to zwykła przykrywka dla głębokiego egoizmu! - Atena była tak poruszona, że okulary zaszyły jej parą. W gruncie rzeczy nie potrzebowała okularów, ale nosiła je, by podkreślić swoją mądrość.

- Czy widział ktoś Apollina? - zapytała Artemida.

Dionizos nie przestawał miksować (a może skreczować - Artemida

nie wiedziała, czym to się różni). Atena nie przestawała wrzeszczeć.

- Ja nie prowadzę moich badań jedynie dla przyjemności! One służą dobru całej boskiej społeczności! Także twojemu, ty zaprawiony płacie koziego mięsa!

Artemida zostawiła ich i posurfowała na fali beatów z powrotem przez przedpokój do salonu w przedniej części domu. Wszystkie kanapy i krzesła były podarte lub połamane, więc Ares siedział na poduszce przed kiwającym się niskim stolikiem, na którym rozłożył swoje mapy i wykresy. Z suwmiarką w rękę i zmarszczonym czołem, wyglądał, jakby wykonywał jakieś skomplikowane obliczenia. Kiedy pojawiła się Artemida, nawet nie podniósł wzroku.

- Musisz się ogolić - powiedziała Artemida, stając w drzwiach.

- Mhm - odparł Ares, nie odwracając głowy. - Ta Wojna z Terrorem nie przynosi wystarczającej liczby ofiar śmiertelnych. Najwyraźniej konieczne jest włączenie Iranu, ale myślę, że brak mu jeszcze koniecznej siły ognia. Zastanawiam się, czy mógłbym jakoś zantagonizować Japonię.

- Widziałeś Apollina? - zapytała Artemida.

- Łazienka - odrzekł Ares. - Powiedz mu, żeby się pośpieszył. Muszę się ogolić.

- Przecież mówię.

- Zawsze są jeszcze Rosjanie - stwierdził Ares - ale od zakończenia zimnej wojny znacznie trudniej ich sprowokować. Dlaczego śmiertelnicy są tak przywiązani do pokoju? - Przekartkował swoje papiery. - A może nadszedł czas, by rozszerzyć skalę paru afrykańskich wojen domowych?

Artemida zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła na pierwsze piętro, gdzie Hefajstos urządził łazienkę w pomieszczeniu, w którym wcześniej znajdował się gabinet Ateny.

Atena nie przyjęła tej decyzji zbyt dobrze. Artemida nie zapukała. Po prostu otworzyła drzwi kopnięciem i wparowała do środka.

Nagi Apollo siedział na toalecie na szczęście ze skrzyżowanymi nogami i malował sobie paznokcie bezbarwnym lakierem. Zanim jednak Artemida zdążyła się odezwać, zasłona od prysznica została gwałtownie odsunięta i spoza niej ukazała się Afrodyta. Miała skórę lśniąca od wody i jadowity uśmiech na twarzy.

- Zamknij drzwi, dobra? - powiedziała. - Robi się okropny przeciąg. Patrz, jak mi sutki sterczą. - Ścisnęła jeden między palcami, jakby sprawdzała dojrzałość wisienki.

Artemida nie połknęła haczyka. Wiedziała, że Afrodyta uwielbia ją szokować. Ściągnęła ręcznik z drążka i rzuciła go ciotce.

- To się owiń - powiedziała.

Afrodyta złapała ręcznik i owinęła sobie nim włosy. Artemida przeniosła uwagę na brata bliźniaka.

- Chcę z tobą pogadać - oświadczyła. - Czy to dobry moment?

- Nie - odparł Apollo.

- Świetnie - powiedziała Artemida. - Biegałam dzisiaj po Heath i zgadnij, na co się natknęłam.

- Na dwóch facetów, którzy posuwali się w krzakach? - rzuciła Afrodyta, przysiadając na brzegu wanny.

Artemida zapanowała nad dreszczem.

- Nie przypominam sobie, żebym ci proponowała, byś się przyłączyła do rozmowy - powiedziała.

- Nie proponowałaś.

- Apollinie - zwróciła się do brata. - Masz jakiś pomysł?

- Ni cholery - stwierdził Apollo, ale trochę przybladł. Wiedział, co się święci, i miał szczerą nadzieję, że się myli.

- Pozwól, że odświeżę ci pamięć - powiedziała Artemida. - Czy imię Kate coś ci mówi?

Apollo był autentycznie zaskoczony.

- Nie, nic mi nie mówi - odparł.

- Cały ty - stwierdziła Artemida. - Tym gorzej. Kate to australijska śmiertelniczka, którą wczoraj zamieniłeś w drzewo.

Błada dotąd twarz Apollina zrobiła się biała. Wyglądał jak własny posąg.

- Co zrobiłeś? - zapytała Afrodyta, podnosząc się z miejsca, o ile to możliwe, jeszcze bardziej wściekła niż Artemida.

- Ja... - zaczął Apollo. - Ja...

- Nie chciałeś podgrzać dla mnie głupiej szklanki wody, ale bez skrupułów zmarnowałeś litry swojej mocy, by przeobrazić durną zdzirowatą śmiertelniczkę?

- Nie była zdzirą - powiedziała Artemida. - A przynajmniej nie w stosunku do niego. Myślę, że właśnie o to poszło.

Artemida i Afrodyta zaśmiały się porozumiewawczo, co nie zdarzało im się często. Dla Apollina tego było już za wiele. Zerwał się na równe nogi.

- To nie wasza sprawa, co robię ze swoją mocą!

- Rzecz w tym, że nasza - odezwała się Artemida. - Każdego z nas. - Podeszła do okna i podciągnęła roletę. - Czy słońce dziś wzeszło? - wyjrzała, mrużąc oczy. - Chyba tak. Masz szczęście. - Zaciągnęła roletę i odwróciła się. - Ale czy wzeszło o właściwej porze, czy też może troszkę się spóźniło? Czy świeci tak jasno jak zwykle? Czy jest tak ciepło jak powinno? Nie byłabym taka pewna. Może słońce słabnie. Może gaśnie. Dlatego że bóg, który ma być za nie odpowiedzialny, woli marnować resztki mocy na tworzenie człekopodobnych odmian eukaliptusa, niż wykonywać swoją pracę.

- Nie bądź hipokrytką - odparował Apollo. - Spójrz na siebie. Wiesz, że właśnie zakazano w tym kraju polowań. A czystość? Cóż za przestarzałe pojęcie. Nie wydaje mi się, żebyś ty wykorzystywała swoją moc właściwie. A może jej już w ogóle nie masz?

- To nie fair - powiedziała Artemida, prosząc wzrokiem Afrodytę o wsparcie.

- Dwa słowa, Apollo - zwróciła się do bratanka Afrodyta. - Globalne ocieplenie.

- A ty nie zaczynaj - odparował Apollo, odwracając się w jej stronę. - Bogini piękności? Z tym niby wszystko w porządku, tak? Nie widzisz, że świat opanowuje właśnie epidemia otyłości? Nazywasz to pięknem?

- Różnica między nami - powiedziała Artemida - polega na tym, że my obie nie marnujemy rozmyślnie naszej mocy na niepotrzebne procedury tylko dlatego, że jakaś śmiertelniczka nie pozwala nam... nie pozwala nam...

- Sobie wsadzić - dokończyła uczynnie Afrodyta.

- Chcesz powiedzieć, że nie dajecie się przyłapać - stwierdził Apollo.

- Teraz - ciągnęła Artemida, ignorując jego uwagę - złożysz przysięgę, że już nigdy nie zrobisz czegoś takiego. Koniec z trwonieniem mocy na zamienianie śmiertelników w drzewa i tym podobne.

- Przysięgę na Styks - dodała Afrodyta.

Przysięgi złożone na rzekę Styks były dla bogów absolutnie wiążące, dlatego tak nienawidzili ich składać.

- To nie w porządku - zaprotestował Apollo. - Nie macie prawa zmuszać mnie do złożenia przysięgi. Nie zrobię tego.

- Dobra - powiedziała Artemida. - Zaraz zawołam tu resztę rodziny i poinformuję, co zrobiłeś. Wtedy demokratycznie podejmiemy

decyzję, jak to załatwić. Jeśli rzeczywiście uważasz, że ich werdykt będzie dla ciebie korzystniejszy...

- Nie, nie - przerwał jej Apollo - nie rób tego. Naprawdę nie ma potrzeby, żeby inni o tym wiedzieli.

- W takim razie złóż przysięgę - zażądała Artemida.

- Poczekaj, nie - powiedział Apollo. - To bez sensu, nie możesz tak po prostu żądać ode mnie takiej przysięgi. Nikt z nas nie wie, co wydarzy się w przyszłości.

- Nawet ty? - zapytała Afrodyta.

- Atena może wymyślić coś, co znowu uczyni nas potężnymi - ciągnął dalej Apollo. - A po co być potężnym, jeśli nie można robić tego, na co ma się ochotę?

Artemida pokręciła głową.

- Dopóki Atena nie znajdzie sposobu na cofnięcie czasu, dysponujemy tylko taką mocą, jaką mamy teraz, a kiedy i ona się wyczerpie...

Obok niej piękna twarz Afrodyty poszarzała na tę myśl.

- Spójrz prawdzie w oczy, Apollinie - ciągnęła Artemida. - Starzejemy się. Nie możesz po prostu zmarnotrawić całej swojej energii na głupstwa. Nic ci nie zostanie. A jesteś nam potrzebny. Nie możemy władać światem bez słońca. Musisz z nami współpracować.

- No to będę współpracować - odparł Apollo. Zrobił krok w kierunku drzwi.

- To nie wystarczy - stwierdziła Artemida. - Potrzebuję gwarancji.

- Co oznacza, że musisz przysiąc na Styks - uśmiechnęła się Afrodyta.

Boginie stały między Apollinem a drzwiami. Wiedział, że obie są uparte i w razie potrzeby będą tkwić tam latami.

- No to co mam przysiąc? - zapytał w końcu.

- Artemida zastanowiła się chwilę, po czym oświadczyła z powagą:
- Apollinie, musisz przysiąc na Styks, że nie użyjesz niepotrzebnie swojej mocy, dopóki nasza siła nie zostanie nam zwrócona.
 - Chwileczkę - powiedział Apollo.
 - Co znowu?
 - Tego nie przysięgnę. To zupełnie nieproporcjonalne ograniczenie moich zdolności. Nie wiemy, co Styks uzna za niepotrzebne. To rzeka. Jej niewiele trzeba.
 - Ma trochę racji - przyznała Afrodyta. - Ona tylko płynie.
 - W porządku - stwierdziła Artemida. - Zrobimy tak. Złożysz przysięgę, że nie będziesz używał swojej mocy, by krzywdzić śmiertelników, chyba że odzyskamy dawną potęgę-
 - Nie - powiedział Apollo. - To też nie jest w porządku. Może się zdarzyć, że będę musiał skrzywdzić śmiertelnika. Czasem to potrzebne, wiesz o tym, sama kazałaś rozszarpać mężczyzn na kawałeczki za to, że patrzyli, jak się rozbierasz.
 - Fakt - przyznała Artemida.
 - Poza tym sama powiedziałaś, że możemy nigdy nie odzyskać mocy, a nie wydaje mi się, żebyś miała prawo zmuszać mnie do składania przysięgi, której ważność może się rozciągnąć na wieczność. Ja tylko zamieniłem jedną małą śmiertelniczkę w drzewo. To wszystko lekka przesada. Krzywdzenie śmiertelników jest fajne. Każdy z nas to robił.
 - Wciąż jednak zasługujesz na karę - powiedziała Afrodyta. - Artemido, on musi złożyć jakąś przysięgę.
 - Zgadzam się. - Artemida zastanowiła się głęboko, po czym rzekła: - Dobra. Przysięgniesz, że nie skrzywdzisz niepotrzebnie żadnego

śmiertelnika przed upływem stu lat albo do chwili, gdy odzyskamy moc, zależnie od tego, co nastąpi wcześniej.

- Rok - powiedział Apollo.

- Dziesięć lat - powiedziała Afrodyta.

- Umowa stoi - powiedziała Artemida.

Apollo się naburmuszył, ale wiedział, że nie ma wyjścia.

- Przysięgam, że... - zaczął.

- Na Styks - przypomniała mu Afrodyta.

- Cholera. Przysięgam na Styks, że nie wyrządę śmiertelnikom żadnej niepotrzebnej krzywdy przed upływem dziesięciu lat, albo do czasu, gdy stanę się silniejszy, zależnie od tego, co nastąpi wcześniej. Zadowolona?

- Zadowolona - odparła Artemida.

4

- No i jak ci się podoba? - wyszeptała Alice.

Drzwi były zamknięte i nikt nie mógł ich usłyszeć, ale Alice nigdy nie lubiła mówić głośno, żeby przypadkiem nie ściągnąć na siebie zbytnej uwagi.

- Bardzo tu ładnie - powiedział Neil. - Bardzo porządnie.

Został nagrodzony szerokim uśmiechem, a policzki Alice zaróżowiły się z radości i zakłopotania.

- Kiedy zaczęłam tu pracować, wszędzie panował straszny bałagan - zwierzyła mu się. - Po całym pomieszczeniu wały się środki czyszczące, niektóre butelki były niedokładnie zakręcone. To przecież niebezpieczne. Ze względu na dzieci, na przykład. Albo zwierzaki.

Neil skinął głową. Było mało prawdopodobne, by dzieci bądź zwierzęta znalazły się w zamkniętej kanciapie w studiu telewizyjnym, ale Alice brała pod uwagę każdą ewentualność.

- A mopy i szczotki leżały gdzie popadnie. Gdzie popadnie - powtórzyła Alice, a na jej twarzy pojawił się cień przerażenia. - Teraz mam system, który pozwala mi od razu znaleźć wszystko, czego potrzebuję. Tak jest o wiele efektywniej.

- Mają szczęście, że dla nich pracujesz.

- Och, nie - zaprotestowała Alice, kręcąc energicznie głową. - Nie, nie, skądże znowu.

Neil rozejrzał się po pomieszczeniu - to pomieszczenie czy szafa? Stało tu kilka podstawowych sprzętów i Alice opisała to miejsce jako swoje biuro, ale w rzeczywistości wewnątrz było wąskie, ciemne i ciasne, wypełnione starannie ułożonymi stertami środków czyszczących, posegregowanych pod względem rozmiaru, rodzaju i zastosowania, tak że wyglądało raczej na archiwum muzeum sprzątanania. Powietrze było gęste i przesiąknięte stęchlizną, ale najmniejszy pyłek kurzu nie unosił się wokół żarówki, która wisiałaby niebezpiecznie nisko, gdyby nie fakt, że zarówno Neil, jak i Alice należeli do osób wyjątkowo skromnego wzrostu.

- Pewnie bywa tu ciepło? - zapytał Neil. - Zważywszy, że nie ma okien?

- Och, pozwalają mi wnosić wiatrak - odparła Alice. - Jest pod stołem.

Rzeczywiście, pod stołem stał mały wentylator; wyłączony z kontaktu, owinięty kablem - jak to w lutym, choć nawet teraz robiło się tu nieznośnie duszno. Na stole Neil zauważył kolekcję małych porcelanowych figurek, które Alice zbiera; taki domowy akcent. Ostatnio na Gwiazdkę kupił jej taką figurkę, małą pastreczkę pochylającą się, by zagonić zabłąkaną owieczkę, i Alice była tak szczęśliwa, że omal go

nie pocałowała, ale jednak nie. Ustawiła ją natomiast na samym środku gzymsu kominka, przesunąwszy w tym celu tańczącego jelonka, który, jak Neil wiedział, był jej ulubieńcem; to w końcu prawie jak pocałunek.

- Powiesz mi, co będziemy oglądać? - zapytał Neil.

- Nie - odparła Alice. - To niespodzianka.

- Idziemy prosto na widownię?

- Jeszcze nie - powiedziała Alice. - Ja cię przemycam. Sprzątaczkę nie powinny siedzieć na widowni podczas nagrania. To źle wpływa na wizerunek studia.

- Nie wierzę, żebyś mogła źle wpływać na czyjkolwiek wizerunek - oświadczył Neil.

- To tylko taka polityka firmy - Alice spuściła wzrok i założyła niesforny blond kosmyk za ucho.

- Nie będziesz mieć przez to kłopotów, prawda? - zapytał Neil. - Nie chcę, żebyś miała przeze mnie problemy.

- Nie, nie - odparła Alice, spoglądając na niego ponownie. - Nie martw się, proszę. Wszystko w porządku. Nikt nie zwraca tu na mnie uwagi. Jestem tylko sprzątaczką. A poza tym będzie fajnie. Zazwyczaj nie łamię zasad.

- Cóż, skoro jesteś pewna.

- Jestem pewna. - Alice uśmiechnęła się, a jemu mocniej zabiło serce. - To miło, że się tak przejmujesz - wyszeptła, jeszcze ciszej niż zazwyczaj.

Stali sztywno naprzeciwko siebie, jakby nieśli między sobą jakiś spory mebel. Ich oczy się nie spotykały i żadne nie wykazywało chęci, żeby usiąść. W pomieszczeniu było tylko jedno krzesło; odlane z plastiku, jego pomarańczowy kolor gryzł się z mdłą żółtą farbą na blacie stołu, spod którego wystawało. Alice zawiesiła na oparciu skromny granatowy kardigan; taki sam jak ten, w którym sprzątała biuro, gdzie

pracował Neil, zanim jeszcze jej obowiązki przejęła większa, tańsza firma. Teraz, tak jak i wtedy, chciał go wziąć i ukryć w nim twarz, zaciągnąć się głęboko zapachem, znaleźć w nim jakąś, jakąkolwiek wskazówkę dotyczącą tej tajemniczej kobiety, tej enigmatycznej, jaką jest Alice.

- Chcesz usiąść? - zapytała Alice.

- Nie - odparł Neil. - Ja tylko... Ja...

- Pytam, bo patrzyłeś na krzesło.

- Zastanawiałem się, czy ty byś przypadkiem nie chciała usiąść - powiedział Neil.

- Nie, dzięki - odparła Alice.

Znowu zapadła cisza. Neil widział swoje odbicie w jej okularach, małą, kretopodobną postać o szorstkich brązowych włosach sterzących sztywno jak szczotka. Zastanawiał się, czy Alice zdarza się myśleć o nim, choćby przez sekundkę, kiedy nie ma go przy niej.

Nagle Alice wydłużyła się mina.

- O raju. Mam nadzieję, że nie będziesz się tu nudzić, mając tylko mnie do rozmowy.

- Nie! - zaprotestował Neil. - W żadnym razie. Nie myśl tak, proszę. Właściwie to zastanawiałem się nad tym samym. Mam na myśli, że ty ze mną. To znaczy, że ty będziesz się nudzić ze mną.

- Och nie - wyszeptała Alice. - Nigdy mnie nie nudzisz, Neil. Ani trochę.

W książkach, które Neil czasem potajemnie czytywał, bohater wziąłby teraz bohaterkę w ramiona,łożyłby na jej ustach szorstki pocałunek, po czym ją zniewolił.

- Mam scrabble na moim palmpilocie - powiedział Neil. - To multiplayer.

- Aleś ty sprytny - stwierdziła Alice, znów ożywiona. - A ja chyba mam - z chytrą miną łobuziaka zabrała się do przekopywania dużej

pikowanej torby podręcznej, którą nosiła ze sobą wszędzie - tak! Sok pomarańczowy. - Wyciągnęła dwa kartoniki ze słómkami i podała jeden Neilowi. - Urządźmy sobie prawdziwe przyjęcie. Tyle że będziemy musieli usiąść na podłodze, chyba że chcesz podzielić się krzesłem.

Zanim Neil zdążył powiedzieć, że nie ma nic przeciwko dzieleniu się krzesłem, Alice rozsiadła się na podłodze, oparła plecami o metalową drabinę i obciągnęła spódnice tak, by zakrywała jej kolana.

- Chcesz zagrać z blankiem? - zapytał Neil, siadając naprzeciw niej. Zauważywszy, że jej oczy rozszerzyły się ledwie dostrzegalnie, dodał szybko - Bo ja nie.

- Och, to dobrze - odparła Alice. - Ja też nie. Przez to gra staje się taka nieprzewidywalna. A czy odpowiada ci lista dopuszczalnych wyrazów dwu i trzyliterowych ze SNOW-PODS?

- Hm... ? - Neil przełknął ślinę. - Tak, oczywiście. Proszę. Możesz zacząć.

- Pierwsze słowo podwójnie premiowane - powiedziała Alice.

- W porządku - odrzekł Neil. - Ty zaczynasz.

Podał jej palmpilota i wziął długi, tęgi łyk soku pomarańczowego.

5

W zdezelowanym baraku na parkingu studia telewizyjnego Apollo zasiadł przy toalecie, otoczony wianuszkami krzątających się nimf, gracji i półbogów. Próbował to ukryć, ale Afrodyta widziała - żałował,

że zaprosił kogokolwiek. Oczywiście Apollo uwielbia być w centrum zainteresowania, ale już sama garderoba nie była tak imponująca, jak zapowiadał. A teraz wszyscy jego pieczeniarze ją widzieli, co oznaczało, że nie będzie mógł później kłamać w tej kwestii innym bogom.

W tyle baraku znajdował się tor przeszkód z rekwizytów i przedmiotów wykorzystywanych w programie, część upchana w czarnych workach foliowych, jakby czekały na spalenie. Podłogę pokrywała szorstka wykładzina w kolorze nudnego biurowego beżu, odstająca w rogach i zupełnie przetarta przy wyleńiałym skrawku brązowego wyblakłego materiału - niegdysiejszej wycieraczki. Okna, półokrągłe jak w przyczepie kempingowej, zostały zrobione z dwóch warstw jakiegoś wzmocnionego plastiku; wewnątrz porastała je pleśń, której nie wzruszyłoby nawet najwytrwalsze czyszczenie. Część plastikowych krzeseł się chwiała; inne nie miały oparc. Lustro, w którym przeglądał się Apollo, było dokładnie wypolerowane, ale pęknięte, przez co odbicie jego pięknej twarzy przypominało obraz kubistyczny. Nawet napis nabazgrany długopisem na tabliczce przyklepionej do drzwi taśmą klejącą informował z błędem: „Wyrocznia Apolla”.

Apollo udawał, że niczego nie zauważa, ale Afrodyta go znała.

- Troszkę więcej podkładu na podbródku - nakazał pomocnicy; Afrodyta usłyszała jednak w głosie bratanka lekkie drżenie. To jego wielki debiut, a zakwaterowano go jak podrzędneho artystę rewiowego. To było wspaniale.

- Jesteś pewien, że niczego nie potrzebujesz? - zamruczała Afrodyta. - Odrobinę nektaru, trochę ambrozji? Małe trzepanko?

- Może później - powiedział Apollo, nie odwracając nawet głowy.

- Nie chcę się spocić pod pudrem. Błyszcząca twarz to śmierć dla profesjonalnej gwiazdy telewizyjnej.

- Oczywiście - odparła Afrodyta. - Ależ ze mnie głuptas. Nie chciałabym ci zepsuć tego wyjątkowego dnia.

Musiała się wysilać, by jej głos pozostał słodki i spokojny.

- Jestem taka podekscytowana - ciągnęła. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w akcji.

Obserwowała jego twarz w odłamkach lustra, zastanawiając się, czy to możliwe, że on naprawdę to kupuje, ale Apollo w swoim zarozumiałstwie szczerze wierzył, że ten jego głupi, nudny program cokolwiek ją obchodzi.

- Możesz oglądać zza kulis - powiedział.

- Wow! Naprawdę? - ucieszyła się Afrodyta.

Zaraz jednak zmartwiła się, że ta reakcja nazbyt jawnie ocieka sarkazmem, więc przyklasnęła z udawanym radosnym podnieceniem. Zerknęła ukradkiem w lustro, ale nie było powodu do niepokoju. Upojony jej ożywym zainteresowaniem Apollo rozkwitał jak kwiat na pustyni. Nie wiedział tylko, że zaplanowała dla niego burzę piaskową.

W jej torebce rozległ się dzwonek komórki. *Venus*, wersja Bananaramy. Wyciągnęła telefon i zerknęła na wyświetlacz.

- Przepraszam cię, kochanie - zwróciła się do Apollina. - To praca. Muszę odebrać. - Po czym do słuchawki. - Jestem taka napalona. Co chciałbyś mi zrobić?

- Mamo, to ja - wyszeptał głos po drugiej stronie. - Eros.

- Tak mi dobrze, wielkoludzie - powiedziała Afrodyta i pokazała Apollinowi na migi, że wychodzi porozmawiać. - Dotykaj mnie wszędzie.

Wyszła na mżawkę i zamknęła za sobą drzwi.

- Mamo, proszę - odezwał się Eros. - Nie bądź obrzydliwa.

- Oj, zamknij się - odparła Afrodyta. - Z tobą nie ma już żadnej zabawy.

- Dlaczego nie znajdziesz sobie porządnej pracy? - zapytał Eros. - Mogłabyś być modelką.

- Pozowanie to nudy - stwierdziła Afrodyta. - „Stań tu, stań tam”. Seks przez telefon jest znacznie fajniejszy. I nie uwierzyłbyś, ile śmiertelnicy są gotowi zapłacić za kilka głębokich oddechów i udawany...

- Wierz mi, że nie chcę wiedzieć - zapewnił ją Eros.

- Nie mów do mnie tym świętoszkowatym tonem - powiedziała Afrodyta. - Zdaje się, że mój zawód nie przeszkadza ci tak bardzo, gdy stoimy przy kasie w Marks and Spencer's. Może sam powinieneś znaleźć jakąś pracę, skoro moja budzi w tobie takie obrzydzenie.

- Mam pracę - odparł Eros.

- Co to za praca, która nie przynosi żadnych pieniędzy?

- Wiesz, jak ważny jest dla mnie wolontariat. Myślałem, że to rozumiesz. Pieniądze to nie wszystko.

- Łatwo ci mówić, kiedy wydajesz moje.

- Dzieci na mnie liczą - nie ustępował Eros. - I właśnie jeśli zaraz nie wyjdę, spóźnię się na zajęcia z łucznictwa. Byłyby naprawdę za wiedzione. Niewiele mają w życiu radości.

- Znaczą poza włamaniami i napadami na starsze panie?

- To nie jest śmieszne - powiedział Eros.

- Nie miało być - powiedziała Afrodyta.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Afrodyta wiedziała, że zaraz usłyszy coś, co jej się nie spodoba.

- Słuchaj, mam - zaczął Eros zgodnie z jej przeczuciem. - Zastanawiałem się nad tą sprawą i jednak się na to nie piszę.

- Ależ piszesz się - odparła Afrodyta; w jej głosie zapaliła się czerwona lampka.

- Nie, nie zrobię tego - wyrzucił z siebie Eros. - To byłoby złe. Myślałem o tym cały dzień.

- Złe? A kogo obchodzi, że coś jest złe? Obiecałeś, że to zrobisz!

- No to teraz odobiecuję - oświadczył Eros.

- Łamanie obietnicy też jest złe.

- Wszystko jest względne.

- Przecież już raz to zrobiłeś.

- Tamten raz był jeszcze przed.

- Przed czym? - zapytała Afrodyta. - Nie, nie mów. Przed Chrytusem.

- Wiedziałem, że nie zrozumiesz - powiedział Eros.

- Ależ rozumiem doskonale - odparła Afrodyta. - Wolisz tego karrerowiczowskiego stolarza, tego złodzieja wiary, od własnej rodziny.

- On jest lepszym wzorem do naśladowania.

- To zależy od punktu widzenia. Z tego co pamiętam, nie miał zbyt wiele do powiedzenia na temat zakochiwania się czy seksu, albo ładnych ubrań i wszystkich innych ważnych życiowych kwestii. U niego chodzi tylko o to, by być porządnym. Kto chce być porządny?

- Ja.

- W takim razie bądź porządny wobec mnie - warknęła Afrodyta.

- Jestem twoją matką.

Po drugiej stronie cisza. Afrodyta zmieniła nieco pozycję, tak że krople deszczu zmoczyły bluzkę, która korzystnie oblepiła jej piersi.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- Tutaj - odparł. - W budynku.

- Jesteś w przebraniu?

- Tak.

- Więc w czym problem?

Eros coś wymamrotał.

- Słucham? - zapytała Afrodyta.

- Jak postąpiłby Jezus.

- Jak postąpiłby Jezus? Pozwól, że coś ci powiem. Jezus był bardzo dobrym chłopcem. Zrobiłby dokładnie to, co każe matka.

- Ale...

- Jezus był ponoć bogiem, zgadza się? - weszła mu w słowo Afrodyta. - A zatem, mścił się. Wszyscy bogowie się mszczą.

- Niezupełnie. Głosił, żeby nadstawić drugi...

- Co jeszcze głosił twój Jezus? - przerwała mu Afrodyta.

- Myślałem, że cię to nie obchodzi.

- Niech no się zastanowię - powiedziała Afrodyta. - Już pamiętam. „Czcij ojca swego i matkę swoją”.

- Po pierwsze, to nie Jezus. A po drugie, trudno jest szanować ojca swego, kiedy jest tak wielu możliwych kandydatów na to stanowisko.

- To niezbyt miłe - odparła Afrodyta. - Wiesz, kto jest twoim ojcem. Twój kuzyn Ares.

- Nie możesz mnie do tego zmusić - stwierdził Eros.

- Pamiętaj, co jeszcze głosi Biblia: „Pokrewieństwo ma pierwszeństwo”.

- Tego nie ma w Biblii.

- Posłuchaj, chcę, żebyś zrobił dla mnie jedną, jedyną rzecz - powiedziała Afrodyta nowym pochlebczym tonem. - Po tych wszystkich tysiącleciach, przez które cię wspierałam. Jesteś mi to winien.

Eros nic na to nie odpowiedział, więc skorzystała ze zdobytej przewagi.

- Pozwól, że ujmę to inaczej. Jeśli nie zrobisz tego, co ustaliliśmy, znajdę cię, ściągnę ci z tyłka te twoje zbyt sztywno wykrochmalone,

elegancko-swobodne, zaprasowane w kant portki, uszyte z ludzkiego materiału, przełożę cię przez kolano i spuszczę ci lanie życia na oczach twojego pastora, jego sztywnej żony i wszystkich chrześcijańskich braci. Czy wyrażam się jasno?

Nie była to pusta groźba. Już kiedyś tak zrobiła. Zapadła bardzo długa cisza.

- Chciałbym, żeby to Maryja Dziewica była moją matką - mruknął w końcu Eros.

- Jeśli będziesz miał szczęście, może namówię Artemidę, żeby cię adoptowała - odparła Afrodyta. - Przyjdę na widownię za dziesięć minut. Wiesz, co robić.

Zamknęła klapkę telefonu, zanim zdążył znów zaprotestować. Wzięła kilka wdechów zimnego powietrza, by jej policzki odzyskały swój różany blask, po czym przykleiła sobie do twarzy uśmiech i wśliznęła się z powrotem do garderoby.

- Jak ci idzie? - zapytała bratanka.

Apollo odwrócił się od lustra. Miał na sobie tak grubą warstwę makijażu, że można by go obrać od czoła po brodę, a jego twarz wyglądała dokładnie tak samo jak przed charakteryzacją.

- Jestem gotowy.

6

Nie udało im się dokończyć gry, ale Alice i tak miała już prawie dwieście punktów przewagi, kiedy musieli przerwać i iść. Gdy Neil zaproponował, żeby zagrali, zamierzał pozwolić jej wygrać, ale, jak się okazało, nie było to potrzebne. Chyba była bardzo wytrawną zawodniczką, chociaż upierała się, że to kwestia szczęścia.

- To bardzo sprytnie urządzenie - powiedziała Alice. - szkoda tylko, że nie miałeś lepszych liter. Miejmy nadzieję, że następnym razem będzie ucziwiej.

Neil schwytał to „następnym razem” jak cennego motyla i umieścił na wystawie poświęconej Alice, którą urządził w myślach.

Wyrzucili puste kartoniki po soku, po czym Alice wyprowadziła Neila z malutkiego pomieszczenia i zamknęła drzwi. Ruszyli korytarzem w stronę widowni. Ściany były pomalowane farbą w kolorze zjeczaliej zieleni, a światło fluorescencyjnej jarzeniówki mrugało na betonowej podłodze. Powietrze miało ostry metaliczny zapach, na który składały się w równych proporcjach wilgoć i środek dezynfekujący. Na ścianie w niezbyt równych odstępach ktoś porozwieszał zdjęcia w kształcie gwiazd przedstawiające prezenterów, którzy prowadzili tu programy, by dodać miejscu odrobinę splendoru. Sława wszystkich już przeminęła, a kilku nie żyło.

- Bardzo tu czysto - powiedział Neil i otrzymał w odpowiedzi uśmiech à la Alice.

Kiedy skręcili w stronę wejścia do studia, zobaczyli zmierzającego w ich kierunku młodego mężczyznę z dużą płócienną torbą na ramieniu i czymś, co wyglądało na sztuczne wąsy, na twarzy. Na ich widok młody mężczyzna zamarł; oni też.

- Czy to ktoś znajomy? - szepnął Neil.

- Nie wydaje mi się - odparła Alice.

- Możemy zawrócić, jeśli chcesz.

- Nie, wszystko w porządku. - Twarz przybrała ten sam wyraz determinacji, który Neil widział u niej parę minut temu, tuż przed tym, jak ułożyła drugie siedmioliterowe słowo. - Chcę tam wejść. Naprawdę ci się to spodoba.

- Dobrze - powiedział Neil. - Jeśli jesteś pewna.

Ruszyli w stronę sali. Gdy tylko wykonali pierwsze kroki, mężczyzna ze sztucznymi węsami też ruszył, jakby ich decyzja dodała mu otuchy. Spotkali się przy drzwiach.

- Jestem tylko widzem - powiedział mężczyzna. Gdy mówił, sztuczne wąsy drgały niebezpiecznie.

- My również - powiedział Neil. - Mężczyzna - właściwie jeszcze chłopiec - najwyraźniej poczuł ulgę, otworzył drzwi do studia i cała trójka wślizgnęła się do środka.

Alice doskonale zaplanowała czas, niemal wszystkie siedzenia zostały już zajęte. Neila, który nigdy wcześniej nie był w studiu telewizyjnym, zaskoczyło, że pomieszczenie jest tak małe. Miało najwyżej kilkadziesiąt miejsc siedzących. Tak jak przypuszczali, widzowie, głównie starsze panie ubrane w różne pastelowe odcienie poliestru, dobrane do ich pastelowych włosów, gawędzili radośnie między sobą i nie zwrócili najmniejszej uwagi na przybyszów. Alice szybko zlustrowała otoczenie, niczym królik, który po raz pierwszy wyjrzał z króliczej kolonii.

- Widzisz kogoś znajomego? - zapytał Neil.

- Nie - odparła Alice. - Ekipa pewnie jest teraz zajęta przygotowaniami.

Neil wypuścił z płuc powietrze, które zupełnie nieświadomie zatrzymywał. Cały ten wypad został zaplanowany przez Alice jako wyjątkowa niespodzianka dla niego i nie wybaczyłby sobie, gdyby miała mieć przez to jakieś kłopoty.

Mężczyzna ze sztucznymi węsami popędził już w kierunku siedzenia na tyłach sali, a Alice i Neil znaleźli dwa wolne miejsca obok siebie w przednim rzędzie. Niemal natychmiast kobieta siedząca obok Neila poczęstowała go landrynkami. Wybrał jedną dla siebie i jedną dla Alice: wiśniową, jej ulubioną.

Rozejrzał się. Siedzieli na długich wyścielanych ławkach, ustawionych w wąskich rzędach przed małą sceną, wyposażoną w rekwizyty, które miały ją upodobnić do greckiej świątyni, ale przy możliwie najmniejszym nakładzie finansowym. Kruszejące kolumny i niby-artystyczne fragmenty ruin zrobiono z polistyrenu, winorośle były plastikowe, a permanentny zachód słońca w tle zmontowano z czerwonego polietylenu i żarówek. Widać było wyraźnie, że całość trzyma się dzięki agrafkom i taśmie maskującej.

- No i jak? - odezwała się Alice. - Podoba ci się?
- Co to jest? - zapytał Neil.
- To ma być wyrocznia delficka.
- Wyrocznia? Ta, w której przepowiadano przyszłość?
- Właśnie.
- Czy to znaczy, że w tym programie wystąpią wróżbici? Ludzie udający wróżbitów?
- Nie wiem, czy będą udawać.
- Innej możliwości nie ma - stwierdził Neil. - Alice, jesteś wspa-
niała. Skąd wiedziałaś, że uwielbiam takie rzeczy?
- Powiedziałaś mi.
- Kiedy ci powiedziałem?
- Jakieś półtora roku temu. Pewnego dnia w biurze; poprzednie-
go wieczoru oglądałaś *Most Haunted*. Powiedziałaś, że uwielbiasz te
wszystkie pseudoparanormalne pierdoły. Przepraszam. Ale tak wła-
śnie się wyraziłaś.
- Nie mogę uwierzyć, że o tym pamiętałaś.
- Oczywiście, że pamiętałam - odparła Alice. - A więc miałam ra-
cję, tak? Że ci się spodoba?
- Ogromnie - powiedział Neil. - To fantastyczne... absolutnie fan-
tastyczne. Że też pomyślałaś, żeby mnie tu zaprosić, wprost nie mogę
uwierzyć.

- Och, to nic takiego - stwierdziła Alice - Każdy by tak zrobił na moim miejscu.

- Ale ja nie chciałbym przyjść tu z każdym - odparł Neil.

Jego kolano na chwilę zetknęło się z jej nogą.

Za wyblakłą czarną kurtyną oddzielającą zaplecze sceny od widowni Apollo przygotowywał się do wyjścia. To miejsce okazało się równie inspirujące jak garderoba. Cała przestrzeń była zagracona technicznymi rupieciami - kamerami, lampami, kawałkami kabli, z których tu i ówdzie zwisały pojedyncze skrawki taśmy samoprzylepnej. Zza kurtyny dobiegał gwar rozmów prowadzonych przez drżące wiekowe głosy i budził niepokojące skojarzenia z herbatką w domu starców. Apollo zerknął przez szparę na salę. Tak jak przypuszczał: kosz przejrzałych owoców - wszyscy mieli już swoje najlepsze lata za sobą i powoli zaczynali się psuć. Ktoś ni mniej, ni więcej, tylko robił na drutach. Apollo zrobił krok do tyłu i spojrzał na Afrodytę, która przysiadła na ogromnej szpuli zwiniętego kabla. Posłał jej najbardziej przekonujący uśmiech, na jaki było go stać.

- Już prawie czas - powiedział.

- Nie mogę się doczekać - odparła Afrodyta z równie szczerym uśmiechem.

Drzwi się otworzyły i pojawiły się dwie sybille, zachwycające smukłe blond półboginie, które dawniej zajmowały się wrózeniem w świątyni Apollina. Apollo stłumił westchnienie ulgi, które chciało mu się wydrzeć z gardła na ich widok. Z punktu widzenia zespołu produkcyjnego, sybille pełniły jedynie funkcję cieszących oko laleczek, zresztą zdawały się do niej stworzone. W rzeczywistości były potrzebne ze względu na ich mózgi.

Obie wyglądały na bardzo niezadowolone.

- Co jest? - zapytał Apollo.

- To ty zaprojektowałeś te stroje? - spytała jedna z sybilli.

- W czym problem? Ja też mam na sobie toge.

- Twoja zasłania tyłek - odparła druga. Obciągnęła skrawek materiału, w który została owinięta, na skutek czego jeszcze bardziej odsłoniła piersi.

- Widzisz? - zapytała.

Na drugim końcu pomieszczenia rozległ się szelest. Apollo odwrócił się i spojrział w tamtą stronę. Afrodycie - bóg jeden wie skąd - udało się wytrzasnąć popcorn i teraz wyjmowała go z torby ziarenko po ziarenku, wachała z zachwytem, po czym wsadzała z powrotem. Żaden z bogów nie jadał ludzkiego jedzenia, ale Afrodyta, zmysłowa z natury, po prostu uwielbiała jego zapach. Gdy zauważyła, że Apollo na nią patrzy, puściła mu oczko, a jej gorący różowy język wysunął się szybko i polizał ziarenko. Gdzieś na obrzeżach świadomości Apollina cichutko zadzwonił alarm. Czy Afrodyta nie bawi się przypadkiem odrobinę za dobrze? Nadal była mu winna zemstę... Czyżby coś się kroilo? Ale zanim umysł Apollina zdążył podążyć tym tropem, usłyszał w słuchawce głos reżysera, który mówił, że są gotowi.

Z głośników rozległy się pierwsze takty *Greka Zorby* i, tak jak ćwiczyli na próbach, Apollo odsunął kurtynę i wyszedł na scenę; tuż za nim podążyły sybille. Widownia klaskała uprzejmie, ale bez widocznego entuzjazmu. Apollo wziął głęboki oddech i wyciągnął prawą dłoń w geście powitania. Miał na niej napisany scenariusz.

- Witajcie w *Wyroczeni Apollina* - powiedział. - Przygotujcie się na niezapomniane przeżycie, które wprawi was w zdumienie i zachwyt...

*

Eros siedział na końcu sali i czuł się fatalnie. Studyjne lampy sprawiały, że było niewyobrażalnie gorąco i wąsy zaczynały go łaskotać. W kieszeni miał telefon ustawiony na wibracje; w nogach torbę z łukiem i strzałami. Na scenie przed nim Apollo - od zawsze najmniej przez niego lubiany krewniak - wygłaszał jakąś autopromocyjną mowę, przed właściwym show. Może nie jest jeszcze zbyt późno, by wyjść.

W jego kieszeni zawibrował telefon. Wiadomość. Od matki.

- NAWET O TYM NIE MYŚL.

Na scenie coś zaczęło się dziać. Apollo przyjął pozę na środku sceny; ścisnął sobie dłońmi skronie i kołysał głową, zapewne, by zasugerować w ten sposób, że gwałtownie poszukuje inspiracji, co, jak Eros doskonale wiedział, było zupełnie zbędne. W tym czasie sybille pokłusowały ku ławkom na przeciwległych końcach widowni, z lubieżnym kamerzystą na ogonie. Należy oddać kamerzystom sprawiedliwość i przyznać, że gdyby im się udało sfilmować coś prócz festiwalu nóg, pośladków i piersi, musieliby być prawdziwymi geniuszami techniki.

- Czuję coś - wyjęczał Apollo. - Coś na mnie spływa...

Kiedy jedna z sybilli zaczęła się zbliżać do rzędu Erosa, bóg próbował ukryć się za swoimi wąsami i już chciał zasłonić twarz dłonią, ale ona go nie zauważyła; zatrzymała się kilka kroków przed jego miejscem i utkwiała wzrok w kobiecie po pięćdziesiątce ubranej w fioletoworóżowy welurowy dres, o piersiach wielkości piłek plażowych i sztywnych żółtych włosach.

- Tak, tak - powiedział Apollo. - Teraz coś czuję... To bardzo silny przekaz...

Eros znajdował się blisko sybilli i miał wzrok lucznika, więc, nie licząc Apollina, zapewne jako jedyny zauważył, że jej palce drgnęły.

- Ty - ciągnął Apollo. - Piękna damo w fiolecie. Mam dla ciebie wiadomość.

Dźwiękowiec spuścił mikrofon koło głowy zaskoczonych kobiety, rozpraszając widownię. Palce sybilli znów się poruszyły.

- Zgubiłaś kogoś... - powiedział Apollo. - Nie, coś niezwykle dla ciebie ważnego. Koła.

Tym razem ruch palca sybilli przypominał raczej dżgnięcie.

- Kota - poprawił się Apollo.

Kobieta z żółtym czubem wydała stłumiony okrzyk i skinęła głową.

- To prawda - powiedziała. - Skąd pan wie?

- Wyzbądź się smutku - odparł Apollo. - Uspokój swój stroskany umysł. Mały Cliff został zamknięty w garażu sąsiadów i wróci do domu, jak tylko ci przyjadą z wakacji.

- Mały Cliff, tak się wabi! - krzyknęła kobieta. - A sąsiedzi wyjechali. Są u siostry w Walii. Nie ma możliwości, żeby on o tym wiedział - zwróciła się do widzów. - To cud!

Sybilla uśmiechnęła się i złożyła dłonie, ale Apollo ciągnął dalej.

- Mały Cliff mówi, żebyś się nie przejmowała, dobrze mu w garażu, choć zaczyna go mdlić od myszy, i czy mogłabyś na jego powrót przygotować to, co lubi najbardziej?

- Pieróg nadziewany rybą! Oczywiście, kochanie, przygotuję. Dziękuję - wyszochalała kobieta. - Och, dziękuję.

Sybilla rzuciła Apollinowi jadowite spojrzenie, ale on ją zignorował i zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu.

- Udało się - zajęczał. - Po wszystkim, już po wszystkim...

Na widowni zerwała się burza braw. Klaskali wszyscy prócz Erosa, rozsierzonego solidarnie z sybillą. Zupełnie jak w czasach Delf. Apollo, zawsze w centrum uwagi, zrzuca całą ciężką pracę na innych i zawłaszcza aplauz. Kiedy Apollo przetoczył się niepewnie przez salę, przywołany zwinnymi palcami drugiej sybilli, Eros uświadomił sobie, że jego stopa wyciąga się w stronę torby, głaszcze łuk i strzały ukryte w środku.

W jego kieszeni zawibrował telefon. Znowu matka.

- PAMIĘTAJ O DAFNE.

Na scenie Apollo świetnie się bawił. Na początku dezorientowało go to, że ma w uchu słuchawkę, słyszy nieustający potok instrukcji reżysera, który mówi mu, jak ma stanąć i gdzie spojrzeć, ale szybko zdał sobie sprawę, że znacznie łatwiej go zignorować, i tak właśnie postąpił. Apollo nigdy nie znosił dobrze, kiedy ktoś mówił mu, co ma robić.

Teraz mógł swobodnie improwizować. Jasne, że mieli próby. Jasne, że był scenariusz. Jasne, że widział, jak producent, reżyser i wiele innych osób (które natychmiast i trafnie rozpoznał jako zbyt mało ważne, by je rejestrować) robili do niego rozpaczliwe miny przez dźwiękoszczelną szybę oddzielającą konsolę od widowni. I słyszał towarzyszące tym minom histeryczne okrzyki.

- Postaw te swoje włochate nogi na zaznaczone krzyżem miejsce i przestań machać rękami!

Ale kiedy skupił się wystarczająco mocno, słowa w słuchawce stały się tylko dźwiękami. Za kogo oni się w ogóle mają, żeby do niego mówić? Te niedouczone mrówki nazywające się „zespołem produkcyjnym”. Apollo nie był graczem zespołowym. Był showmanem.

Od zawsze, długo przedtem, zanim ta ich pomniejsza wysepka ode-
rwała się od lądu.

- Robimy przerwę! Apollo, przerwa!

Apollo padł na kolana i uczepił się podłogi studia.

- Na piaski Morza Egejskiego - krzyknął, przesypując wymagi-
nowane ziarnka przez palce - przyszłość należy do mnie, o tak!

Dafne: oczywiście, że Eros ją pamiętał. Wszyscy pamiętali Dafne: to przez nią Apollo posyłał mu złowrogie spojrzenia w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat. Apollo popełnił kiedyś błąd, pomniejszając umie-
jętności Erosa, a ten, by udowodnić swoją siłę, sprawił, że kuzyn za-
kochał się w pięknej nimfie, a także, że nimfa go znienawidziła. Jego
podchody budziły w niej takie obrzydzenie, że przekonała ojca, by
zamienił ją w drzewo. To nie pomogło. Apollo ocierał się o jej korę i
nosił koronę z jej liści, a wszyscy inni bogowie nabijali się z niego.
Przez setki lat, długo po tym, jak Apollo przebolewał już ten zawód mi-
łosny, kiedy coś komuś proponował, słyszał w odpowiedzi: „Bo ja
wiem. Właściwie nie bardzo mam na to ochotę. Może raczej zamienię
się w drzewo”. W końcu Apollo sam zaczął zamieniać śmiertelników
w drzewa, żeby tylko odzyskać swoją godność. Innymi słowy, Dafne
stanowiła precedens.

Oczywiście gdyby Eros miał jakikolwiek dowód, coś, co wskazy-
wałoby, że Apollo się zmienił, że po całym tym czasie znalazł w sobie
odrobinę pokory, nawet nie przyśniłoby mu się, żeby...

Na scenie kuzyn przyjął pozę z szeroko rozłożonymi ramionami.

- Już was dosięga moja potęga! - zaklinał nieco speszoną widow-
nięć.

Kieszeń Erosa zabrzęczała.

- ZRÓB TO - powiedział telefon.

Eros jeszcze raz spojrzął na arogancką twarz kuzyna, po czym zamknął oczy. Wiedział, że jego pastor nie byłby tym zachwycony, ale z drugiej strony wiele rzeczy by go zszokowało, gdyby był w nie wtajemniczony. Bóg wziął głęboki oddech i zaczął się modlić.

„Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje”. Zastanawiał się, czy, teologicznie rzecz ujmując, można się modlić o przebaczenie za czyn, którego się jeszcze nie popełniło, tuż przed jego popełnieniem. Czy też jest w tym coś nielogicznego. „Przyjdź królestwo twoje. Bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi”. Czy grzech oznacza, że przed faktem nie wie się, co się robi? Albo inaczej, ile trzeba odczekać, zanim się to zauważy? Wciąż „nie chwycił” pewnych aspektów chrześcijaństwa, mimo że naprawdę bardzo się starał. Zazwyczaj. „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Eros otworzył oczy. Sięgnął do torby, otworzył ją i wyciągnął długi luk i kołczan ze strzałami, widzialnymi tylko dla niego. „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego”. W końcu w miłości nie ma nic złego: Bóg jest miłością. „Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki wieków”. Eros idealnie wycelował i wypuścił strzałę o złotym grocie, a ta wbiła się aż po lotki w pierś Apollina i utkwiała w jego sercu. „Amen”.

Pierwsza osoba, na którą teraz spojrzy Apollo, stanie się obiektem jego płomiennej miłości. Eros mógł jedynie życzyć jej lub jemu powodzenia. Zobaczył wyraz miłosnego rozkwitu na twarzy kuzyna i podążył za jego wzrokiem, ku postaci nieszczęsnego wybrańca. Sięgnął ponownie do kołczanu, wyciągnął strzałę o ołowianym grocie,

która rodzi nienawiść, nałożył ją na łuk, naciągnął cięciwę i wycelował. Wziął głęboki oddech, potem następny, i kolejny. I jeszcze jeden. A potem opuścił łuk. Nie mógł tego zrobić. Sprawiać, że ludzie się zakochują, to jedno. Ale sprawiać, że zaczynają nienawidzić... Nie. Niech wolna wola śmiertelnika zadecyduje, co się stanie. Tak postąpiłby Jezus.

7

Ściśnięta koło Neila na wąskiej ławce Alice czuła się tak, jakby wypila za dużo napojów z bąbelkami. Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła: podniosła słuchawkę, zadzwoniła do niego i zaprosiła go do studia, a teraz są tutaj, siedzą obok siebie; on przygląda się uważnie scenie, z wyrazem skupienia na twarzy, a ona udaje, że patrzy na scenę, ale tak naprawdę patrzy na niego.

Tyle razy była już tak blisko. Patrzyła na telefon, ale nie podnosiła słuchawki. Podnosiła słuchawkę, ale odkładała ją z powrotem. Wykręcała jego numer i rozłączała się, zanim rozległ się sygnał. Za pierwszym razem, kiedy zadzwoniła, a on odebrał, zdołała tylko zapytać, czy po ich ostatnim spotkaniu w kafejce nie zostawiła tam parasolki, choć dobrze wiedziała, że nie: Alice nigdy niczego nie zostawiała i wiedziała dokładnie, gdzie jest jej parasolka: w stojaku na parasolki, obok parasolki zapasowej.

Ale w końcu jej się udało. Był to czwartkowy wieczór, po pracy, ale przed EastEndersami. Dłoń tak jej się spociła, że słuchawka tańczyła w niej niczym żywy węgorz. Gdy Neil odebrał, w jego głosie słychać było taką pewność siebie, że straciła dech w piersiach. Nie to, żeby nigdy wcześniej nie wychodzili razem: przyjaźnili się od dwóch lat,

ale ich spotkania były zawsze inicjowane przez niego, i zazwyczaj dochodziło do nich tylko przy okazji, kiedy akurat miał być w jej okolicy, z takiego czy innego powodu. Ale po wstępnej pogawędce o pracy i pogodzie, z której nie zarejestrowała ani słowa, zrobiła to: zaprosiła go na nagranie programu, a on po krótkim nieznośnym milczeniu powiedział tak.

A teraz są tutaj. Siedzą tak blisko, że ich ramiona się stykają. Z miejsca, gdzie się łączą, bije żar. Gdyby przesunęła stopę trochę w prawo, ich nogi też by się dotykały. Czują wszystkie jego zapachy, świeżość czystej koszuli, ostrą woń dezodorantu, a pod nią najdelikatniejszą smużkę ciepłego leśnego aromatu jego skóry. Czują każdy oddech Neila i dostosowała się do jego rytmu, by go nie zakłócać. Niemal słyszała bicie jego serca.

Byłoby wspaniale, gdyby tylko ten osobliwy prezydent przestał jej się tak dziwnie przyglądać.

Dla Apollina to było jak cios w serce. Próbował złapać powietrze niczym ryba nadziana na haczyk i wciągnięta na pokład, konająca na oczach wszystkich. Ta dziewczyna, ta niesamowita dziewczyna - jak to możliwe, że nigdy wcześniej jej nie widział? Dlaczego nie ma jej na okładkach czasopism, na billboardach, w każdym kanale telewizyjnym, w każdym filmie? Jest doskonała: o delikatnych rysach, złotowłosa, pełna wdzięku, zachwycająca pod każdym względem. Co jest nie tak z tym światem? Kiedy jej się przyglądał, ona pochyliła się w stronę jakiegoś okropnego, szkaradnego gryzoniopodobnego samca, który wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, koło czego siedzi, i szepnęła coś do jego podłogo, niegodnego ucha.

Zobaczył ich splecionych w uścisku na podłodze. Nie dziewczynę i tego szczura; gdyby to sobie wyobraził, nie zdołałby zapomnieć przez

całą swoją wieczną egzystencję. Nie: widział siebie i dziewczynę. Czy to przecucie, czy jedynie fantazja? Widział jej nagie ciało wijące się pod nim: ręce zarzucone za głowę, twarz odwróconą na bok, plecy wygięte w łuk, piersi napierające na niego, kiedy ściska go między silnymi, gorącymi, gładkimi, twardymi udami.

- Hm, Apollo - odezwał się głos dyrektora w słuchawce. - Stoisz z rozdziawionymi ustami, nie powiedziałeś nic od ponad dziesięciu sekund i, jeśli wierzyć kamerze numer dwa, masz potężną erekcję. Chcesz zrobić sobie pięć minut przerwy?

Jakoś dotrwał do końca programu. Musiał pobiec do tego pełnego przeciągów, gnijącego baraku, żeby się pomasturbować; to było poniżające. Wytarł nasienie, z którego mogłaby się zrodzić cała populacja herosów, papierową chusteczką w bałwanki, pozostałą ze świąt, i schował ją w koszu pod egzemplarzem *Evening Standard*. Kiedy wyszedł na zewnątrz, w mżawce czekały na niego dwie muzy i udawały, że się nie śmieją. Nie żeby to pomogło; gdy wrócił do studia, ona tam była i przyglądała mu się teraz z pewną ciekawością, miała lekko rozchylone usta, a ku młecznej skórze jej piersi nieznacznie wolno toczyła się po szyi mała kropelka potu. By uniknąć powtórki tego całego krępującego procesu, musiał skupić całą uwagę na myślach o swojej macosze Herze i tym, co zrobiła ich byłemu sąsiadowi, kiedy pokłócili się o przebieg granicy oddzielającej ich ogrody. Chodzi o dawnego sąsiada, który również dawniej był mężczyzną.

Gdy nagranie wreszcie dobiegło końca, Apollo przedarł się przez coraz silniejszy deszcz z powrotem do baraku. Ściągnął z siebie togę i rzucił ją na ziemię, po czym wskoczył w dżinsy i T-shirt. Był pewien,

że dziewczyna przyjdzie do garderoby, by się z nim zobaczyć - pociąg był tak silny, tak intensywny, że ona musi czuć to samo. Tak więc przyjdzie tu - oczywiście, że przyjdzie - czy nie tak postępują rozmaite kobiety? Widział to na filmach. Miał nadzieję, że nie będzie oczekiwać kokainy czy jakichś innych, najwyraźniej niezbędnych, parafernaliów wizyt grupie. Tylko że ona nie jest przecież grupie. To coś innego. To miłość.

Rozejrzał się za ręcznikiem i, nie znalazłszy niczego takiego, wytarł włosy T-shirtem, po czym wycisnął z niego nadmiar wilgoci i znów go włożył. Właściwie to szkoda, że nie mogą się spotkać w jakimś bardziej romantycznym miejscu. No, ale będzie na to czas później, a tu, na dywanie, choć tak cienkim, seks będzie trochę bardziej komfortowy.

Może zdąży odrobinę posprzątać. Podniósł toę z podłogi, złożył ją niedbale i rzucił uzyskaną bezkształtną formę na krzesło. Potem zabrał się do toaletki. Właśnie wylał muł z dwóch wyszczerbionych kubków do umywalki przykręconej do tylnej ściany, kiedy usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi. Doznał wrażenia, że jego serce i żołądek zamieniły się miejscami. Upuścił kubki do umywalki, wytarł ręce o dżinsy, ułożył strwożone rysy w czarujący wyraz udawanego zaskoczenia i odwrócił się, mówiąc:

- Jak miło, że wpadłaś.
- Drobiazg. Masz kawę na dżinsach.

To nie była dziewczyna, tylko Afrodyta, która nie wiadomo dlaczego wyglądała na niezwykle zadowoloną z siebie. Pewnie właśnie zrobiła fellatio kamerzyście. Mina Apollina, mimo wyraźnego zakazu, zrzędła.

- Co się stało? - zapytała Afrodyta. - Spodziewałeś się kogoś innego?

- Tak - odparł Apollo. - A właściwie niezupełnie. To znaczy, przyszło mi do głowy, że cóż, na widowni był ktoś, kto może...

- Pomyślałam, że wpadnę po ciebie - powiedziała Afrodyta. - Wszyscy już poszli.

- Wszyscy?

- Wszyscy. Po cóż mieliby tu siedzieć? To byłoby niestosowne. Jak zwalnianie na autostradzie, żeby popatrzeć na ciała po wypadku.

- Jesteś pewna, że nikt... Nikt...

Afrodyta tylko się uśmiechnęła - nie był to jej typowy zniewalający uśmiech; ten wyrażał triumf.

- Idziemy - powiedziała.

8

Pierwszy odcinek *Wyroczeni Apolla* nadano tydzień po nagraniu. Apollo cały ten czas próbował wytropić anioła z pierwszego rzędu. Dzięki swojemu urokowi udało mu się przekonać kobietę z recepcji, by dała mu kopię listy widzów, i przemierzał Londyn w poszukiwaniu dziewczyny, waląc w kolejne drzwi z rosnącą desperacją; z początku wymyślał usprawiedliwienia dla swojej nieoczekiwanej wizyty, potem po prostu odwracał się i odchodził bez słowa, kiedy dziewczyna znów się przed nim nie materializowała. Tego poranka odwiedził ostatnie miejsce z listy, zaniedbany parterowy dom w Forest Gate, gdzie zastał jedynie powłóczącego nogami starego mężczyznę, który chwycił go za rękę i czterokrotnie błagał, by Apollo wszedł i napił się z nim sherry. Próbował się od niego uwolnić, ale za każdym razem obezwładniała go fala zawrotów głowy i mdłości, gdy Styks wyciągała do

niego rękę ze świata zmarłych, zmuszając go do dotrzymania przysięgi. W końcu wszedł do środka, z oczami półprzymkniętymi, by chronić je przed kalejdoskopem barw dywanu, i przystał na półtorej godziny zdjęć karpki koi, od roku 1965 do dziś.

A teraz to kolejne upokorzenie. Było jasne, że Afrodyta nie omieszkała poinformować krewnych, iż nagranie okazało się fiaskiem, gdyż, w rzadkim poczuciu wspólnoty, wszyscy bogowie stłoczyli się w pokoju dziennym, by obejrzeć transmisję. Hefajstos wyreperował z tej okazji część mebli, tak więc Hermes, Eros, Hefajstos i Afrodyta ścisnęli się razem na kanapie, podczas gdy pozostali zasiedli w fotelach i na podłodze. Dionizos krzątał się, nalewając wszystkim swojego najmocniejszego wina. Panował świąteczny nastrój. Hery i Zeusa oczywiście nie było, tak jak i żadnego z bogów stacjonujących poza kwaterą główną - na przykład Hadesa i Persefony, rezydujących w Podziemiu, czy Posejdona, który tkwi w chałupce nad morzem, tak jak i on śmierdzącej rybami - ale wieści niewątpliwie się rozeszły i oni też siedzą skuleni przed telewizorami, gotowi na widowisko. Mało co bóg lubi bardziej niż patrzeć, jak inny bóg robi z siebie pośmiewisko.

- Bardzo miło z waszej strony - powiedział Apollo, chodząc tam i z powrotem przed telewizorem - że tak interesujecie się moją pracą, ale naprawdę nie ma potrzeby. Jestem przekonany, że potwornie was to znudzi. Nie chciałbym was na to narażać.

- Jest zbyt skromny - stwierdziła Afrodyta. - Nie słuchajcie go. Ja to widziałam. I wiem, że wszyscy będziecie się świetnie bawić.

- Afrodyta ma rację - bezlitosnym słowom Hefajstosa towarzyszyły pomruki pozostałych bogów.

- I niech ci nawet nie przychodzi do głowy, żeby telewizor nagle przestał działać - zwróciła się do Apollina Artemida. - I tak już jesteś na czarnej liście.

- Nie ma powodu - odparł Apollo - dla którego miałbym zrobić coś takiego. Nie to, że nie chcę, byście obejrzeni program. Mam po prostu na uwadze wasz cenny czas.

- Czasu mamy aż nadto - zauważył Ares.

- Mów za siebie - mruknął Hermes, najbardziej zabiegany z bogów.

- Włącz telewizor - zarządziła Artemida. - Nie chcę opuścić początku.

Dionizos wrócił pośpiesznie na swoje miejsce, pociągając po drodze łyk z butelki.

- Jestem pewien, że wszyscy macie coś lepszego do roboty... - zaczął znowu Apollo.

- Włącz telewizor! - Tym razem krzyknęli wszyscy, a Apollo, kapitulując, nacisnął przycisk, odnalazł kanał zjawisk nadmysłowych w najdalszych zakamarkach oferty programów telewizji satelitarnej - przeskakując po drodze po zakupach, randkach, pornografii i Bollywood - po czym wycofał się w ciemny kąt pokoju. Zastanawiał się, czy po prostu sobie nie pójść, udać się do swojej sypialni lub do baru, ale nie wiedzieć, co mówią za jego plecami, byłoby jeszcze gorsze niż słuchać, jak drwią z niego w oczy.

Nie było tak źle, jak sobie wyobrażał. Było gorzej. Tego dnia filmowali zdrowo ponad godzinę, ale program miał tylko trzydzieści minut, więc materiał okrojono tak, by zmieścić się w czasie, najwyraźniej w pośpiechu, najwyraźniej z pomocą siekiery; i najwyraźniej zrobił to ktoś, kto ma do niego jakąś ansę. Mimo że pierwsza połowa, zanim zauważył tamtą dziewczynę i zdekoncentrował się, poszła mu dobrze, z tego materiału nie wykorzystano właściwie nic prócz wstępu.

Program - źle nakręcony, źle oświetlony z prostą ścieżką dźwiękową - został zmontowany niemal wyłącznie z momentów, kiedy Apollo się zaciął, chrząknął albo mrugał oslepiony światłami, przeplatanych długimi lubieżnymi ujęciami półnagich ciał sybilli oraz zbolących, na pół martwych twarzy, które stanowiły jego widownię.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była reakcja rodziny. Z początku się z niego wyśmiewali - wszyscy prócz Erosa, który błagał braci, aby modlili się o hart ducha dla Apollina w tych trudnych chwilach - na tyle jednak cicho, by słyszeć, co dzieje się na ekranie. Ale po kilku chwilach drwiny ucichły i w pokoju zapadła cisza. Słychać było tylko jego głos, który w tanich głośnikach brzmiał nieco skrzekliwie. Na ekranie Apollo mówił starszej pani, że znajdzie zgubione kołczyki na dnie letniej torebki, ale wyglądało to tak, jakby Kasandra przepowiadała klęskę (co też czyniła za sprawą jego klątwy, rzuconej w czasach, kiedy rzucanie klątw na śmiertelników przychodziło mu z taką łatwością jak spijanie nektaru z łyżki). Przed kamerą spod maski ponurej codzienności wyłoniła się jego słabość i została wystawiona na widok publiczny, naga, niezaprzeczalna. Teraz wszyscy bogowie widzieli swoją przyszłość i ten widok wcale im się nie podobał.

Jedynie Afrodyta nie była zahipnotyzowana jatką rozgrywającą się na ekranie. Pod nieuwagę innych nachyliła się w stronę Hermesa, który siedział obok niej na kanapie. Przycisnęła mu swoje pełne usta do ucha, delektując się dreszczem jego pożądania.

- Jesteś bogiem zbiegów okoliczności, prawda? - szepnęła, przejeżdżając palcem po wewnętrznej stronie jego uda.

- Jestem bogiem wszystkiego tego, czym nikt inny nie chce się za-
jąć - odszepnął Hermes.

- Dobrze - powiedziała Afrodyta. Jej dłoń zatrzymała się wysoko
na jego nodze.

Odczekała chwilę, aż na ekranie pojawiła się dziewczyna z widow-
ni, którą siedzący po drugiej stronie Afrodyty Eros wskazał jako
obiekt nieodwzajemnionej namiętności Apollina. (To, że może ona
być mniej nieodwzajemniona, niż Afrodyta sądzi, Eros rozważnie
zachował dla siebie). Napawając się grymasem bólu na twarzy wpa-
trzonego w telewizor Apollina, wyszeptala Hermesowi instrukcje.

- Widzisz tę dziewczynę? Sprowadź ją tu. Nieważne jak. - Jej ję-
zyk wykonał skomplikowany manewr wewnątrz kanału słuchowego
Hermesa. - Nie pożałujesz.

Hermes, który nie ufał sobie na tyle, by wydać jakikolwiek dźwięk,
tylko skinął głową. Afrodyta uśmiechnęła się do siebie. Jest boginią,
której bardzo trudno odmówić.

9

W pokoju na górze, który nazywał swoją dziuplą, Neil wykonywał
wiele czynności naraz. Mówi się, że mężczyźni tego nie potrafią; to
nieprawda. Po prostu potrzebują odpowiedniego sprzętu. W tej chw-
li Neil rozmawiał z kolegą przez Messengera, wypalał CD z piosen-
kami dla Alice, i oglądał w telewizji katastrofę, jaką okazała się *Wy-
rocznia Apolla*.

Dziupla to małe pomieszczenie, które za poprzednich właścicieli
służyło jako pokój dziecięcy. Jego zawartość była Neilowi droga ni-
czym potomek. Obstawił ściany od podłogi po sufit półkami i umie-
ścił na nich wszystko, co dla niego ważne.

Na dole leżały komiksy: najniżej *Beanos*, które zbierał jako dziecko, następnie *Asteriks* i *Przygody Tintina*, a najwyżej te, które wciąż czytał, *2000 AD* i *Judge Dredd: the Magazine*; dalej kilka mang - eksperymentował z nimi przez pewien czas, potem doszedł do wniosku, że to dla niego trochę zbyt ekstremalne. Wszystkie te komiksy były ustawione według tytułów oraz chronologicznie, najważniejsze numery w plastikowych segregatorach.

Nad nimi stały książki. Neil miał pełno książek w całym mieszkaniu - uważał, że bez nich pokoje wyglądają nago, zresztą i tak było ich tyle, że nie zmieściłyby się w jednym miejscu - ale w dziupli trzymał swoje ulubione pozycje: klasykę science fiction, fantastykę (tylko najwyższej klasy), sporo literatury faktu, ciężkie tomiska poświęcone historii, głównie wojnom, z których nie wszystkie przeczytał do końca. Książki były ułożone według gatunków, a następnie w kolejności alfabetycznej.

Na samej górze ustawił zbiór kaset Betamax i VHS oraz DVD. Największą dumą napawała go pełna kolekcja seriali, nagrywana prawie od trzydziestu lat, dokładnie opisana i opatrzona datami. Uporządkowanie jej okazało się szczególnym utrapieniem, jako że Neil był rozdarty, czy ułożyć ją według formatu, gatunku, z podziałem na nagrania domowe i oryginały kupione w sklepie, ale w końcu zdecydował się na zwykłą chronologię, dzięki czemu kolekcja stanowiła przegląd jego zmieniającego się gustu, historii telewizji, oraz zmian staranności jego charakteru pisma.

Obecność Apolla, nawet w wirtualnej formie, w tej bezpiecznej przystani była więc bezczelnym najściem. Neil widział, jak Apollo patrzył na Alice w dniu nagrania. Jego spojrzenie nie wyrażało zwykłego podziwu (co byłoby przynajmniej zrozumiałe); była w nim drażniąca. Nagle sytuacja z dobrej niewinnej zabawy przerodziła się w

coś jakby lunch na równinie Serengeti. Ale Neil wiedział, że Alice ogląda program w domu i że w następnej rozmowie zapyta go o wrażenia, a nie mógł jej zawieść.

- OKROPNIE ZAROZUMIAŁY - napisał do Dereka.

Derek był kolegą z pracy. Przez rok siedzieli w jednym pokoju, po czym Neil odkrył, że mają podobne zainteresowania, dopiero dzięki wzmiance o *Buffy*, rzuconej mimochodem na przyjęciu gwiazdkowym. Teraz Derek oglądał *Wyrocznieę Apolla* na polecenie Neila.

- WSZYSCY CI TELEWIZYJNI JASNOWIDZIE SĄ TACY - odpisał Derek. - NA TYM POLEGA ZABAWA.

- TO NIE JEST ZABAWNE - napisał Neil. - PATRZ, WDZIĘCZY SIĘ, JAKBY BYŁ DAREM OD BOGA. UWAŻA, ŻE SŁOŃCE ŚWIECI MU Z TYŁKA.

- A CO MYŚLI O NIM ALICE? - spytał Derek.

- NIE WIEM - odparł Neil.

Była to drażliwa kwestia. Czy Alice zauważyła, jaki jest przystojny? Po programie nie udało mu się wyciągnąć z niej żadnej opinii, ciągle tylko pytała, czy jemu się podobało.

- UMÓWIŁEŚ SIĘ Z NIĄ WRESZCIE? - napisał Derek.

- NIE BĄDŹ IDIOTĄ, JESTEŚMY TYLKO PRZYJACIÓŁMI - odpisał Neil.

- OCZYWIŚCIE.

- ZAMKNIJ SIĘ I OGLĄDAJ PROGRAM.

Oczekiwanie na odpowiedź Dereka przerwał dzwonek telefonu.

- MUSZĘ LECIEĆ - napisał Neil i jeszcze z palcami na klawiszach drugą ręką podniósł słuchawkę.

- Halo? - powiedział.

Po drugiej stronie słyhać było tylko płacz.

- Halo? - powtórzył. - Wszystko w porządku? Mamo, to ty?

- Nie - odezwał się w słuchawce żalony głos. - Nie... to ja. Alice.

- Alice. O co chodzi? Co się stało? Nie oglądasz nas w telewizji?

- Tak - odparła Alice. - Tak, oglądam. Oglądałam.

- No to co się stało? - zapytał Neil. - O co chodzi? W czym problem? Nie widziałaś się? Wyglądałaś bardzo ładnie - odważył się powiedzieć.

- Widziałam się. A potem...

- Nie martw się, Alice - pocieszył ją Neil. - Cokolwiek zaszło, na pewno wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie dobrze, wcale nie będzie dobrze. - Alice podniosła głos; Neil nigdy wcześniej nie słyisał, żeby mówiła tak głośno. - Po tym, jak moja twarz pojawiła się na ekranie, zadzwonił telefon. To był szef agencji.

Neilowi zrobiło się niedobrze. Wiedział, co zaraz usłyszy.

- Powiedział... - Głos Alice wrócił już do normy. - Powiedział, że zadzwonił do niego szef studia. Oglądał program i zobaczył mnie. Stwierdził, że złamałam zasady i że albo ja odejdę, albo oni zatrudnią inną firmę. Neil, wyrzucili mnie z pracy.

- To wszystko moja wina - odparł Neil. - Tak mi przykro, Alice. Tak mi przykro. Nie powinienem był cię do tego zmuszać.

- Nie zmuszałeś mnie. Zrobiłam to, bo chciałam. To nie twoja wina, nie dlatego dzwonię. Po prostu nie miałam z kim porozmawiać. Neil... co ja teraz pocznę? Nie mam pracy. Co ja pocznę?

Pewnego ranka, tydzień po transmisji programu, Artemida wstała wcześniej, by wyprowadzić psy, i ze zdumieniem usłyszała, że z pokoju dziennego dochodzą głosy. Żaden z bogów nie należał do rannych ptaszków - nawet Atena zazwyczaj oddawała się porannej lekturze w łóżku. Drzwi do salonu były otwarte na oścież i Artemida zerknęła do środka.

Apollo siedział na podłodze, opierając się o złamany fotel, i brzdąkał cicho na jednej ze swoich gitar. Oklapnięte włosy przyklejały się do policzków, kiedy pochylał głowę, miał bladą twarz, przekrwione oczy i w kółko nucił swojej gitarze niczym kochance: „Dziewczyno, tęsknię za tobą, tęskniłem za tobą, dziewczyno. Dziewczyno, tęsknię za tobą...”. Tymczasem Afrodyta, ożywiona i wyzywająca, leżała na aksamitnej kanapie - czy ona nie była kiedyś niebieska? - trzymając smukłe nogi, skrzyżowane w kostkach, na krzywym oparciu. Głowę zwróciła do Apollina i przyglądała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W uchu miała słuchawkę Bluetooth i szepotała do niej: „Różnij mnie mocniej, kochanie, teraz mi dobrze, o tak”. Scena była osobliwie intymna i Artemida niemal czuła się skrępowana, że ją zakłóca. Ale nie do końca.

- Co wy tu robicie o tej porze? - zapytała, wchodząc.

Apollo podniósł na chwilę wzrok znad swojej gitary.

- Wcale się nie kładłem - oświadczył bezbarwnym głosem. - Muszę dopracować tę piosenkę. „Tęsknię, och tęsknię za tobą, dziewczyno, tęskniłem za tobą...”.

- Co się dzieje? - zapytała Artemida. - Czyżbyś pił wino Dionizosa?

- Tylko troszeczkę - odparł Apollo.

Artemida zobaczyła przewróconą pustą butelkę, niezbyt skrzętnie ukrytą za rozpadającym się fotelem.

- Nic dziwnego, że tak marnie wyglądasz - stwierdziła.

- Z pewnością wyglądam lepiej, niż się czuję - powiedział Apollo.

- To mało prawdopodobne - odparła Artemida. - A ty? - zwróciła się do ciotki. - Nigdy nie wstajesz przed lunchem.

- Tak mi dobrze - powiedziała Afrodyta. - O, właśnie tam. Trafiłeś w sedno, kochanie.

- Nie mam pojęcia, czemu nie jest w łóżku - stwierdził Apollo. - Siedziała tu, gadając do tego urządzenia, przez całą noc. Może płacą jej więcej za pracę w tych godzinach. Wtedy jest największe zapotrzebowanie.

- Cóż, jeśli tak, to mogłaby zacząć wkładać trochę więcej do wspólnej kasy. Dom wymaga osuszenia, a ona wydaje wszystko na staniki.

Afrodyta zaczęła jęczeć i dyszeć, zbliżając się do punktu kulminacyjnego, ale w połowie, bez uprzedzenia, wyłączyła telefon i powiedziała swoim zwykłym głosem:

- Po prostu pomyślałam, że dotrzymam ci towarzystwa. Od kiedy obejrzelіśmy twój program, jakbyś nie był sobą.

Jeśli ona ma w sobie choćby szczyptę współczucia, to ukrywa ją w jakimś niedostępnym miejscu, pomyślała Artemida, przyglądając się, jak Afrodyta siada prosto i zdejmuje słuchawkę.

- W dzisiejszych czasach śmiertelnicy są zupełnie niewytrzymali - powiedziała Afrodyta. - Ledwie starcza ci czasu, żeby zebrać dane o ich kartach kredytowych, a oni już kończą. Od początku mówiłam, że powinniśmy byli oddać przywództwo świniom.

Artemida zaczęła wykonywać ćwiczenia rozciągające na rozgrzewkę. Sztwywność: to względnie nowe uczucie, którego naprawdę nie warto bliżej poznawać.

- Wiesz, że ścięli twoje drzewo? - zwróciła się do Apollina, unosząc prawe kolano i wykonując nim obroty.

- Moje drzewo?

- Tę dziewczynę. Kate. - Twarz Apollina była pozbawiona wyrazu.
- Australijkę? Tę, którą zamieniłeś w eukaliptusa. Została ścięta. Programowe porządkowanie zieleni. Robi się to co roku.

Apollo wzruszył ramionami.

- Zapomniałem o niej - powiedział.

Szarpnął struny gitary, jak najszybciej pragnąc wrócić do swojej kompozycji.

- Teraz chyba ktoś inny zaprzęta ci myśli, nieprawdaż? - zapytała Afrodyta.

- Nie twoja sprawa - odparł Apollo.

- Uznam to za „tak”.

- Wiecie, na czym polega wasz problem? - odezwała się Artemida.
- Nie kontrolujecie emocji. To się nigdy nie kończy. Dla ciebie liczy się tylko... - obniżyła głos do szeptu - seks, seks, seks.

Artemida zmarszczyła nos z niesmakiem, że to powiedziała, i to nie jeden raz, lecz trzy, co gorsza, wykonując przy tym dwuznaczne ruchy biodrami.

- Przynajmniej nie muszę przez cały czas biegać, żeby wyładować frustrację seksualną - odrzekła Afrodyta.

Artemida nie zaszczyciła jej odpowiedzią i skupiła się na rozciąganiu mięśni ramion.

- No to mów - zwróciła się Afrodyta do Apollina. - Jaka ona jest?

- Skąd wiesz, że to „ona”? - spytał Apollo.

- Domyśliłam się - powiedziała Afrodyta. - Więc w czym problem? Dała ci kosza?

- Jeśli tak, to lepiej, żeby się nie okazało, że została rośliną doniczkową - oświadczyła Artemida.

- Przez ciebie nie mogę już tego robić, pamiętasz? - odparł Apollo. - I nie, nie dała mi kosza. Nie miała okazji. Odeszła, zanim zdążyłem z nią choćby porozmawiać. I już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Apollo wybrzdąkał tę samą żalną melodię, po czym westchnął.

- No co ty - powiedziała Afrodyta. - Nie pękaj. Na pewno się pojawi.

- Szukałem jej wszędzie - stwierdził Apollo. - Nie wiem, gdzie może być.

- Nawet z nią nie rozmawiałeś i doprowadziła cię do takiego stanu? - zapytała Artemida. - Na litość boską. Jesteś dorosłym bogiem, więc zacznij się zachowywać jak dorosły. Gruchasz i szlochasz z powodu jakiejś śmiertelniczki, której nawet nie znasz! Upijasz się do nieprzytomności! Wyśpiewujesz pioseneczki! Pamiętaj o swojej godności, obowiązkach związanych z twoją pozycją społeczną! Przynosisz wstyd Olimpowi. Nic dziwnego, że wolę spędzać czas ze zwierzętami. Nie o takim spędzaniu czasu mówię - dodała, widząc, że Afrodyta otwiera usta, a na jej gibkim różowym języku już czai się lubieżny komentarz.

- Nie obchodzi mnie Olimp - powiedział Apollo. - Nic mnie nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, czy słońce jeszcze kiedyś wzejdzie.

- Oj, weź się w garść - odparła Artemida. - To tylko śmiertelniczka. Umrze, zanim się zorientujesz.

- Zostaw biednego chłopca w spokoju - powiedziała z uśmiechem Afrodyta. - Nie widzisz, że się zakochał?

Artemida przewróciła oczami i wyszła z pokoju. Wzięła klucze i otworzyła drzwi wejściowe. Za nimi, ku jej zdumieniu, stała mała śmiertelniczka, około metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, włosy w nieokreślonym odcieniu blond, trochę przysadzista, w okularach. Niezwykle było w niej tylko to, że stała przed ich progiem. Widać nie wszędzie dotarły wieści o tym, co dzieje się ze śmiertelnikami, którzy zawędrują pod ich drzwi.

- Zgubiłaś się? - spytała Artemida.

Śmiertelniczka spojrzała na Artemidę, a potem w dół na swoje dłonie, w których, co Artemida właśnie zauważyła, ścisnęła kilka małych zadrukowanych kartek. Dziewczyna ponownie spojrzała na Artemidę, po czym zdecydowała, że jej dłonie stanowią przyjemniejszy widok.

- Nie - wyszeptała. Było to niewiele więcej niż tchnienie. - Jestem sprzątaczką. Roznosiłam... roznosiłam ulotki.

Artemida wyciągnęła kartkę z drżącej ręki śmiertelniczki.

- Proszę bardzo - powiedziała, nie spojrzawszy na ulotkę. - Już rozniosłaś. A teraz odejź.

- Czego ona chce? - dobiegł głos z wnętrza domu.

Artemida odwróciła się. Afrodyta wyszła z pokoju dziennego, zamknąwszy za sobą drzwi, i teraz opierała się niedbale o ścianę przedpokoju, przyglądając się śmiertelniczce z uniesioną w eleganckim łuku jedną brwią.

- To sprzątaczką - odparła Artemida.

- Nie potrzebujemy sprzątaczkę - stwierdziła Afrodyta. - Niech sobie idzie.

- Słyszałaś? - zwróciła się do śmiertelniczki Artemida.

- Od sprzątania mamy Artemidę - ciągnęła Afrodyta.

- Co?

- Właściwie nie ma nic innego do roboty - mówiła dalej Afrodyta.

- Na jej inne tak zwane umiejętności nie ma już zapotrzebowania.

- Wcale nie jestem od sprzątanania! - zaprotestowała Artemida.

- Jeśli zatrudnicie sprzątaczkę - wtrąciła się śmiertelniczka - skończą się wasze domowe sprzeczki.

Artemida niemal zapomniała, że dziewczyna wciąż tam jest. Sądząc po jej wyrazie twarzy, była jeszcze bardziej zaskoczona faktem, że się odezwała, niż bogini.

- Zapewniam cię, sprzątaczką naprawdę nie jest nam potrzebna - powiedziała Afrodyta.

Śmiertelniczkę niełatwo było zniechęcić.

- Dobra sprzątaczką - zaczęła - to niezbędna inwestycja dla zajętych, aktywnych zawodowo młodych osób. - Odchrząknęła i jej głos podniósł się o jedną setną tonu. - We współczesnym świecie czas to nasz największy skarb, więc po co go marnować na obowiązki domowe, które są dla was nudne czy nieprzyjemne?

- Tyle że czasu to nam nie brakuje - odparła Artemida.

Nawet nie spojrzawszy w dół, Afrodyta sięgnęła za siebie i podniosła dość zaskoczonego szczura, który właśnie zbiegł po schodach.

- Hej, Artemido! - powiedziała, trzymając wijącego się gryzonia za ogon. - Aport!

Rzuciła zwierzęciem, które przeleciało przez drzwi, tuż obok pozieleniałej śmiertelniczki, sturlało się po schodach i wylądowało na grzbiecie na ulicy, gdzie stanęło z powrotem na łapkach i czmychnęło.

- Artemida jest specjalistką od zwalczania szkodników - zwierzyła się śmiertelnicze Afrodyta.

- Zabijam dla przyjemności - powiedziała Artemida - nie z obowiązku.

Śmiertelniczka zaczęła wycofywać się po schodach.

- Powiedz mi - zwróciła się do niej Artemida, przyciągając ją głosem niczym lassem. - Jaki masz stosunek do szczurów?

Śmiertelniczka zamarła w miejscu; przełknęła ślinę głośniejsze, niż dotychczas mówiła, ale odpowiedziała:

- Źle utrzymany dom może stać się siedliskiem dla szkodników. Dobra sprzątaczką to pierwszy krok ku otoczeniu wolnemu od szczurów.

- A doświadczenie? - zapytała Artemida. - Czy masz jakieś doświadczenie?

- To strata czasu - ziewnęła Afrodyta. - Ty jesteś całym personelem technicznym, jakiego potrzebujemy, droga bratanico.

- Mam wieloletnie doświadczenie i wprawę w sprzątaniu największych i najważniejszych przedsiębiorstw w Londynie - powiedziała śmiertelniczka. - Teraz chcę wykorzystać swoje umiejętności w waszym domu.

- Nawet o tym nie myśl, Artemido - stwierdziła Afrodyta. - Zeus i Hera nigdy na to nie pozwolą. Chyba nie chcesz narobić sobie kłopotów, prawda? - Zwróciła się do śmiertelniczki: - Artemida jest bardzo dobrze wychowana. To osoba z natury służalczą.

- Zeus i Hera się nie dowiedzą - odparowała Artemida. - Jeśli tylko będzie postępować ściśle według instrukcji. Potrafisz postępować według instrukcji, prawda?

- Jestem kompetentna, posłuszna i cicha - odpowiedziała śmiertelniczka.

- Cóż, nie wątpię - przerwała jej Artemida. - No dobrze. Jaką masz dzienną stawkę?

Śmiertelniczka ją poinformowała.

- I zajmujesz się tępieniem?

Wyraz twarzy śmiertelniczki stanowił odpowiedź.

- A gdybyśmy płacili ci tyle za godzinę? Czy wtedy zabijałabyś dla nas? Mówimy tylko o szczurach i kilku innych małych stworzeniach. Karaluchach, muchach. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wiewiórki.

- Ja... - zaczęła śmiertelniczka.

- I będziesz musiała przychodzić codziennie - powiedziała Artemida.

- Nie stać nas na to - wtrąciła Afrodyta.

- Ależ tak - odparła Artemida. - Musimy tylko przestać kupować jedzenie.

- Kiedy ja lubię jedzenie - jęknęła Afrodyta.

- Trudno - powiedziała Artemida. - Jedzenie nie jest konieczne. Posiadanie sprzętaczki tak.

Odwróciła się z powrotem do śmiertelniczki.

- Będziesz musiała przestrzegać Zasad. Jutro będę miała dla ciebie gotowy laminowany regulamin.

Śmiertelniczka wyglądała trochę niewyraźnie. Artemida miała nadzieję, że nie zemdleje.

- Ja... - zaczęła znowu śmiertelniczka.

- Nie musisz mi dziękować - powiedziała Artemida.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - odezwała się Afrodyta - sprowadzając do domu śmier... sprzętaczkę.

- Dziękuję za twój wkład, Afrodyto - odparła Artemida - ale zapewniam cię, że doskonale wiem, co robię. Ty, dziewczyno, zaczniesz pracę jutro o jedenastej. A teraz muszę iść z psami. Do widzenia.

Śmignęła po schodach, mijając śmiertelniczkę, która wciąż gapiła się na nią z otwartymi ustami, po czym pomaszerowała ulicą.

Alice wciąż jeszcze nie była pewna, czy przyjęła tę pracę, a jednak właśnie ją wykonywała. Nie lubiła szcurów, a jak się okazało, jeszcze bardziej nie lubiła ich zabijać: co, choć nielogiczne, było wszakże prawdą. Jej życie zamieniało się w serię paradoksów („paradoks” wspaniałe słowo do scrabble), a wszystko to działo się na pozór bez jej zgody. Zarabiała więcej niż kiedykolwiek dotąd, rozpaczliwie chciała odejść, a jednocześnie jakaś magnetyczna siła zdawała się rano wyciągać ją z łóżka, myć, ubierać, karmić i stawiać na popękany omszałym progu, gdzie czekała, aż zostanie wpuszczona, mimo że nie zadzwoniła - to jedna z Zasad - zastanawiając się każdego dnia, czemu właściwie tak jest. Wyglądało na to, że jej odczucia liczą się nie bardziej niż odczucia pionka szachowego. Ale to była przecież jej decyzja, nieprawdaż?

Pierwszy dzień okazał się dziwny, a potem wszystko stawało się coraz dziwniejsze. Na początku pomyślała, że ma szczęście - pierwszego dnia poszukiwań nowej pracy nie tylko otrzymała ofertę, ale jeszcze zaproponowano jej znacznie wyższą stawkę niż ta, którą dostawała w agencji. To Neil zasugerował, że powinna zostać wolnym strzelcem: był oburzony, że wylali ją z agencji, i stwierdził, że nie ma żadnego powodu, by oddawała komuś jakiś procent swoich dochodów, skoro może bez problemu sama znaleźć sobie pracę. Gdy zaprotestowała, tłumacząc, że bardzo niezręcznie się czuje, kiedy ma zacząć rozmowę i wychwalać samą siebie, Neil przeciwiczył z nią strategię komunikacyjną i pomógł wymyślić autopromocyjną gadkę. Naprawdę szalenie miło z jego strony; Alice wiedziała, że ma ciekawsze zajęcia, nie musi tracić wieczorów na to, by jej pomagać. On jednak

nalegał; twierdził nawet, co było absurdalne, że to z jego winy utraciła pracę.

To niejasne przeczucie, że szczęście nie jest tu właściwym słowem, pojawiło się, gdy następnego dnia stanęła przed drzwiami frontowymi tego domu, a te otworzyły się, kiedy unosiła palec, by nacisnąć porysowany mosiężny dzwonek.

- Nigdy nie pukaj ani nie dzwoń - powiedziała kobieta, która w nich stanęła: Artemida. Poprzedniego dnia Artemida przez dwie minuty była najpiękniejszą kobietą, jaką Alice kiedykolwiek widziała. Potem pojawiła się ta druga, Afrodyta, i sprawiła, że Artemida wydała się jej przeciętna.

- A jak dostanę się do środka? - zapytała Alice. - Mam dorobić sobie klucze?

- Nie - odparła Artemida. - Żadnych kluczy. Pod żadnym pozorem. Po prostu bądź punktualna. Ktoś cię wpuści.

- A jeśli gdzieś wyjedziecie?

- Nigdy nie wyjeżdżamy. Nawiasem mówiąc, jedna z Zasad brzmi: żadnych pytań. I nie odzywaj się nie pytana. Wejdz, proszę.

Alice przekroczyła próg i weszła do domu w ślad za Artemidą.

- Zasada numer jeden - powiedziała Artemida, kiedy znalazły się w środku. - Nigdy nie wchodzi na najwyższe piętro. Zasada numer dwa: Ja mam zawsze rację.

Alice mruknęła, że rozumie, ale jej uwagę pochłaniał stan domu. Było tu brudno. Alice spodziewała się tego; zobaczyła dosyć przez otwarte drzwi, by poświadczyć to z całym przekonaniem. Ale nie spodziewała się, że jest aż tak źle. Problemem był nie tyle brud, co sedimentacja. Dywan (uznała, że to dywan - ani wygląd, ani faktura nie ułatwiały zidentyfikowania materii pod czarnym szlamem), ściany,

okna, przez które przebijała jedynie odrobina światła, jakby przez gęsty szary śnieg - wszystko pokrywały takie warstwy brudu, że Alice miała pokusę zaproponować, żeby skorzystali z usług archeologa, ale w tym celu musiałyby się odezwać, czemu zarówno ona, jak i Artemida były przeciwne. A zresztą kolejna Zasada Artemidy brzmiała: Żadnych sugestii.

Alice, której stopy przy każdym kroku przyklejały się do podłogi, chodziła za Artemidą z pokoju do pokoju, odnotowując wszystko, co połamane, zapamiętując meble, sufit pokryty pajęczynami, dziurawe listwy przypodłogowe - przytulne schronienie kto wie czego. Przez cały ten czas Artemida czytała nie z jednej, lecz trzech laminowanych kartek z Zasadami.

- Zasada numer dwadzieścia dziewięć. Nigdy, pod żadnym pozorem nie wpuszczaj do domu nikogo obcego. Zasada numer trzydzieści. Musisz być zawsze ubrana tradycyjnie - to dla twojego bezpieczeństwa.

Alice mogła tylko przytakiwać w milczeniu, choć i tak Artemida nie odwróciła się ani razu, żeby sprawdzić, czy się zgadza, albo czy w ogóle jeszcze tam jest, czy też może uciekła. Alice zdała sobie sprawę, że Artemida to typ osoby, która zakłada, że jej polecenia zostaną wykonane. I tak też się działo. Alice nie należała do takich osób.

Kiedy przeszły do kuchni, Alice mało nie zwymiotowała. Nawet Artemida sprawiała wrażenie lekko zażenowanej.

- Cóż, zgadzam się - powiedziała, mimo że Alice nie zaryzykowała wyrażenia jakiegokolwiek opinii, poza tą, którą można było wyczytać z odruchowego skurczu przepony - że źródło naszego problemu ze szcurami prawdopodobnie tkwi tutaj. Ale jestem pewna, że kiedy usuniesz większość rozkładających się artykułów spożywczych,

wszystko to będzie wyglądało znacznie mniej przygnębiająco. Możemy ruszać na górę?

Wtedy Alice powinna była odejść, ale nie zrobiła tego. Później bezskutecznie usiłowała zrozumieć dlaczego. Było to jak próba spojrzenia na coś, czego nie ma.

Trzeciego dnia po południu spotkała Apolla. Najgorsze gnijące elementy zostały zamknięte w baterii wzmocnionych toreb na śmieci i załadowane na ciężarówkę przysyłaną przez uczynny wydział ochrony środowiska (korzystanie z pomocy z zewnątrz też było wbrew Zasadom, ale Alice wykonała telefon od siebie i nikt nie przekroczył progu domu, więc uznała to za dopuszczalne i konieczne ryzyko). Rozłożyła pułapki i truciznę koło wszystkich dziur przypominających ser Gruyere, które upodabniały dom do wielopoziomowego gniazda myszy, i usuwała rezultaty kilka razy dziennie. Właśnie stała w pokoju dziennym i nawijała pajęczyny na miotłę, tworząc jakby wielką watę cukrową, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł on, ciągnąc za sobą gitarę akustyczną.

Od razu rozpoznała w nim uczestnika programu telewizyjnego, ale pomna na instrukcje Artemidy, nie mogła nic powiedzieć, nawet gdyby chciała. Natomiast jego reakcja była zdecydowanie kuriozalna („kuriozalny”: kolejne wspaniałe słowo). Apollo wytrzeszczył oczy. Gitara niepostrzeżenie wypadła mu z ręki. Sięgnął do swojego przedramienia i uszczypnął je z całej siły. Alice nie chciała na niego patrzeć, ale czuła, że byłoby niegrzecznie z jej strony, gdyby odwróciła wzrok. Modliła się, żeby ziemia się rozstąpiła i pochłonięła ją, ale tak się nie stało. Poczowała natomiast, że się rumieni pod jego badawczym spojrzeniem. Pamiętała ten wzrok z nagrania programu. Może ma coś nie tak z oczami.

- Co ty tu robisz? - zapytał w końcu.

- Artemida mnie zatrudniła - Alice powtórzyła to, co miała mówić, gdyby ktoś pytał. - Jestem nową sprzątaczką. Jeśli masz z tym jakiś problem, porozmawiaj z Artemidą. Masz prawo mnie zwolnić, ale tylko jeśli przysięgniesz na styk, że od tej chwili sam zajmiesz się całym sprzątaniami.

Apollo zareagował na to tak, jak ktoś mógłby przyjąć informację, że ziemia jest z budyniu.

- Artemida cię zatrudniła. Artemida! Nie może być! Skąd ona cię zna? Nie zna cię nikt prócz mnie! Czy ona знаła cię przez cały ten czas?

- Nie - powiedziała Alice. - Trafiłam pod wasze drzwi.

- Ale nie rozumiem. Jak mnie znalazłaś?

- Och nie, nie znalazłam cię. Nie wiedziałam, że tu mieszkasz.

Apollo uderzył się ręką w pierś i przytrzymał ją tam.

- Mojry! - oświadczył. - Nie zawsze się zgadzaliśmy. Nareszcie ugięły się przed moją wyższością! Jak ci na imię?

Po raz pierwszy ktoś w tym domu zapytał ją o imię.

- Alice.

- Alice - powtórzył Apollo, obracając to słowo w ustach, jakby je smakując. - Alice. Cóż za poetyckie imię. Słodkie, a przy tym tak wyraziste. Naprawdę piękne.

- Dziękuję - powiedziała Alice.

- Jesteś sprzątaczką?

- Tak - odparła Alice.

- Cóż za szlachetny zawód. Mówi się, że czystość jest najważniejsza po boskości. Czyż nie chciałabyś, żeby to była prawda?

Alice się spociła i kołnierzyk koszuli przykleił się jej do szyi. Chciała go odciągnąć - właściwie to chciała przecisnąć się obok Apolla i

możliwie najszybciej uciec z pokoju - ale nie mogła się ruszyć.

- Nie wiem, co masz na myśli - powiedziała.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Apollo. - Jesteś cnotliwa, prawda, Alice? Widzę to. Cnotliwa...

Oczy rozmarzyły mu się na chwilę, ale szybko odzyskały dawną przenikliwość.

- Co ty robisz? - zapytał. - Odłóż to. Usiądź.

- Nie mogę usiąść - zaprotestowała Alice. - Artemida powiedziała...

- Pieprzyć Artemidę - przerwał jej Apollo. - Nie powinnaś w ogóle słuchać tej starej wiedźmy. Ona nie rządzi ani mną, ani nikim innym, i z całą pewnością nie powinna rządzić tobą. Proszę, żebyś w tej chwili odłożyła miotłę i usiadła. Siadaj!

Alice podskoczyła, upuściła miotłę i przysiadła na brzeźku drewnianego fotela pokrytego grudkami czarnego smaru, który dziwnie przypominał pastę do butów. Apollo usiadł na podłodze przed nią, nieprzyjemnie blisko. Wsunęła stopy trochę głębiej pod fotel.

- Powiedz mi coś, Alice - odezwał się Apollo. - Co myślisz o moim programie?

Alice znalazła się w kłopotliwym położeniu. Były dwie rzeczy, których nie znosiła najbardziej: kłamać i ranić uczucia innych, a teraz znalazła się w sytuacji, która najwyraźniej zmuszała ją do zrobienia jednej z nich. Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Twoje asystentki były bardzo ładne - stwierdziła w końcu.

- Nawet w połowie nie tak ładne jak ty - odparł Apollo.

Alice zaczęła się odsuwać najdalej jak mogła, aż siedziała już tak prosto, jakby połknęła kij. Czuła, że jej kręgosłup usiłuje wspiąć się

na oparcie i przeskoczyć na drugą stronę.

- Nie chcę, żebyś oceniała mnie na podstawie tego domu - powiedział Apollo. - To nie zawsze tak wyglądało. Kiedyś byliśmy... sławni. Jeszcze w Grecji. I w Rzymie - we Włoszech. W tamtych czasach ludzie byli inni. Wierzyli. Wszyscy wiedzieli, kim jesteśmy. Te pochlebstwa, sława, to był - cóż, prawdziwy kult. Mieszkaliśmy w pałacu - szkoda, że nie mogłaś tego zobaczyć, Alice! Fontanny, ogrody rozkoszy, nimfy przemykające z wdziękiem po lesie - oczywiście nigdy na nie nawet nie spojrziałem. Mieliliśmy wszystko. Wszystko! Możesz to sobie wyobrazić?

W jego oczach była prośba o jakiś odzew.

- To musiało być miłe - przyznała Alice.

Usatysfakcjonowany Apollo ciągnął dalej, a jego głos nabral ciemniejszej barwy.

- A potem czasy się zmieniły. Wyszliśmy z mody, popadliśmy w niełaskę. Nie mogę wdawać się w szczegóły, wspomnienie jest wciąż zbyt świeże. To był upadek z wysoka, Alice. Bolało. Ta degradacja wokół nas - ona tylko odzwierciedla ból, jaki czujemy w środku. Tak więc ten program telewizyjny był niczym balsam. Chodziło o uchwycenie czegoś, co, jak sądziłem, utraciłem na zawsze. Potrafisz to zrozumieć, Alice?

Alice nie potrafiła skłamać.

- Niezupełnie - wyznała.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Apollo. - Jakżebyś mogła? Niewinne dziecko. Ile masz lat?

- Trzydzieści dwa.

- Trzydzieści dwa! Przecież ty się dopiero co urodziłaś. Alice, czy mogę ci coś wyznać? Ledwo się poznaliśmy, a ja już czuję się z tobą

związany. Ta rozmowa poruszyła mnie bardziej, niż potrafię to wyrazić. Jesteśmy jak dwie bratnie dusze. Czy ty też to czujesz, Alice? Czujesz to?

Apollo położył jej rękę na kolanie. Alice zerwała się z fotela i chwyciła miotłę. Przez chwilę oboje myśleli, że może go nią zdzielić, i oboje byli tym zaskoczeni, ale ona tylko wyciągnęła w jego stronę zasnuty pajęczynami koniec.

- Pająki - powiedziała, pokazując mu brązowe stworzenia kotłujące się w szarości. - Zapomniałam. Muszę je wynieść na dwór. A potem muszę iść do domu.

Apollo miał zbolalą minę. Alice pomyślała nawet, że gotów się rozplakać, i nagle przyszło jej do głowy, że chyba pił albo zażywał narkotyki - wszystkie gwiazdy telewizji biorą. Ta myśl dodała jej otuchy: to wszystko nie ma nic wspólnego z nią, a po zejściu, jeśli tak się to nazywa, Apollo nie będzie nic pamiętał.

- Wrócisz tu jeszcze? - zapytał.

- Och, tak. Oczywiście, że wrócę - odparła Alice. - Przyjdę jutro. Będę tu codziennie.

Uśmiech rozświetlił twarz Apolla niczym wschód słońca po ciemnej nocy.

- W takim razie, nie ma powodu, żebyśmy się z czymkolwiek śpieszyli - stwierdził.

Alice poczuła, że znowu się denerwuje.

12

Niedziele Artemida miała wolne od psów, ale i tak szła pobiegać po Heath, szybciej i dalej, jako że nie spowalniały jej te niedorobione kundle. To się nazywa moc: siła jej kończyn, chrzęst darni pod stopami. Potrzebowała tego uczucia. Kiedy mijała rano kiosk, usłyszała

urywek wiadomości radiowych: obrońcy praw zwierząt (co za idioci) próbowali wprowadzić zakaz strzelania do zwierzyny. Artemida zaczęła tracić kontrolę nad światem. Nie zamierzała stracić kontroli nad sobą. Po emisji okropnego programu telewizyjnego, w którym uparł się wystąpić jej brat bliźniak, w domu zapanowało przygnębienie. Zrobił z siebie durnia. To nic nowego. Bogowie ciągle uciekali się do różnych podstępów, by inni wychodzili na głupków; gdyby przestali, świat prawdopodobnie stanąłby w miejscu, ponieważ byłiby zbyt znudzeni, żeby go dalej utrzymywać w ruchu. Ale Apollo zbłądził się publicznie, na oczach śmiertelników (zakładając, że komukolwiek z nich chciało się to oglądać), o ile jej wiadomo bez niczyjej pomocy, i było dość oczywiste, że w żaden sposób nie może tego naprawić. Artemida zastanawiała się, kiedy po raz ostatni przewidział przyszłość. Dawniej niemal nie sposób było go zmusić, żeby choć na chwilę przestał gadać o swoich przepowiedniach. A tymczasem sybille najwyraźniej zachowały zdolność jasnowidzenia. A przecież to nawet nie boginie! Artemida omal nie potknęła się o korzeń, wbiegając na porośnięte trawą zbocze. Był taki czas, kiedy i oni nie byli bogami. Kiedyś władzę sprawowali Tytani, ale osłabli i Olimpijczycy wykorzystali tę słabość. Mimo woli Artemida zaczęła sobie wyobrażać świat pod rządami sybilli. Byłby znacznie bardziej różowy niż teraz.

Pokręciła głową, by odsunąć od siebie tę wizję. Słońce świeciło i Artemida czuła, że zaczyna się pocić. Znowu zbliża się wiosna - niedługo Persefona wróci do domu. Artemida skrzywiła się. Miała nadzieję, że tym razem nie będzie spała w ich pokoju. Porozmawia z Ateną, by ta upchnęła u nich jeszcze więcej książek, dzięki czemu nie będzie już miejsca na dodatkowy materac. Oni po prostu nie mieszczą

się wszyscy w domu. Na szczęście wypadły Persefony do świata żywych stawały się coraz krótsze. Dawno temu, kiedy Zeus skazał ją na wygnanie do świata zmarłych na każdą zimę, wyznaczył minimalny okres, jaki musi spędzić w Podziemiu. Wtedy zdawało się, że nie ma potrzeby określać górnej granicy. Ostatnio Persefona zaczęła wykorzystywać tę furtkę. Artemida podejrzewała, że wraca tylko wtedy, kiedy pokłóci się z Hadesem, i przypuszczała, że w końcu w ogóle przestanie się u nich pojawiać.

Wracając do znieawidzonego domu po biegu, rozprostowaniu kończyn i ochłonięciu, Artemida zobaczyła na progu ociągającego się z wejściem Erosa, w eleganckim garniturze i ze starannie przyczesanymi włosami. Pomachała mu, on pomachał jej w odpowiedzi. Od kiedy Eros odkrył moralność, coś, czego odrobina przydałaby się także innym członkom jej rodziny, dogadywali się znacznie lepiej.

- Co robisz? - zawołała, kiedy znalazł się w zasięgu głosu.

- Właśnie wróciłem z kościoła - odrzyknął Eros. - Piękne nabożeństwo. Uwielbiam podniosłość Wielkiego Postu.

Artemida skinęła ze zrozumieniem. Zastanawiała się czasem, czy z niej nie byłaby dobrą chrześcijanką, ale nie mogła się zmusić nawet do udawania, że czci śmiertelnika - to jak czczenie ślimaka.

- Zapomniałeś klucza? - zapytała, zbliżając się do schodów.

- Nie - przyznał Eros. - Po prostu jakoś nie ciągnie mnie do domu. Miałabyś może ochotę pójść na spacer? Opóźnić trochę powrót. Ładny dziś dzień.

- Owszem, ładny - zgodziła się Artemida. - Dobrze. Czemu nie? W sumie nie mam nic lepszego do roboty.

Eros zeskoczył ze schodów i oboje z pewną ulgą odwrócili się i ruszyli w stronę High Street. Powietrze falowało lekkim przyjemnym wiaterek, a światło słoneczne odbijało się jasnością od okien budynków, które mijali. Artemida cieszyła się, że Apollinowi coś jeszcze wychodzi.

- Co myślisz o naszej nowej sprzątacze? - odezwała się, kiedy tak szli.

Eros włożył ręce do kieszeni, odwrócił wzrok i zaczął gwizdać.

- Miła dziewczynka, prawda? - ciągnęła Artemida. - To ja ją zatrudniłam, wiesz? Szczerze mówiąc, nie mogłam już dłużej mieszkać w tym brudzie. I nie chwałę się, poprawa jest...

Ale zobaczyła w jego oczach wyraz wskazujący, że jej prawdziwe uczucia mogą do niego przemówić bardziej niż kłamstwo, które miała właśnie wygłosić.

- Poprawa jest znikoma - dokończyła. - W domu panuje większy porządek, ale co to zmienia, skoro wszyscy wciąż w nim mieszkamy?

- Masz rację - odparł Eros. - Ona robi co w jej mocy, ale nie wystarczą chusteczki czyszczące, żeby uwolnić to miejsce od zgnilizny. Chociaż i tak jest odporniejsza, niż przewidywałem.

- Co masz na myśli? - zapytała Artemida.

- Och - odparł Eros. - Nic takiego. Ja tylko... nic.

Ruszył przez jezdnię, a ona podążyła jego śladem, i zrównała się z nim, kiedy znaleźli się po drugiej stronie. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Mijali psy na smyczach i Artemida próbowała nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, w nadziei że dostrzeże jakiś drapieżny błysk, jakąś oznakę, że są świadome swojego dziedzictwa, ale wszystkie były takie same - grube, leniwe, tępe. Zresztą to i tak nie miało sensu.

Przecież żaden prawdziwy pies nie pozwoliłby na to, by przywiązano go do człowieka.

- Naprawdę żałuję, że go nie poznałem, kiedy miałem okazję - powiedział Eros.

- Kogo?

- Jezusa.

- To o tym myślałeś?

- A o czym ty myślałaś?

- O psach.

Eros się zaśmiał.

- Cóż, każdy ma swojego konika.

- I każda.

Eros skinął głową.

- I każda - zgodził się. - Zastanawiam się po prostu... jaki on był? Taki, jak go opisują w Biblii? Czy wszystko to zmyślono później? To znaczy, oczywiście, że nie zmartwychwstał, mało komu się to udaje, no i wiedzielibyśmy o tym...

- Chyba żeby ktoś z nas wyprowadził go ukradkiem.

- Albo sam znalazł drogę powrotną.

- Nie. Wtedy byłby duchem jak inni.

- Więc jeśli nie zmartwychwstał, czy cała reszta też została zmyślona? Szkoda, że go nie poznałem. Taka strata. Kiedy pomyślę, że byliśmy tylko kawałek dalej w Rzymie, oddawaliśmy się uciechom, urządzaliśmy orgie...

- Nie wszyscy brali udział w orgiach.

- A przez cały ten czas on był tuż obok i prowadził to niezwykle życie...

- Albo i nie.

- ...które miało wywrzeć taki wpływ na cały świat - nawet na nas.

A my nie mieliśmy o tym pojęcia.

- On jest na dole - stwierdziła Artemida - w Podziemiu, wraz ze

wszystkimi takimi jak on. I wzięwszy to pod uwagę, zapewne trzyma się w cieniu. Pomyśl o tych wszystkich zawiedzionych klientach.

- To nie jego wina - powiedział Eros. - On nigdy nie chciał być bogiem. Dlatego wychodzi mu to znacznie lepiej niż komukolwiek z nas.

Dotarli już na High Street, gdzie od czasu świąt nie było jeszcze takich tłumów. Wyglądało na to, że śmiertelnicy wciąż oddają cześć słońcu, bo wysypali się ze swoich pudełek, by je powitać, kiedy tylko ono na nich mrugnęło. Spacerowali bez celu, śmiejąc się i rozmawiając - ze sobą nawzajem lub przez telefon; nie maszerowali już z opuszczonymi głowami, jak mają w zwyczaju zimą, kiedy to prą przed siebie, walcząc z wiatrem i deszczem. W sklepach też było tłoczno, drzwi zachęcająco pootwierane, a w środku śmiertelnicy składali hołd swojemu drugiemu obiektowi kultu - pieniądзом. Nic dziwnego, że Hermes bez przerwy pracuje. Dawniej stanowisko boga pieniędzy wydawało się raczej pomniejszym przydziałem, wszyscy uważali, że wyciągnął krótką zapalną. Ale ostatnio ma nieustające wzięcie.

- I tak jest nie tylko z Jezusem - mówił Eros. - Kiedy pomyśli się o tych wszystkich śmieciach, które wyprodukowała populacja śmiertelników...

Zatoczył ręką półkole, ogarniając rozciągający się przed nimi widok, i westchnął.

- No a dalej mamy tych nielicznych wielkich ludzi. Tak wielu z nich nie znałem. Choćby w mojej dziedzinie - uwierzysz, że nigdy nie zetknąłem się z Casanovą?

- Chcesz powiedzieć, że robił to wszystko bez twojego udziału? - wzdrygnęła się Artemida.

- Miał naturalny talent. Byron też. Apollo ciągle próbował mnie przedstawić, a ja ciągle byłem zbyt zajęty. No i zanim się obejrzałem,

już nie żył. Oni wszyscy umierają tak szybko. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Odchodzą w mgnieniu oka. Zawsze wydaje ci się, że będzie więcej czasu, ale nigdy go nie ma.

- Mógłbyś ich odwiedzić - powiedziała Artemida. - Gdybyś poprosił Persefonę, może zabrałaby cię na dół.

- Byłaś tam kiedyś? - zapytał Eros.

- Nie - odparła Artemida. Nagle zrobiło jej się zimno. - A ty?

Eros pokręcił głową.

- Zastanawiam się... Zastanawiam się, jak by to było nie żyć.

Artemida się zatrzymała. W jej piersi pojawiło się nieznanne uczucie - ucisk i coś w rodzaju drżenia, a niżej żołądek podchodził jej do gardła. Czuła niemal bolesne mrowienie w dłoniach i stopach i kręciło jej się w głowie. Po chwili zdała sobie sprawę, że to początek napa-
du paniki.

- Ty nigdy o tym nie myślisz? - zapytał Eros.

- Nigdy - odparła Artemida. - Jaki by to miało sens?

- To nie jest niemożliwe - powiedział Eros.

- Jest - powiedziała Artemida.

- Nie.

Eros poprowadził ją do witryny, gdzie stała chuda plastikowa kukła, o kończynach tak twardych i gładkich jak kości wysuszone na słońcu, upozowana, z biodrem wojowniczo wypchniętym do przodu, w pięciocentymetrowej spódnicy, jaskrawoniebieskich kabaretkach i cienkiej bluzce, rozpiętej w taki sposób, by było widać lśniący, delikatny materiał koronkowego stanika. Nie chciało mu się nawet tego komentować.

- Wciąż żyję nadzieją - powiedziała Artemida.

- A gdybyś porzuciła nadzieję? Co wtedy?

- Ty masz dobrze - odparła Artemida; odeszła od niego i ruszyła w dół ulicy. - Ludzie wciąż się w sobie zakochują. Wciąż masz powód istnienia.

- Nie byłbym tego taki pewny - stwierdził Eros, doganiając ją. - Myślę, że ludzie już się tak nie palą do miłości - prawdziwej miłości, takiej skomplikowanej. Lubią romanse i - przepraszam - seks, ale kiedy to się wypali, wszystko zaczyna trącić odpowiedzialnością, i wtedy sobie odpuszczają.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że oni nas już nie potrzebują. Nie chcą nas. Zapominają.

- Przecież wiem.

- A nasza moc nie będzie wieczna...

- Muszę usiąść - stwierdziła Artemida.

- Przepraszam - powiedział Eros. - Może na tej ławce? Będziemy stąd czuli zapach naleśników z furgonetki.

Eros wziął ją pod rękę i posadził. Artemida odetchnęła głęboko i po chwili zaczęła się delektować zapachem bulgoczącego masła i topionego cukru. Zastanawiała się, jak by to smakowało, jak by to było mieć to w ustach, w gardle. Czy naprawdę tak by jej zaszkodziło, gdyby spróbowała?

- Może - odezwał się Eros - nie byłoby tak źle.

- Zjeść coś? - zapytała Artemida.

- Umrzeć.

- Nie chcę już więcej o tym rozmawiać.

- Ale posłuchaj tylko. Wyobraź to sobie. Taki spokój. Znaleźć się gdzieś indziej. Z dala od tego wszystkiego. Nie być za nic odpowiedzialnym.

- Ale przecież ty zawsze jesteś najbardziej odpowiedzialny, po prostu dla przyjemności.

- To nie znaczy, że nie bywam zmęczony.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym nie być odpowiedzialna

- powiedziała Artemida - nie rządzić. To jedyne, co w życiu robiłam. Jedyne, co ty robiłeś. Nie mów mi, że wolałbyś być martwy.

Przez chwilę Eros patrzył przed siebie, w słońce, mrużąc oczy i nie odpowiadając.

- Gdybyś wiedziała, że masz przed sobą tylko sto lat życia - odezwał się w końcu - co byś zrobiła z czasem, który ci pozostał?

Na ulicy przed nimi jeden samochód wjechał w tył drugiemu; obaj kierowcy wysiedli i zaczęli na siebie wrzeszczeć, a wszystkie samochody za nimi zaczęły trąbić, co w żaden sposób niczego nie przyśpieszało, ale znacznie uprzykrzało wszystkim czas oczekiwania.

- Wyprowadziłabym się - powiedziała Artemida.

13

Dwa tygodnie po tym, jak Alice zaczęła nową pracę, Neil zaprosił ją na herbatę, żeby to uczcić. Miał nadzieję, że spodoba jej się przytulna kawiarenka, którą wybrał, mała i niska, o oknach zamglonych parą z czajnika, wystarczająco cicha, by nie czuła się przytłoczona, a przy tym na tyle gwarna, że nie będzie skrępowana myślą, iż jej głos słychać przy stoliku obok. Przyszedł na miejsce wcześniej, wybrał stolik w głębi, żeby przechodnie nie patrzyli na Alice, zamówił kawę i rozsiadł się z krzyżówką z *Telegraph*, którą zamierzał rozwiązywać, czekając.

Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło, i był właśnie pochłonięty wyjątkowo trudnym anagramem, kiedy dźwięk jej cichego „cześć” sprawił, że serce zabiło mu mocniej. Zerwał się na równe nogi, by ją przywitać, i niemal przewrócił swoją filiżankę, przechylając

się przez stół, żeby pocałować powietrze pięć milimetrów od jej policzka.

- Jak się miewasz? - zapytał. - Trafiłaś tu bez trudu? Mam nadzieję, że nie musiałaś długo jechać.

- Och nie, to proste - powiedziała Alice, zajmując miejsce naprzeciwko i ściągając czapkę z pomponem. - Skorupiak.

- Słucham?

- Kupa sikor? Skorupiak. - Wskazała na jego anagram.

- No tak.

- Pewnie łatwiej było to zobaczyć do góry nogami.

- Czego się napijesz? - zapytał Neil. - Masz ochotę na ciastko?

- Nie wiem - odparła Alice. - A ty?

- Moglibyśmy się podzielić - zaproponował Neil.

- Ooch - powiedziała Alice. Miała związane z tyłu włosy i Neil zauważył, że kiedy się różowi, rumieniec wędruje w górę jej szyi, aż po uszy. - Byłoby wspaniale.

Podeszła do nich kelnerka i Neil zamówił herbatę dla Alice i kawalek sernika z dwiema łyżeczkami.

- No i jak tam praca? - spytał Neil.

- Och, w porządku - odparła Alice.

- Jacy to ludzie? - zapytał Neil. - Są dla ciebie mili?

Alice zawahała się.

- Nie wiem - powiedziała.

- Jak to nie wiesz?

- Trudno powiedzieć. Z pewnością zachowują się miło, na swój sposób.

- Jak to? - zapytał Neil.

- Cóż, niektórych ludzi łatwo ocenić i powiedzieć, kiedy są mili. Weźmy ciebie, Neil. Ty zawsze jesteś miły. Myślisz o innych i o tym, co mogłoby im się spodobać, a potem to robisz, i to jest miłe. To znaczy, nie chcę, żebyś pomyślał, że... mówię po prostu, że... że dla mnie

tak to wygląda...

Nagle Alice zdała się znacznie bardziej zainteresowana małą dziurką wypaloną w perkalowym obrusie niż nim.

- A oni? - zapytał przynaglając Neil.

- Na pewno nie robią tego świadomie - powiedziała Alice - ale oni właściwie, hm, nie dostrzegają innych tak jak większość ludzi. Więc jeśli są mili, to jakby przez przypadek.

- To nie brzmi za dobrze - stwierdził Neil.

- Och, nie - zapewniła Alice. - Są w porządku, naprawdę. Nie chcę być niemila...

Zamilkła, kiedy pojawiła się kelnerka z herbatą i ciastkiem. Kiedy zniknęła, ciągnęła dalej:

- Myślę, że się starają.

- No cóż, nie za wiele o nich powiedziałaś - drążył Neil. - Kto tam mieszka? To rodzina? Współlokatorzy?

Alice znowu się zawahała.

- Właściwie to nie wolno mi o tym mówić - odparła.

- Jak to?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Czemu nie?

- Nie wiem. Mam nie mówić o tym, że nie mogę o tym mówić.

- Czy możesz mi powiedzieć cokolwiek?

- Nie. Nic.

- Ale nikt się nie dowie - zapewnił Neil.

- Nie chcę narobić sobie kłopotów - odparła Alice, odwracając wzrok.

- Przepraszam - powiedział Neil. - Nie musisz mi nic mówić. To mnie nie dotyczy. I tak by mnie to pewnie specjalnie nie zainteresowało.

Alice nie odpowiedziała.

- To nie znaczy, że ty mnie nie interesujesz - dodał Neil. - Nie to miałem na myśli. Chciałem tylko powiedzieć... to nie moja sprawa.

Alice wciąż milczała. Neil żałował, że w ogóle zaczął ten temat. Miał nadzieję, że sobie nie pójdzie.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Proszę. Przepraszam, że poruszyłem ten temat. Może zagramy partię scrabblu? Mam palmpilota. Moglibyśmy dokończyć grę, którą zaczęliśmy, zanim poszliśmy na nagranie programu. Zachowałem ją.

Ku jego przerażeniu ta propozycja najwyraźniej jeszcze bardziej zasmuciła Alice; która zaczęła się kręcić na krześle, czerwona na twarzy. Oczywiście: nie powinien wspominać o tamtym dniu, dniu, kiedy wylano ją przez niego z pracy.

- Przepraszam... - zaczął znów Neil.

- Tam mieszka Apollo - wyrzuciła z siebie Alice.

- Co? Apollo? Apollo z programu telewizyjnego? Gdzie?

Neil zmrużył oczy i spojrzał przez salę ku ulicy, jakby się spodziewał, że zobaczy go przechadzającego się po chodniku - jego doskonałe ciało, doskonałą twarz i pieprzone doskonałe włosy.

- W tamtym domu - odparła Alice. - W domu, gdzie pracuję. Nie wolno mi nic mówić, ale czułam się, jakbym kłamała, nie wspominając ci o tym.

- Sprzątasz dom Apolla? Pracujesz dla Apolla?

- Mieszka tam wiele osób - odparła Alice. - On jest jedną z nich.

- Pracujesz dla Apolla - powtórzył Neil.

- A co? - zapytała Alice. - W czym problem?

- Chodzi tylko o to, że nie wydał mi się szczególnie, no wiesz, uczciwy.

- Taką ma pracę - powiedziała Alice.
- Mimo wszystko - stwierdził Neil. - To świadczy o tym, jakim jest człowiekiem.

- Ale myślałam, że lubisz takie rzeczy. Chodzi mi o takie programy.

- Oczywiście, że lubię. Tylko że on, no cóż, wydał mi się bardziej nieuczciwy niż większość prezenterów, których dotychczas widziałem. To krętacz. I zarozumialec. I wolałbym, żebyś nie pracowała dla kogoś takiego.

- Miło, że cię to obchodzi, Neil - powiedziała Alice - ale przysięgam, że nie masz się czym martwić. On jest naprawdę uroczy i zawsze bardzo miły w stosunku do mnie.

- Przecież mówiłaś, że nikt tam nie jest miły.

- On jest najmiłszy.

- Jesteś zbyt ufna - stwierdził Neil. - Musisz zacząć dostrzegać to, co się kryje za fasadą.

- Myślę, że inni go po prostu nie rozumieją - odparła Alice. - Jestem pewna, że byś go polubił, gdybyś go poznał.

- A ja jestem pewny, że nie - powiedział Neil. - Kto tam z nim mieszka? Żona? Dzieci?

- Naprawdę nie mogę powiedzieć.

- Powiedziałaś już, że tam mieszka, więc możesz równie dobrze powiedzieć z kim.

Alice pokręciła głową.

- To chociaż czy jest żonaty.

- Nie wydaje mi się, żeby miał żonę - odparła Alice. - Przepraszam. Nie mogę zdradzić nic więcej. W ogóle nie powinnam była nic mówić. Czy możemy teraz zagrać w scrabble?

Neil wyciągnął palmpilota i włączył nową grę, ale ciągle miał przed oczyma zadowoloną twarz Apolla i słyszał głos Alice: „On jest

naprawdę uroczy”. „On jest najmiłszy”. „Myślę, że inni go po prostu nie rozumieją”. Nie zapomniał, jak Apollo patrzył na Alice tamtego dnia w studiu, i ten obrót spraw nie podobał mu się ani trochę.

Alice też nie mogła skoncentrować się na grze. Chciała opowiedzieć Neilowi o wielu różnych sprawach, ale cóż, kiedy musiała milczeć. Na przykład o Apollu. Rozumiała, dlaczego Neil go nie lubi - Neil był pod pewnymi względami znacznie mądrzejszy niż ona, i wiedział, dlaczego udawanie jasnowidza jest złe, choć ona nie rozumiała, co jest złego w podnoszeniu na duchu staruszek, którym niewiele w życiu zostało. Ale ona po tym pierwszym dziwnym spotkaniu poznała zupełnie inne oblicze Apolla. Chodził za nią po domu, kiedy sprzątała, i opowiadał jej wszystko o sobie, albo czasem śpiewał jej piosenki (naprawdę dobre), które komponował na gitarze. Prawda, na początku budziło to w niej głęboki niepokój i martwiło ją, że nie wie, jak reagować. Ale to, że nie potrafiła wydusić z siebie słowa, zdawało się nie przeszkadzać Apollowi, który chodził za nią dalej, na nic nie zważając. Właściwie czy to nie urocze z jego strony, że dotrzymuje jej towarzystwa? To niemal tak, jakby miała włączone radio. Po jakimś czasie zaczęła podejrzewać, że Apollo - tak przystojny i utalentowany, i cieszący się takim powodzeniem - jest w gruncie rzeczy dość samotny, i zrobiło jej się przyjemnie, że ona też dotrzymuje mu towarzystwa, nawet jeśli nigdy nie ma pomysłu, co mu powiedzieć.

Chciałaby też poznać zdanie Neila o Afrodycie, gdyby to tylko było możliwe. Nie do końca potrafiła ją rozgryźć. Alice, sprzątając, starała się trzymać na uboczu, gdyż szanowała prywatność klientów, ale ludziom w tym domu pojęcie prywatności chyba było obce, tak więc

czasem Alice widziała za dużo. W szczególności widziała za dużo Afrodyty, która często przechadza się nago albo prowadzi jakieś dość nieprzyjemne rozmowy przez komórkę. Po dwóch przepracowanych tam tygodniach wiedziała z całą pewnością, że Afrodyta ma romanse ze wszystkimi mężczyznami mieszkającymi w domu, i choć z jednej strony, zważywszy na jej niezwykłą urodę, nie dziwiła się, z drugiej, mimo iż bardzo starała się nie oceniać innych, uważała to za niesmaczne.

Jednakże najbardziej wytrąciła ją z równowagi reakcja Afrodyty, kiedy po raz pierwszy natknęła się na rozmawiających Apolla i Alice (czy raczej mówiącego Apolla i słuchającą Alice). Zastygła bez ruchu, w milczeniu, przyglądając im się uważnie, jakby właśnie odkryła w lesie dwa okazy rzadkich i płochliwych zwierząt, a potem nagle zaczęła wrzeszczeć coś niezrozumiale, kopiać, wałęsając i rozbijając różne przedmioty. Alice wybuchnęła płaczem, a Apollo, który w ogóle nie zareagował na napad szału Afrodyty, poderwał się niczym obudzony ze snu i pośpiesznie objął ją ramieniem, przez co poczuła się jeszcze gorzej, więc uciekła i zamknęła się w łazience, i nie chciała wyjść, dopóki nie przyszła Artemida i nie powiedziała jej, że zamykanie się w łazience jest zabronione. Ale następnym razem, kiedy Afrodyta spotkała ją samą, była spokojna i uprzejma, i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, i Alice pomyślała, że może jej się to przyśniło, tyle że od czasu do czasu przyłapywała Afrodytę, jak wpatruje się w nią z jadem w oczach, zwłaszcza kiedy rozmawia z Apollem. To zupełnie niemożliwe, żeby Afrodyta była zazdrosna o uwagę, jaką Apollo poświęca Alice; trudno ją uznać za kandydatkę do romansu z takim mężczyzną. Afrodyta musi więc mieć jakieś zaburzenia osobowości, i Alice powinna odnosić się do niej z wyrozumiałością, ale to nie czyniło pracy z nią ani trochę łatwiejszą, i Alice czuła się z tego powodu

trochę winna, i ponad wszystko chciałaby usłyszeć od Neila radę, co zrobić, ale nie mogła o nią poprosić.

A więc mieszkali tam Apollo i Afrodyta oraz Artemida - reprezentująca bardziej bezpośredni styl zarządzania niż ten, do jakiego przyzwyczaiła się Alice - a także Eros i Hermes, którzy przyglądają jej się ze zdecydowanie zbyt dużą ciekawością, by mogła czuć się swobodnie, no i Ares, który nie wiadomo dlaczego wprawia ją w zły nastrój, i Hefajstos, który jest okropnie obrzydliwy, i zawsze na jego widok dostaje mdłości, a to sprawia, że czuje się jak najokrutniejsza, najpłyt-sza osoba na świecie, i zawsze chce mu powiedzieć coś miłego, żeby nie odgadł, co naprawdę myśli, ale nie może, bo on nigdy się do niej pierwszy nie odzywa, i Dionizos, który ją peszy, bo jest zawsze pijany, i jeszcze te dwie kobiety, Atena i Demeter, które ignorują ją tak zupełnie, że niemal zdają się w ten sposób pokazywać, że ją zauważają - wszyscy oni wprawiają ją w takie zdumienie, a nie wolno jej o nich rozmawiać. Starła się ich nie oceniać: w końcu to Grecy, a wszystkie rodziny mają swoje zwyczaje. Była pewna, że osoby z zewnątrz uznałyby jej rodzinę za równie dziwaczną: jej rodzice często jadają płatki śniadaniowe po południu, a czasem przez cały dzień rozmawiają tylko po francusku, żeby poćwiczyć. A jednak ta dziwna rodzina jakby w nią wniknęła, a ona z powodu zakazów, jakie ją obowiązywały, nie potrafiła znaleźć sposobu, żeby się ich pozbyć - stworzyli w niej coś na kształt ściany. A Neil znajdował się po drugiej stronie.

Spojrzała na niego przez stolik, właśnie kiedy on patrzył na nią, i pomyślała, że widzi w jego oczach ziarno podejrzania. I nawet gdy otworzyła usta, żeby powiedzieć mu wszystko o tamtej rodzinie - co

jej tam Zasady! - słowa jakby zamarły jej na ustach; i nawet kiedy postanowiła, że w poniedziałek złoży wymówienie, wiedziała, że zostanie tam tak długo, jak oni będą chcieli.

14

- No i jak się to pani podoba?

Kąciki ust agenta nieruchomości uniosły się w górę, więc Artemida uznała, że się uśmiecha, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego.

- To już wszystko? - zapytała.

- Nie, nie, oczywiście, że nie.

Kąciki ust agenta nieruchomości powędrowały jeszcze wyżej; poprawił krawat. Artemida zauważyła okrągłą plamę brzoskwiniowo-beżowego podkładu wokół kołnierzyka jego koszuli.

- Jest jeszcze łazienka. Którą już pani pokazałem.

- To to był pokój? - zapytała Artemida.

Kiedy agent otworzył kratę, która osłaniała wejście - Artemida zastanawiała się, czy ma ona chronić osobę zajmującą mieszkanie, czy raczej pozostałych lokatorów tego krzywego pełnego przeciągów bloku - i sforsował drzwi, pogłębiając jeszcze czarny półksiężyc wyżłobiony w zniszczonym wzorzystym linoleum w stylu „vintage” (według agenta), weszli niepewnym krokiem prosto do przedpokoju, w którym znajdowały się - czy to normalne u śmiertelników? - pokryta warstwą osadu toaleta i zalatujący stęchlizną, cieknący prysznic.

- To raczej atrium - zasugerował agent.

Artemida podniosła wyblakłą kwiecistą zasłonę w jedynym oknie. Szyba była pęknięta. Niżej na parkingu grupa wyrostków kopała mniejsze dziecko, które leżało zwinięte na ziemi i osłaniało głowę rękami. Opuściła zasłonę.

- Czy są tu jakieś tereny spacerowe?

- Jest - eee - wspólne podwórko - odparł agent.

W odpowiedzi na wyraz zaciekawienia na twarzy Afrodyty skinął głową w stronę okna.

- Och - powiedziała Artemida.

Jeszcze raz spojrzała za zasłonę. Jedno dziecko odłączyło się od grupy i teraz filmowało przebieg wydarzeń telefonem komórkowym.

- A zwierzęta? - zapytała. - Czy mogłabym mieć psa?

Agent rozejrzał się po pokoju. Był tu tylko maleńki skrawek podłogi między pojedynczym łóżkiem, stojącą na trzech nogach szafą z obdrapaną okleiną, zlewem ze stali nierdzewnej i trochę tylko krzywą półką, na której stały mikrofalówka i elektryczna płytką do podgrzewania potraw.

- Przy wynajmie trzymanie zwierząt jest zabronione - wyznał. - Szkody, jakie wyrządzają... To obniża wartość nieruchomości. Jednakże - dodał z optymizmem, któremu kłam zadawały jego martwe oczy - jestem pewien, że mogłaby pani bez przeszkód hodować złotą rybkę. Albo papużkę falistą. O ile trzymałaby ją pani w klatce.

- Ale ja szukam mieszkania, w którym mogłabym mieć psa - powiedziała Artemida. - Dużego psa. Czegoś z ogrodem, po którym mógłby biegać?

Kąciki ust agenta nieruchomości opadły powoli.

- No cóż. Obawiam się, że to może być... przy sumie, którą mi pani podała... chyba że byłaby pani w stanie przeznaczyć na to jeszcze trochę pieniędzy... Powiedziałbym, że to...

- Trudne? - zapytała Artemida.
- Niemożliwe.

Artemida wróciła do domu i nie mogąc znieść widoku tego miejsca, na które jak się zdawało była skazana, wyszła prosto do ogrodu. Tam oczywiście spotkała Demeter, która jako bogini ziemi i płodności zajmowała się roślinami. W kapeluszu z szerokim rondem i rękawicach ogrodniczych, z małym rydlem i widłami w ręku, przyglądała się krzakom i kwiatom porastającym grządki na obrzeżach o wiele za małego skrawka trawnika.

Zignorowawszy ją, Artemida położyła się na trawie i zamknęła oczy. Właściwie było zbyt zimno, żeby siedzieć na dworze, ale w tej chwili tylko na to było ją stać. Twarde źdźbła kłuły ją w twarz niczym maleńkie igły. Wciągnęła powietrze w płuca. Ziemia miała zimny metaliczny zapach; promienie słońca wciąż były zbyt słabe, by go złagodzić. Jednakże trawa pachniała świeżością, wilgocią i jasnością. Ziemia podtrzymywała jej ciało. Nie jest tu najgorzej, powiedziała sobie. Nie jest tak źle. Ale z domu dobiegały ją podniesione głosy Afrodyty i Erosa; kłócili się, co ostatnio zdarzało im się coraz częściej. Wrzaski Afrodyty. Obronne warczenie Erosa. A potem, jak na dany znak, dźwięk rozbijanych naczyń. Artemida próbowała bez powodzenia wyprzeć te dźwięki ze świadomości, udawać, że nie ma to nic wspólnego z nią, ale nie potrafiła. Ogarnęła ją fala przygnębienia. Nie wyglądało na to, żeby miała w najbliższym czasie wynająć własne mieszkanie. Jest skazana na nich wszystkich. Może mogłaby rozbić namiot i zamieszkać tutaj.

Nagle usłyszała wrzask dobiegający ze znacznie mniejszej odległości. W ułamku sekundy otworzyła oczy i zerwała się na równe nogi.

Rozejrzała się, by zobaczyć, komu dzieje się krzywda i czy powinna go bronić, czy też przyłączyć się do oprawców. Demeter. Była na końcu ogrodu, gdzie wysoka ściana z żółtej cegły oddzielała ją od sąsiedniej parceli. Stała tyłem do Artemidy i wydawszy z siebie krzyk, zanosła się rozdzierającym suchym szlochem, a jej ramiona podrygiwały spazmatycznie jak grzbiet rzygającego kota. Artemida podbiegła do niej.

- Co się stało? Co się dzieje? Jesteś...

Nie mogła dokończyć pytania - chora, ranna - te ewentualności były przerażające, niemożliwe.

- Nie żyje - powiedziała zdławionym głosem Demeter, odwracając się do niej. - Całkiem martwy.

Wyciągnęła ręce - przedtem zdjęła rękawice - i Artemidą wstrząsnął widok jej gruzłowatej starzejącej się skóry. Trzymała suche zniszczone szczątki jakiegoś pnącza.

- Powojnik - rozpoznała roślinę Artemida.

- Nie zdołałam utrzymać go przy życiu. Nie zdołałam go ocalić.

- Ale...

- To moja praca. Pielęgnacja. Jeśli tego nie potrafię...

- Może tamten śmiertelnik zza muru oblał go środkiem chwastobójczym. Zawsze nas nienawidził.

- Włosy mi siwieją - powiedziała Demeter.

- Chodź do środka. Wszystko będzie dobrze. Chodź.

Wyjęła martwy powojnik z rąk Demeter i upuściła go na ziemię, po czym objęła ją ramieniem i poprowadziła do domu.

- Ja umieram - szlochała Demeter. - Umieram.

Ku swojemu zaskoczeniu Artemida poczuła coś jakby zazdrość.

Neil nie miał trudności z odnalezieniem właściwego domu. Alice zaraz na początku powiedziała mu, gdzie pracuje, dopiero później zrobiła się taka tajemnicza. Zbliżając się, nie musiał nawet sprawdzać numerów, od razu wiedział, który to budynek. Alice mówiła, jaki jest zniszczony, ale było gorzej, niż sobie wyobrażał. Ten dom dosłownie się walił - Neil wątpił, czy jeśli nikt się nim szybko nie zajmie, wytrzyma dłużej niż kilka lat. Był zdruzgotany i zasmucony, że ktoś dopuścił, by tak wspaniała budowla popadła w taką ruinę. Podobnych odczuć doświadczył w zeszłym tygodniu, patrząc na aktualne zdjęcie Brigitte Bardot.

Oburzony, wszedł po popękanych wyboistych schodach, uniósł ciężką lśniącą kołatkę - bez wątpienia Alice ją wypolerowała - i zastukał nią mocno, a dźwięczny pogłos rozległ się w całym domu. Szczerze mówiąc, zaskoczyło go, że nadproże nie zawaliło się od siły tego uderzenia.

Po kilku sekundach usłyszał zbliżające się kroki, a potem drzwi, skrzypiąc, uchyliły się do połowy, utworzył usta, by się przedstawić, może nawet by zaproponować swoje usługi techniczne, ale zdawało się, że łączność między jego mózgiem a językiem została przecięta precyzyjnie, niby ostrym nożem. Na progu stała najpiękniejsza kobieta - nie tylko jaką kiedykolwiek widział, ale jaką mógłby sobie wyobrazić. Kiedyś, wiele lat temu, wrócił do domu ze szkoły cały we łzach, ponieważ Marissa MacKendrick nie chciała go pocałować i powiedziała - pamiętał to dokładnie, a nawet często powracał do tego we wspomnieniach - że nie dotknęłaby takiego paskudnego, przyszczatego, żalostnego lamusa o chudym tyłku jak on, nawet gdyby od tego zależało przetrwanie gatunku. Matka wzięła go w ramiona -

musiał być naprawdę załamany, skoro jej na to pozwolił - i powiedziała nie tylko, że ta panienska MacKendrick to zarozumiała krowa, jak jej rodzice, ale też że nikt nie jest doskonały, że Marissa być może w skrytości ducha nienawidzi swoich stóp, uszu albo brzucha i że kiedyś, kiedy grawitacja zrobi swoje, a mąż opuści ją dla ładniejszej i młodszej, zrozumie, że uroda to nie wszystko, i że nigdy nie powinna była mówić Neilowi czegoś takiego. W tamtej chwili była to niewielka pociecha i nawet wtedy podejrzewał, że matka się myli lub kłamie, a teraz ma na to dowód, który stoi naprzeciw niego w proggu: ta kobieta jest doskonała, niemożliwe, żeby czegoś w sobie nienawidziła, może z wyjątkiem widoku, jaki ma teraz przed oczami, i to nieprawda, że uroda to nie wszystko, czasem jest wszystkim, absolutnie wszystkim.

- Spierdalaj - powiedziało zjawisko z bolesną nieuchronnością.

- Ja... Dzień dobry. Ja. Eee... Dzień dobry. Czy Alice? Eee...

- Alice? - spytało zjawisko. Jego doskonała twarz wyglądała jak wryta w marmurze.

- Jestem przyjacielem Alice - zdołał powiedzieć Neil. - Waszej sprzątaczkii.

Kobieta obrzuciła go taksującym spojrzeniem, jakby chciała obliczyć jego dokładną wagę.

- Jakim przyjacielem? - zapytała.

- Bliskim - odparł Neil. - Alice to moja najlepsza przyjaciółka.

- Jesteś w niej zakochany?

- Słucham?

- Czy jesteś w niej zakochany?

Było w tej istocie coś, co sprawiło, że Neil udzielił jej odpowiedzi, której nie dał nigdy nikomu, a zwłaszcza sobie.

- Tak - odparł.

Wydawało mu się, że rzucił jakieś magiczne zaklęcie. Jakby chmury rozproszyły się po burzy, odsłaniając błogosławione oblicze słońca, kobieta się uśmiechnęła, uśmiechem nad uśmiechy, a twarz Neila zmarszczyła się w naśladowczym grymasie, tak że wyglądał jak kompletny idiota, o czym wiedział, ale nie mógł nic na to poradzić. Piękność, na pozór niezniesmaczona jego debilizmem, otworzyła szeroko drzwi w geście wielkodusznego powitania.

- Zapraszam, zapraszam! Jestem Afrodyta. Jak miło cię poznać! Każdy przyjaciel drogiej Alice jest moim przyjacielem.

Neil przekroczył próg i wszedł do domu. Próbował wyobrazić sobie Alice i tę Afrodytę jako przyjaciółki, i nie potrafił. Musiał przyznać, że Afrodyta jest piękniejsza. Ale Alice ma więcej klasy.

- Zazwyczaj - powiedziała Afrodyta teatralnym szeptem, prowadząc go przez przedpokój - nie wpuszczamy do domu obcych. Dbamy o naszą prywatność. Ale ty przecież nie jesteś obcy, prawda? Jesteś raczej jak członek rodziny. Pozwól, że poszukam Alice. Pewnie jest gdzieś z Apollinem.

Neil podążył za Afrodytą po schodach, starając się nie patrzeć na jej pupę, podskakującą przed nim niczym dwa jajka na twardo w tangu. Pomyślał, że ta niezapowiedziana wizyta to może nie był najlepszy pomysł.

Zanim tu przyszedł, jego rozumowanie zdawało się bezbłędne. Coś jest nie tak z Alice. Nie ulegało wątpliwości. Szczególnie wyraźnie odczuwał to, kiedy pracował, oglądał telewizję, czytał, spał, rozmawiał z kimś innym niż Alice, lub z samą Alice. To się zaczęło, kiedy dostała pracę w tym domu. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale wiedział, że coś się dzieje, i przyszedł tu, by to sobie wyjaśnić. Co to może

być - lub co gorsza kto - i co u licha Neil może z tym zrobić? Te pytania pojawiły się w jego głowie dopiero teraz, kiedy podążał po schodach za doskonałymi pośladvkami Afrodyty.

- Wiesz co - powiedziała Afrodyta, odrzucając jedwabiste włosy do tyłu i zerkając na niego kusząco przez ramię - myślę, że muszą być w sypialni Apollina. Jestem pewna, że nie będą mieli nic przeciwko, jeśli im przeszkodzimy.

- Nie - odparł Neil. - To znaczy tak. Przeszkodźmy im.

- To zaraz... - zaczęła Afrodyta, kiedy doszli na pierwsze piętro, ale przerwał jej dzwonek telefonu. - Och, przepraszam, muszę odebrać. Tutaj - dokończyła, wskazując na uchylone drzwi po prawej. - Witaj, wielkoludzie - tchnęła do telefonu. - Jestem taka wilgotna. Co chcesz mi zrobić?

Neil o mało nie udławił się własnym językiem. Afrodyta puściła do niego oczko i pomachała mu, po czym ruszyła z powrotem po schodach w dół.

- To brzmi bardzo seksownie - mówiła dalej do telefonu.

Z pewnym wysiłkiem Neil odwrócił się i podszedł do wskazanych przez Afrodytę drzwi. Zza nich dobiegły go dwa roześmiane głosy - jeden męski, drugi Alice. Poczł mdłości, ale zmusił się do myślenia, że przynajmniej Alice zdaje się szczęśliwa i że tylko to się liczy. Ale wtedy usłyszał, jak mówi: „Już dość, proszę”, na co męski głos odparł: „No, jeszcze tylko jedno”, i wtedy nie wydawała się już taka rozradowana, i Neil przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Pchnął drzwi i mężnie wkroczył do środka.

Najpierw zobaczył Alice; stała przy oknie w fartuszk, ze ścierką do kurzu w ręce. Kiedy na nią spojrzł, nie mógł uwierzyć, że jeszcze przed chwilą (musi się do tego przyznać) ślinił się (ale tylko trochę) -

do Afrodyty. Z ulgą stwierdził, że Alice nadal się śmieje, ale widział też w jej oczach niepokój i wiedział, że jej protesty nie były udawane. Osobnikiem, do którego były skierowane, okazał się Apollo, już nie w todze, ale w T-shircie i džinsach, jeszcze bardziej obrzydliwie przystöjny, niż Neil pamiętał; wyglądało na to, że robił Alice zdjęcia komórką. Neil wiedział, że Alice nienawidzi być fotografowana.

- Zostaw ją w spokoju - powiedział Neil na tyle głośno, na ile starczyło mu odwagi.

- Co ty tu robisz, Neil? - zapytała Alice.

- No właśnie, „Neil”, co ty tu robisz? - powiedział, przeciągając samogłoski, Apollo.

Neilowi bardzo nie spodobał się sposób, w jaki Apollo wymawia jego imię.

- Dlaczego robisz jej zdjęcia? - zapytał Neil.

- Nic się nie stało, Neil - odparła Alice. - Zgodziłam się.

- Zgodziła się - powiedział Apollo.

Alice nigdy nie pozwoliła Neilowi zrobić sobie zdjęcia.

- Neil, naprawdę miło cię widzieć, ale... - zawahała się Alice. - Nie wolno mi zapraszać tu przyjaciół.

- Nie, nie wolno jej zapraszać „przyjaciół” - powiedział Apollo.

- Nie mówiłaś mi o tym - odparł Neil. - Wpadłem tylko... - Właściwie nie mógł wymyślić żadnego powodu. - Mógłbyś przestać powtarzać każde jej słowo? - zwrócił się do Apolla.

- Cóż, bardzo się cieszę, że cię widzę - powiedziała Alice. - Miło, że wpadłeś. Może poczekaś na mnie chwilkę? Niedługo skończę i moglibyśmy wtedy pójść na herbatę.

- Słyszałeś, co powiedziała - powiedział Apollo. - Miło, że wpadłeś. A teraz spadaj.

- On żartuje - zapewniła Alice.
- Apollo uśmiechnął się do Neila, ale bynajmniej nie żartobliwie.
- Bardzo się cieszę, że w końcu się poznaliście - stwierdziła Alice.
- Neil bardzo interesuje się twoim programem, Apollo. To właśnie dlatego przyszedł go obejrzeć.
- Ach tak? - zapytał Apollo.
- Tak - odparł Neil. - A przynajmniej interesowałem się nim, dopóki go nie zobaczyłem.
- Ja interesowałem się ludźmi, dopóki nie zobaczyłem ciebie.
- Właściwie - wtrąciła Alice - to może już powinniśmy iść. Przyszłam dziś trochę wcześniej, więc sądzę, że Artemida nie będzie miała nic przeciwko temu.
- Och, nie - powiedział Apollo - proszę, nie uciekajcie jeszcze. Dopiero przeszedłeś, „Neil”. Zostań trochę. Bardzo bym chciał, żebyś poznał mojego brata. Skocz po niego. Może usiądziesz?
- Apollo wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Neil nie zamierzał siadać.
- Powinniśmy iść - powiedział. - Nie wydaje ci się trochę dziwne, że chce, żebym poznał jego brata?
- Wydaje mi się, że po prostu chce być miły - odparła Alice. - Jest trochę, hmm, niekonwencjonalny, ale w głębi duszy to naprawdę bardzo dobry człowiek. Zresztą nie możemy iść, skoro powiedzieliśmy, że zostaniemy. Poczekajmy, aż wróci, i wtedy sobie pójdziemy.
- Dobrze - powiedział Neil. - Ale jak tylko wróci, ja wychodzę.
- Wciąż spięty, Neil rozejrzał się wokół, niezupełnie pewien, czy w pokoju nie ma podsłuchu lub min pułapek. Była to dwuosobowa sypialnia, przedzielona pośrodku nieformalnie, acz bardzo wyraźnie,

a po każdej stronie stało rozchwierutane pojedyncze łóżko i zawiana szafa. Część, w której stał, wyznaczało małe drzewko laurowe w doniczce i stojak z instrumentami muzycznymi - najróżniejszymi rodzajami gitar i harf, z których wiele wyglądało na antyki. Tę stronę pokoju zdobiły reprodukcje obrazów renesansowych - przynajmniej zakładał, że to reprodukcje - w większości przedstawiające sceny z mitologii greckiej, a zwłaszcza boga - ależ oczywiście, jest aż tak arogancki - Apollina.

Druga strona pokoju miała zupełnie inny charakter. Podczas gdy łóżko, obok którego stał Neil, zasłano w pośpiechu, narzuta w kolorze khaki na drugim została rozłożona z doskonałą precyzją, bez najmniejszego załamania. Na ścianach wisiała niezwykła kolekcja pamiątek związanych z wojskiem; dosłownie całą przestrzeń zajmowały mundury, flagi, medale, repliki broni palnych - Neil miał nadzieję, że to repliki - oraz map i szlaków słynnych kampanii wojskowych.

- Którą połowę pokoju zajmuje Apollo? - zapytał.
- Tę - odparła Alice.
- Więc te bronie należą do jego brata?
- Tak, do Aresa.
- Myślę, że powinniśmy wyjść - stwierdził Neil. - Zanim nas zastrzelą.

- Och, Neil - powiedziała Alice - jesteś taki zabawny.

Drzwi do pokoju znów się otworzyły i wszedł Apollo z wysokim, muskularnym mężczyzną o ogolonej głowie i twarzy jak pocisk.

- „Neil” - powiedział Apollo. - Poznaj mojego brata, Aresa.
- Cześć - wzruszył ramionami Neil.

- Czemu miałem go poznać? - zwrócił się Ares do Apollina. - Jestem zajęty. W Azji Południowo-Wschodniej doszło do konfliktu, który muszę nasilić.

- To zajmie tylko kilka minut - powiedział Apollo. - Jeśli zostaniesz, obiecuję, że przez następne dziesięć lat będę ci polerował kolekcję medali.

- Dobra. To co mam robić?

- Nic - odparł Apollo. - Po prostu bądź tu,

- Cóż - odezwał się Neil - cieszę się, że was obu poznałem, byliście dla mnie niezwykle mili, ale naprawdę musimy już iść.

- Dlaczego? - spytała Alice. - Bo ty tak mówisz?

- Myślałem, że chcesz iść - odparł Neil.

- Nie myślałeś. Z góry uznałeś, że tak ma być.

Apollino uśmiechnął się do Aresa, który przewrócił oczami.

- No tak, załapałem - powiedział.

Ares podszedł leniwie do ściany przy oknie po swojej stronie pokoju, przykucnął na podłodze, wyjął zza paska ogromny nóż i zaczął wygrzebywać nim brud spod paznokci. Apollo usiadł na łóżku Aresa z rękami na kolanach i uśmiechnął się szeroko do Neila.

- Na co się tak gapisz? - zapytał Neil.

- Nie mów do niego w ten sposób - obruszyła się Alice. - Jesteś w jego domu. Powinieneś traktować go z szacunkiem.

- Z szacunkiem? Chyba żartujesz. Czemu niby miałbym go szanować?

- Tak się składa, że każdy zasługuje na szacunek. Chociaż raczej nie spodziewam się, że to rozumiesz. Jesteś najbardziej cynicznym facetem, jakiego w życiu spotkałam - odparowała Alice.

- Wolę być cyniczny niż wierzyć we wszystko, co mi ktoś opowiada.

Nie ma nic mądrego w łatwości, która ma sprawić przyjemność innym - powiedział Neil.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Alice.

Neil nie był pewien, co to miało znaczyć. Wiedział tylko, że nagle stało się bardzo ważne, żeby powiedział wszystko, co tylko może, by Alice poczuła się poniżona.

- Nic dziwnego - brnął dalej - że bierzesz jego stronę, zważywszy jak on manipuluje bezbronnymi i słabymi.

- Kogo nazywasz bezbronnym? - zapytała Alice. - Dziwię się, że w ogóle jesteś w stanie wyartykułować to słowo.

- Och, nie czepiaj się mojej inteligencji - odparł Neil - tylko dlatego, że jesteś dobra w grach planszowych. Ja przynajmniej mam prawdziwą pracę, a nie spędzam dni na odkurzaniu i flirtowaniu.

- Flirtowaniu! - zachnęła się Alice. - Ja nie flirtowałam! Nigdy nie flirtuję!

- Z nim flirtowałaś! - krzyknął Neil, wskazując palcem na Apolla.

- Nieprawda!

- Ależ tak! Nie zaprzeczaj! Widzę, jak się rumienisz!

I rzeczywiście, uporczywa fala czerwieni znowu zaczęła się wznosić po szyi Alice; rumieniec oblał jej twarz. Neil pomyślał, że wygląda okropnie, jak rozwścieczony indyk.

- Tak czy owak, to nie twoja sprawa - powiedziała Alice. - Co ty tu w ogóle robisz? Nie możesz tak po prostu zjawiać się w miejscu mojej pracy i obrażać moich klientów! Za kogo ty się masz?

Alice też już krzyczała. Neil nigdy nie słyszał, żeby krzyczała, ani razu. Nie warto było czekać.

- Właściwie to myślę - pokręcił głową z dezaprobatą - że powinnaś wiedzieć, iż ten pedalski zadufany w sobie idiota to w istocie nie twój klient, lecz szef.

- A więc tym bardziej. - Alice też pokręciła głową. U niej było to niezwykle irytujące. - Ja nigdy bym nie przyszła do twojej pracy i zachowywała się niegrzecznie wobec kogokolwiek, czy to klienta, czy szefa.

- Nie mogłabyś. Zabrali ci przepustkę, kiedy przestałaś sprzątać moje biuro.

Alice zatoczyła się do tyłu, jakby od ciosu w twarz.

- A więc to o to w tym wszystkim chodzi? - powiedziała.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Neil.

- Patrzysz na mnie z góry z powodu mojej pracy. Nic dziwnego, że nigdy się do mnie nie przystawiałeś. Boisz się ubrudzić sobie ręce.

- To nieprawda - oburzył się Neil.

- Ależ tak. Tak właśnie jest. Patrzysz na mnie z góry. W głosie Alice było więcej smutku niż złości.

- Nie patrzę na ciebie z góry - powiedział łagodnie Neil.

- Ależ tak, patrzysz. Uważasz swoją pracę za znacznie ważniejszą od mojej, bo ty jesteś mądrym inżynierem, a ja zwykłą sprzątaczką.

- Nie myśl tak, Alice - powiedział Neil. - Nigdy tak nie myśl. Mam wiele szacunku dla ciebie i tego, co robisz. Ja bym nie potrafił. Naprawdę.

Na twarz Alice wypłynął półuśmiech. Apollo posłał Aresowi desperackie spojrzenie, a ten skinął głową i przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę.

- Chociaż - zaczął Neil, czując, że ogarnia go nowa fala gniewu - kiedy mówię, że nie potrafiłbym wykonywać twojej pracy, mam na myśli, że formalnie rzecz biorąc, oczywiście mógłbym to robić, tylko że nie byłbym w stanie znieść takiego zajęcia. Oboje natomiast wiemy, że ty nie mogłabyś robić tego co ja. To wymaga gruntownego

wykształcenia. Jakie wykształcenie trzeba mieć, żeby posługiwać się szczotką do toalet?

Alice zaniemówiła, a Neil wykorzystał to, by uzyskać ostateczną przewagę.

- Brak wykształcenia - powiedział - nie oznacza oczywiście, że musisz podnosić swoją samoocenę, flirtując z takimi jak on.

Alice dosłownie opadła szczęka. Widząc to, Neil przeżył osobliwą chwilę triumfu. Co ona na to?!

- Cóż, dziękuję ci za te uwagi. - W głosie Alice furia na nowo zastąpiła smutek. - Wcale nie czuję się teraz potraktowana protekcyjnie. A tak dla twojej informacji, wyobraź sobie, że mam wykształcenie. Tak się składa, że wyższe. Mam dyplom, z wyróżnieniem, z językoznawstwa. Zajmuję się sprzątaniami, bo lubię. Daje mi to czas na myślenie, z którego ty najwyraźniej na ogół rezygnujesz.

Coś chwyciło Neila za żołądek i ścisnęło. Wiedział, że przegrał.

- Myślę, że na ciebie już czas - zakończyła Alice.

- Nie chcę iść - zaprotestował Neil.

- A to pech. Bo ja chcę, żebyś już poszedł. I nie dzwoń do mnie. Ja zadzwonię do ciebie. Może.

Neil zdał sobie sprawę, że Alice, Apollo i Ares, wszyscy się na niego gapią, Alice z wściekłością, Apollo z rozbawieniem, a Ares, co dziwne, z wyrazem cichej satysfakcji.

- Dobra - powiedział - to ja już pójdę. Miło było poznać was wszystkich.

- Do widzenia - odpowiedziała stanowczo Alice.

A więc widzi ją po raz ostatni. Krzyżyk na drodze. Nie miał pojęcia, co on w ogóle w niej widział.

To uczucie towarzyszyło mu w drodze przez pokój, po schodach i do wyjścia, ale gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, a on nagle znalazł się

sam na twardym chodniku, wybuchnął płaczem, zastanawiając się, co się na litość boską stało.

16

W pokoju Apollina na górze dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi frontowych. Z sufitu posypał się obłoczek tynku.

- Cóż, jeśli nie macie nic przeciwko, to ja też już pójdę - powiedział Ares, wstając i kierując się do wyjścia.

Apollo odprowadził go na zewnątrz.

- Dzięki brachu - powiedział.

- Właściwie to była niezła zabawa.

- A tak przy okazji, ściemniałem w sprawie medali.

- Co?

- Nie będę ich polerował. Nie kazałeś mi przysiąc na Styks. Na razie.

- Ty mały zjełczały ciulu - powiedział Ares, ale nie wydawał się szczególnie zły, kiedy niespiesznie schodził po schodach.

Apollo wrócił do sypialni. Ku jego wielkiej radości Alice przycupnęła na łóżku i płakała. Usiadł obok i objął ją ramieniem. Tym razem nie uciekła do łazienki. Musiał jednak działać ostrożnie. Kazał swojej erekcji wziąć na wstrzymanie.

- No już dobrze, dobrze - powiedział. - On nie jest tego wart.

- Nic nie rozumiem - wyszlochała Alice. - Nie wiem, co się stało. Co to byli za ludzie? To nie Neil. I nie ja. Ja nigdy się z nikim nie kłóczę.

Apollo był zafascynowany wodą, która spływała jej po policzkach.

Łzy to atrybut śmiertelników; bogom nic nie leci z oczu, kiedy płaczą. Wyciągnął palec i dotknął jednego z mokrych wężyków na jej twarzy. Alice się wzdrygnęła.

- Przepraszam - odezwał się Apollo. Zwolnij, powiedział do siebie. - Przyniosę ci chusteczkę - rozejrzał się wokół. - Chociaż nie wiem, czy jakieś mamy.

- Ja mam paczkę na dole w torebce.

- Przyniosę ci.

- Dziękuję. Jesteś bardzo miły.

Chociaż Apollo nie chciał jej zostawiać, zszedł na dół i szybko znalazł torebkę Alice, obok jej płaszczka, o który zaczął się ocierać twarzą i ciałem, upajając się jej zapachem. Przewiesił torebkę przez ramię i ruszył z powrotem w stronę schodów, ale po chwili zastanowienia zamiast na górę udał się do kuchni.

Siedząc na łóżku w pokoju Apolla i Aresa, Alice wytarła nos grzbietem dłoni, wzięła głęboki urywany wdech i stanowczo nakazała sobie przestać płakać. Próbowwała odtworzyć przebieg wydarzeń, ale nic z tego nie miało najmniejszego sensu. Była w normalnym, radosnym nastroju. Apollo był niezwykle podekscytowany swoim nowym telefonem, a ona właściwie go nie zniechęcała. Może to rzeczywiście jej wina. Przetrzęsnęła swoje sumienie: czy flirtowała? Nie. Na pewno nie. Wtedy ni z tego, ni z owego pojawił się Neil, a ona ucieszyła się na jego widok - zawsze cieszy się na jego widok; choć była też trochę skrepowana tym, że jest brudna, w fartuchu i śmierdzi wybielaczem, czyli jest właśnie w takim stanie, w jakim nie chciałaby być przez niego oglądana, żeby przypadkiem nie nabrał o niej gorszego mniemania... Co oczywiście było głupie, bo przecież w takiej sytuacji się poznali, więc jak mógłby nabrać o niej gorszego mniemania? Tylko

czy nie to się właśnie stało, nie tego dowiodła ich kłótnia?

Drzwi do sypialni się otworzyły i wszedł Apollo, niosąc jej torebkę i dwa kieliszki wina. Położył torebkę na ziemi i usiadł na łóżku obok Alice.

- Proszę - powiedział, podając jej kieliszek. - Pomyślałem, że dobrze ci to zrobi.

- Och nie - odparła Alice. - Nie mogłabym. Właściwie nie piję alkoholu, i jest stanowczo za wcześnie.

- Daj spokój. Tylko troszkę. To ci pomoże, obiecuję. A Dionizowski będzie okropnie przykro, jeśli nie spróbujesz. Sam je robi.

- Naprawdę? Myślałam, że jest dyskdżokejem.

- Didżejem, winiarzem, przedsiębiorcą w branży dubbingowej.

Apollo jeszcze raz podsunął jej kieliszek i tym razem go wzięła. Upiła mały łyżek.

- Ojej - powiedziała - jest bardzo mocne.

- Dla mnie nie - odparł Apollo. - Pijemy je na okrągło.

Alice wypiła trochę więcej. Apollo sięgnął do torebki leżącej przy jego nogach, otworzył ją, wyjął chusteczki i podał Alice.

- Proszę - powiedział.

Alice wyjęła jedną i wydmuchała nos, żenująco głośno.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało - zapewnił ją Apollo. - Nie krępuj się, dmuchnij porządnie.

Alice zrobiła, jak kazał, po czym złożyła chusteczkę i wsunęła ją sobie do rękawa.

- Czujesz się troszeczkę lepiej? - zapytał Apollo.

- Troszeczkę - odparła Alice.

Upiła kolejny łyk wina. Miała wrażenie, że już zaczyna na nią działać,

ale pewnie po prostu kręciło jej się w głowie od tego całego płaczu.

- Bardzo przepraszam za moje zachowanie - powiedziała.
- Nie musisz przepraszać. Nie uważam, żebyś zrobiła coś złego.
- Ależ zrobiłam. Widzisz, ja po prostu taka nie jestem. W ogóle

taka nie jestem. Biedny Neil! Mam nadzieję, że nie zraniłam za bardzo jego uczuć.

Na myśl o tym Alice poczuła, że znowu zbiera jej się na płacz, i wypła jeszcze trochę wina, żeby się uspokoić.

- Nawet jeśli, to mu się należało - stwierdził Apollo.
- Nie mów tak. On jest naprawdę bardzo miły i naprawdę mu na

mnie zależy.

- Mnie nie wydał się szczególnie miły. I nie wyglądało też na to, żeby mu na tobie szczególnie zależało.

- Cóż, nie - przyznała Alice - chyba nie. Wtedy rzeczywiście nie.

Coś musi być nie tak. Naprawdę mam nadzieję, że nic mu nie jest.

- Za bardzo martwisz się o innych. Powinnaś martwić się o siebie.
- Och, nie - powiedziała Alice. - Nie, nie, naprawdę. Wcale nie.

Zakłopotana, nie wiedziała, gdzie się podziać, i w rezultacie jej kolano otarło się o kolano Apolla. Ten dotyk wywołał u niej lekki dreszcz - przyjemny dreszcz. Znowu wypła trochę wina. Naprawdę pycha; nie miała pojęcia, że Dionizos jest tak utalentowany.

- Przyjaźnimy się z Neilem już dość długo - wyjaśniła Alice - i myślę, że należy mu się przywilej wątpliwości, bo on naprawdę normalnie nie jest taki. Nigdy wcześniej nie odniósł się do mnie ze złością, nigdy. Och, nie licząc...

Zamilkła, zmieszana.

- Nie licząc czego? - zapytał przynaglając Apollo i pozwolił swojej dłoni spocząć na chwilę na jej ramieniu.

- Cóż, kiedy się ostatnio spotkaliśmy, wydawał się jakiś dziwny, jakby nie był sobą. Chciał wiedzieć wszystko o domu, tym domu, a ja nie mogłam mu nic powiedzieć, rozumiesz, i zaczął się zachowywać troszkę...

- Troszkę jak?

- Po prostu troszkę dziwnie.

- Szczerze mówiąc - powiedział Apollo - teraz też wydał mi się troszkę dziwny.

- Rzeczywiście.

Alice zmałyły się myśli i potrząsnęła głową, chcąc je rozjaśnić.

- Ojejciu - powiedział Apollo - skończyło ci się wino. Proszę, napij się ode mnie.

Apollo wymienił swoje nietknięte wino na jej pusty kieliszek. Kiedy brał go od niej, ich palce się musnęły i Alice zadrżała. To chyba nie było właściwe. Zamrugła, znowu upiła wina. Potem przez kilka minut zastanawiała się nad kłótnią z Neilem, odtwarzając ją w myślach. Z jej pamięcią też nie było najlepiej.

- Och! - odezwała się nagle. - Tak bardzo, bardzo mi przykro. Nie przeprosiłam cię nawet za te wszystkie słowa, które ci powiedział, te okropne, niegrzeczne słowa! Tak mi przykro, że się odniósł do ciebie w ten sposób.

- Nie musisz mnie przeproszać. On nie jest członkiem twojej rodziny, prawda? Nie jest twoim chłopakiem.

- Nie...

- Więc to, co mówi, nie ma nic wspólnego z tobą. W żaden sposób o tobie nie świadczy. Właściwie powinienem ci dziękować za to, że stanęłaś w mojej obronie.

- Och nie. Skąd. Jaka tam obrona. Powinnam była bronić cię lepiej. Nie zrobiłeś nic złego. To, co mówił... Oskarżenia o flirtowanie. Jakbyśmy flirtowali. Bo my przecież nie flirtujemy... prawda?

Spojrzała na niego pytająco i w tej samej chwili kieliszek został usunięty z jej ręki, a Alice zorientowała się, że jest całowana.

- Och - powiedziała, kiedy Apollo przeniósł usta z jej warg na szyję. - Chyba jednak tak.

Nie żeby Alice nigdy wcześniej nie uprawiała seksu. Na studiach miała chłopaka, naukowca, który dużo mówił i uważał, że ona chce, by podejmował wszystkie decyzje. Nie była pewna, czy przez trzy spędzone wspólnie lata zadał jej choć jedno pytanie. Ich związek zakończył się, kiedy on dostał pracę w Stanach i z góry uznał, że ona z nim pojedzie. Zaczął coś podejrzewać, dopiero gdy pojawiła się na lotnisku bez żadnego bagażu, a wtedy musiała tylko zwrócić mu uwagę na fakt, że nie ma biletu, pożegnać się i pomachać mu, kiedy przechodził przez bramkę. Od tego czasu nie miała z nim kontaktu.

I nie było żadnego powodu, by nie miała uprawiać seksu z Apollem. Była wolną niezależną kobietą bez żadnych zobowiązań. A on był niezaprzeczalnie atrakcyjnym mężczyzną, a wędrówka jego ręki w górę po szwie dżinsów wewnątrz jej uda sprawiała jej dużo przyjemności. Położyła się na łóżku, rozchyliła nogi, nie opierała się ani trochę, kiedy rozpiął guziki fartucha, sięgnął ręką za jej plecy i rozpiął stanik (biała bawełna, bez fiszbinów, z katalogu *Next*). Ale gdy pochylił głowę i dotknął czubkiem języka jej sutka, w głowie Alice pojawił się obraz Neila; błyskawicznie zeskoczyła tyłem z łóżka, po drodze z dużą siłą waląc Apolla kolanem w szczękę.

- Przepraszam! - krzyknęła, ściskając brzegi fartucha na piersi. - Tak mi przykro, Apollo. Nic ci nie jest? Nie chciałam zrobić ci krzywdy. Och, naprawdę mi przykro. Ale nie mogę tego zrobić. Muszę iść.

- Ale nie możesz! - Apollo siedział na łóżku z absurdalnie rozpiętymi spodniami i rozcierał szczękę. - Ja cię kocham!

- Ojej. Przykro mi. Naprawdę? Bardzo mi przykro, ale rzecz w tym, że ja ciebie nie kocham.

- Ależ kochasz - zapewnił ją Apollo. - Musisz. Nie słyszałaś, co powiedziałem? Kocham cię.

- Tak, słyszałam, przykro mi. Ale rzecz w tym, żeby dwoje ludzi kochało się nawzajem. Naprawdę powinnam już iść do domu.

Alice szybko zapięła fartuch, pod którym majtał się rozpięty stanik, i zrobiła krok w kierunku torebki. Apollo chwycił ją i przytulił do piersi.

- Och, Apollo. Czy mógłbyś oddać mi torebkę? - poprosiła Alice.

- Nie - odparł Apollo.

- Proszę. Naprawdę jej potrzebuję, żeby wrócić do domu.

- Nie - powtórzył Apollo. - Nie wracasz do domu.

- Cóż, mylisz się, Apollo. Właśnie idę. Naprawdę mi przykro. Pójdę, nawet jeśli nie oddasz mi torebki. Ale wolałabym ją odzyskać. Proszę.

- Nie.

- Cóż, trudno. Do widzenia, Apollo. Naprawdę bardzo mi przykro, ale jestem pewna, że kiedy się z tym prześpisz, zdasz sobie sprawę, że tak jest lepiej.

Alice ruszyła w stronę drzwi, ale Apollo podbiegł do niej i złapał ją od tyłu w pasie.

- Nie możesz odejść - powiedział. - Zakazuję ci!

- Puść mnie, proszę.

Apollo tylko ścisnął ją mocniej.

- Sprawiasz mi ból! - powiedziała Alice.

Apollo oderwał od niej ręce niczym rażony prądem. Zrobił chwiejny krok do tyłu, po czym podniósł jedną dłoń i wpatrywał się w nią tak, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

- Ojej - przestraszyła się Alice. - Nic ci nie jest?

- Przepraszam. Nie chciałem cię skrzywdzić.

Apollo opuścił rękę i spojrzał na Alice z pewnym niezdecydowaniem.

- Do widzenia - powiedziała znowu i zrobiła kolejny krok w stronę drzwi.

- Nie możesz odejść. Proszę. Jestem w tobie zakochany.

- Cóż, skoro ja kocham... kogoś innego.

Apollo rzucił się między nią a drzwi.

- Nie puszczę cię.

- Przykro mi, ale nie możesz mnie zatrzymać.

Apollo nie chciał się przesunąć, więc zmuszona była podjąć próbę odciążenia go od drzwi, ale jej drobne ciało nie mogło się równać z jego muskularną posturą. Szarpnęła go ze wszystkich sił, ale to się na nic nie zdało. Apollo chwycił ją za ramię, ale jego ręka ponownie odskoczyła, jakby coś ją użądliło.

- Niech to cholera! - krzyknął Apollo.

- Proszę, przepuść mnie - powiedziała Alice.

- Czy mogę cię najpierw o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Czy gwałt kwalifikuje się jako krzywda?

Alice krew ścięła się w żyłach. W jednej chwili sparaliżował ją strach.

- No więc jak?

- Co? - zdołała wychrypieć.

Próbowała wymyślić, którędy uciekać. Drzwi stanowiły jedyną drogę; okno było za wysoko, żeby mogła z niego skoczyć.

- Chciałbym cię zgwałcić, ale muszę wiedzieć, czy wyrządziłbym ci przez to krzywdę?

Apollo zdawał się być szczerze zainteresowany odpowiedzią.

- Tak - zdołała wydusić z siebie Alice.

Siłą woli zmusiła swoje kończyny, by się poruszyły. Nie chciała tu umrzeć.

- Och - odparł Apollo. - To dlatego zaliczacie gwałt do przestępstw?

- Tak - powtórzyła.

- Rozumiem - powiedział Apollo. - A ty nie zgadzasz się na seks?

- Nie - powiedziała Alice trochę bardziej dobitnie.

- W takim razie lepiej już idź.

- Mogę?

- Nie zapomnij torebki.

Kiedy zadzwonił telefon, Neil był w swojej dziupli i grał w pewną grę komputerową, w której dokonuje się aktów obscenicznego przemocy na niegodnych kosmitach. Przegrywał.

- Co jest? - warknął.

- To ja - dobiegł go drżący głos z drugiej strony. - Alice. Przepraszam. Wybaczysz mi?

- Oczywiście - odparł Neil. - Mnie też jest przykro. Wierz mi. Proszę cię, nie smuć się.

Na ekranie kosmita udzielił mu ostatniego namaszczenia, ale Neil nie zauważył.

- To nie dlatego... - powiedziała Alice.

- O co chodzi? Co się stało?
- Nie mogę powiedzieć. Mogę do ciebie przyjechać? Boję się wracać sama do domu.
- Boisz się? Co się dzieje?
- Nie pytaj, proszę. Wiem, że sama jestem sobie winna. Proszę, mogę przyjechać, Neil? Nie mam dokąd pójść. Nie mogę być dziś sama. Proszę.
- Oczywiście, przyjeżdżaj. Nie musisz pytać. Zawsze jesteś mile widziana, wiesz o tym.
- Dziękuję... Nie powinieneś być dla mnie taki miły... Dziękuję...
Po tym jak ją uspokoił i odłożył słuchawkę, zmienił pościel na łóżku, a później przygotował sobie posłanie na kanapie, walcząc z mieszanymi uczuciami, z których nie był zbyt dumny. Alice się martwiła, więc i on się martwił. Alice się bała, więc on się bał. I Alice zwróciła się do niego po pomoc, i to była najlepsza wiadomość od wielu tygodni.

17

Tymczasem Apollo, okrutnie odrzucony przez Alice, uznał, że najlepiej zrobi, upijając się; w swojej sypialni ciągnął ogromnymi łykami wino Dionizosa z kieliszka Alice, który wciąż miał smak jej ust. Ale potem przyszedł Ares i zapytał, jak poszło, a Apollo, który nie lubił wychodzić na słabeusza, a zwłaszcza nie lubił wychodzić na słabeusza przed miłującym wojnę Aresem, tym bardziej że to Ares pomógł w zaaranżowaniu całej sytuacji, udzielił wymijającej odpowiedzi i zszedł na dół.

Tam było jeszcze gorzej. Kiedy wszedł do pokoju dziennego, zastał w nim Atenę ćwiczącą prezentację przed wdzięczną publicznością

składającą się z pustych krzeseł i zanim zdążył się wymknąć, chwyciła go za ramię i zapytała, czy może liczyć na jego „...punktualne stawiennictwo na jutrzejszym zgromadzeniu? Twoja obecność - podkreśliła - ma decydujące znaczenie”.

- No - powiedział Apollo, uwalniając się z jej uścisku, i poszedł do kuchni w nadziei, że nikogo tam nie będzie.

Niestety, przy stole siedziała Afrodyta; wahała bekon i mówiła świnię do telefonu. Kiedy zobaczyła wchodzącego Apollina, natychmiast zawiesiła połączenie z nieszczęsnym rozmówcą i spojrzała na bratanka ze znaczącym wyrazem twarzy, który wzbudził jego niepokój.

- Sprzątaczką wyszła dziś w dużym pośpiechu - powiedziała z błyskiem w oku, któremu daleko było do niewinności. - Mam nadzieję, że nic się nie stało...

- Zupełnie nic - odparł Apollo.

- Uważam, że Neil jest przemiły. A ty?

- Wychodzę - powiedział Apollo.

Jej śmiech niósł się za nim korytarzem aż na ulicę.

Klub nocny Dionizosa Bachanalia mieścił się w piwnicy, w głębi słabo oświetlonej bocznej uliczki, popularnej wśród prostytutek i ćpunów, gdzieś między Euston a King's Cross. Była to obskurna, nędzna dziura, duszna i ciasna, pomalowana na nie zachęcający fiolet i cuchnąca zastalym dymem papierosowym i skwaśniałym winem. Fakt, że to miejsce wciąż istniało, stanowił świadectwo łącznej siły przyciągania trunku Dionizosa, legendarnego wśród członków alkoholowej bohemy ze względu na swoją moc, oraz jeszcze bardziej legendarnych programów rozrywkowych prezentowanych na lustrzanej scenie za maleńkim parkietem. Połączenie tych dwóch elementów

okazało się taką atrakcją, że klub był pełny co noc, i - zważywszy na niski czynsz - powinien przynosić szalone zyski. Niestety, mnóstwo kasy szło na łapówki dla policji, a kiedy to nie skutkowało, na walkę z nakazami sądowymi i kolejne starania o licencję, tak że Dionizos nie miał z niego praktycznie nic.

Kiedy Apollo tam dotarł, było wcześniej, nawet jeszcze nie całkiem ciemno, ale kolejka już ciągnęła się wzdłuż ulicy. Opatulonemu w długi płaszcz, idącemu z pochyloną głową i rękami głęboko w kieszeniach Apollinowi nie chciało się nawet popodziwiać klienteli - kobiet ubranych jak nowojorskie dziwki z epoki Warhola oraz umalowanych eyelinerem mężczyzn w szykownych garniturach i z jeszcze szykowniejszymi fryzurami - czekającej w różnopłciowych zestawieniach par i trójek. Ignorując ich wszystkich, pomaszerował prosto na początek kolejki, gdzie dwie zmarznięte znudzone menady - czcicielki Dionizosa od zarania dziejów - stały, mając na sobie niewiele ponad kilka liści winorośli i skrawków futra, z podkładkami do pisania w rękę, i dokonywały selekcji, odrzucając nie dość fajne jednostki.

- Jest w środku? - zapytał.

- Kto? - odpowiedziała pytaniem jedna z menad.

- Nie zgrywaj idiotki - odparł Apollo - bo zamknę ci usta. Na zawsze. Nie jesteś śmiertelniczką. Więc wciąż jeszcze mogę to zrobić.

Menada, w której Apollo budził taką odrazę, jaka może wynikać jedynie z regularnego sypania z nim w przeszłości, zacisnęła zęby i spuściła wzrok.

- Powinien być za barem - powiedziała druga. - Wchodź.

Odczepiła sfatygowaną czerwoną aksamitną linę odgradzającą wejście i pozwoliła Apollinowi prześliznąć się, po czym szybko ją

powiesiła, nie zwracając najmniejszej uwagi na krzyki zdesperowanych niedoszłych klientów, którzy upierali się, że są z nim.

Apollo zszedł po wąskich schodach, minął małą kasę biletową, gdzie rezydowała mocno wytatuowana hermafrodyta, która czasem też występuje, gdy inni artyści są niedysponowani, i znalazł się w klubie. Na scenie trio karłów akrobatów robiło coś, co sprawiłoby dużą przykrość Artemidzie, gdyby to zobaczyła. Przed nimi grupa dziewcząt, w tym dwie twarze niezwykle popularnych perfum oraz dobrze się zapowiadająca aktorka, tańczyły ze starannie symulowaną lubieżnością. Reszta rosnącego tłumu, ściśnięta przy barze i zgromadzona wokół kiwających się stołów na obrzeżach parkietu, obserwowała je niby od niechcenia. Apollo rozpoznał redaktora brukowca, wpływowego hotelarza i cztery pomniejsze bóstwa.

Ruszył w stronę baru, a brud z podłogi przyklejał mu się do podszew. Dionizos jeszcze go nie zauważył. Był zajęty - ustawiał na półkach butelki swojego wina; w klubie nie serwowano nic innego.

- Cześć, brachu - powiedział Apollo.
- Apollo. Wyglądasz chujowo - odparł Dionizos.

Nie czekając, aż zostanie o to poproszony, Dionizos otworzył butelkę i nalał pełny kieliszek.

- Spokojnie dziś - skomentował Apollo.
- Rozkręci się. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Chcę się schlać i zerżnąć kogoś. Najlepiej wielu kogosiów - odparł Apollo.
- Czyli to co zwykle.
- Chciałbym, żeby tak było.

Dionizos spojrział na niego ostro. Jeśli, jak podejrzewał, ma po raz kolejny znosić trucie o tej potwornej niesprawiedliwości, jaką jest

jego egzystencja, będzie potrzebował substancji wspomagającej. Po krótkiej chwili zastanowienia postanowił zrezygnować z kieliszków i zaczął ustawiać butelki rzędem między sobą a bratem.

- Chodzi o dziewczynę - powiedział Apollo, zabierając się do drugiej butelki.

- Dziewczynę? - zapytał Dionizos. Był zaskoczony. To nie w stylu Apollina, przejmować się śmiertelniczką.

- Najpiękniejszą, najbardziej niezwykłą i cudowną dziewczynę na świecie - oświadczył Apollo.

- Aha - powiedział Dionizos.

- Tę pierdoloną dziwkę kurwę.

- Aha - powtórzył Dionizos.

Apollo jednym haustem wypił ćwierć butelki najmocniejszego wina Dionizosa. Wymamrotał coś niezrozumiale do swojej klatki piersiowej. Dionizos przypatrywał się przez jego ramię, jak nagi gibki lśniący czarny mężczyzna właśnie wkłada sobie duży palec u nogi do nosa.

- Ma na imię Alice - powiedział Apollo. - Czyż nie jest to najcudowniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałeś? Alice. Czy ty mnie słuchasz?

Oczy Dionizosa szybko znów skupiły się na twarzy Apollina.

- Oczywiście, że tak - powiedział. - Alice. Cudowne imię. Tak.

- Naprawdę myślałem, że to ta jedyna, wiesz? - ciągnął dalej Apollo. - Ta jedyna. Byłem gotów się ustatkować... Ja. Przynajmniej na kilkadziesiąt lat, dopóki będzie żyła. Naprawdę myślałem, że mnie kocha. Ale teraz widzę, że ona robiła ze mnie głupca.

- Śmiertelniczki tak miewają - zgodził się Dionizos. Miał nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Miałeś powiedzieć, że nie jestem głupcem - wyjaśnił Apollo.

- A, przepraszam. Nie jesteś głupcem - powiedział Dionizos. Ale jesteś niesamowicie nudny, dodał w myślach.

- Dziwki. Wszystkie co do jednej - oświadczył Apollo, wracając do swojego tematu przewodniego.

- Wypiję za to - powiedział Dionizos.
Otworzył kolejną butelkę.

- Alice... - zadumał się. - Wiesz co, zdaje mi się, że znam jedną Alice.

- Pewnie że znasz - odparł Apollo. - Sprząta nasz dom.

- No tak, otóż to. A gdzie ty poznałeś swoją?

- Nigdzie - odrzekł Apollo. - To właśnie ona.

- To ona? To twoja Alice? Sprzątaczką?

Dionizos był zachwycony. W końcu zrobiło się ciekawie.

- Zakochałeś się w sprzątacze?

- Nie bądź takim snobem - warknął Apollo. - Jesteś w połowie śmiertelnikiem, pamiętasz? Raczej nie powinieneś oceniać innych po statusie społecznym.

- Niech ci będzie - zgodził się Dionizos. - To co się stało? Nie mów, że dała ci kosza.

Apollo opróżnił butelkę, po czym odpowiedział:

- Dała mi kosza.

Dionizos stłumił śmiech.

- Sprzątaczką dała ci kosza?

- Przecież mówię.

- Kiedy się to stało?

- Dziś po południu - powiedział Apollo. - To miała być najbardziej niezwykła noc. W końcu ją spotkałem: tę jedyną. Tę, która miała odmienić całe moje życie. Tę, która miała być dla mnie wszystkim. A ja zrobiłbym dla niej wszystko, Dion. Poruszyłbym ziemię. Przysięgam. Ale ona mnie tylko podpuszczała... dziwka. Zwodziła mnie, a

potem odrzuciła jak jakiś kamień. Nie, nie jak kamień. Jak obrzydliwą tłustą rybę. Tak bardzo chciała się mnie pozbyć.

- Sprzątaczką dała ci kosza - powtórzył Dionizos.
- I nawet nie mogę jej zabić - poskarżył się Apollo.
- A chciałbyś to zrobić, tak? Zabić ją?

Według Dionizosa była to dziwna koncepcja miłości, ale miał dość rozsądku, żeby się o tym nie wypowiadać.

- Ona okryła mnie hańbą.

Grymas twarzy Dionizosa miał wyrażać zgodę.

- I jeszcze ma to coś...
- Coś? Jakąś narośl?
- Tak jakby. Ma na imię Neil. Wygląda jak szkielet liścia.
- Ma chłopaka? - zapytał Dionizos.
- Niezupełnie, ale prawie. - Apollo westchnął. - Podła wiedźma i

manipulatorka... Nigdy już nie spotkam nikogo takiego.

Pociągnął smutno tęgi łyk z nowej butelki.

- A dlaczego nie możesz jej zabić?
- Złożyłem jakąś tam głupią przysięgę. Na Styks.
- Och, to rzeczywiście utrudnia sprawę - przyznał Dionizos.
- Cholerna Artemida znowu się wtrąca.
- Ona tak ma - zgodził się Dionizos.

Na scenę za Apollinem zaczęto wynosić kraby. Zaraz rozpęta się pandemonium. Czas zakończyć tę rozmowę.

- No cóż, trudno, nie? - Zwracając się do Apollina pogodniejszym tonem, Dionizos zamierzał zasygnalizować, że to koniec pogawędki. - A może ci się poszczęści.

- Jak to?
- Może i tak umrze.

Dionizos zebrał puste butelki i odszedł, a Apollo zaczął się zastanawiać, czy uznać tę uwagę za luźną obserwację, czy też za pozytywną sugestię.

18

Apollo obudził się na podłodze opustoszałego klubu. To, że zasnął, samo w sobie stanowiło zły znak. Co gorsza, głowa bolała go tak, jakby stał na niej ktoś w butach nabijanych ćwiekami. Ból stanowił nowy i niepożądany element w repertuarze jego odczuć fizycznych. Pomijając oczywisty dyskomfort, odczuwanie bólu miało w sobie pewien nieprzyjemny aspekt absurdu: Apollo mógł użyć swojej mocy, by pozbyć się bólu, ale to by go osłabiło, przez co stałby się bardziej podatny na przyszły ból. Kiedy przymulony wstał, odkleił sobie od twarzy ulotkę i zabrał się do zdejmowania petów z pomiętego, poplamionego winem ubrania, zdecydował się na kompromis i zredukował swoje cierpienie do uporczywego irytującego rwania, które doskonale pasowało do jego nastroju. Przeszukawszy po omacku podłogę klubu, znalazł dość drobnych, by starczyło mu na bilet autobusowy do domu - wiedział z doświadczenia, że Dionizos zdeponował już gotówkę z kasy, więc nie ma sensu tam zaglądać.

Na przystanku wszyscy zebrani śmiertelnicy - matki z dziećmi, emeryci z kraciatymi wózkami na zakupy, i grupka dojeżdżających do pracy, porządnie ubranych i najwyraźniej przekonanych o swojej wyższości nad całą resztą - trzymali się z daleka od Apollina; stłoczeni w drugim końcu wiaty, nawet nie próbowali ukryć dezaprobaty i obrzydzenia, które malowały się na ich twarzach. Mógłbym zabić was wszystkich, pomyślał Apollo, jednym pstryknięciem palców. Mógłbym

zamienić was w nasturcje albo robaki, albo wczorajsze gazety. Mógłbym żywcem obedrzeć was ze skóry, sprawić, że wasze gałki oczne zagotują się w oczodolach, poprzestawiać wam narządy wewnętrzne tak, że mielibyście bebechy w ustach i sralibyście pachami. A przynajmniej mogłem. Kiedyś. Zanim Artemida postanowiła się zabawić.

Kiedy autobus w końcu przyjechał, śmiertelnicy wgramolili się do środka jeden za drugim, ale kierowca, który robił wrażenie obojętnego i na wpół śpiącego, zdołał zamknąć drzwi, zanim Apollo wsiadł, i autobus szybko odjechał. Nie chcąc przeżywać takiego upokorzenia po raz drugi, schował lepkie monety do kieszeni i ruszył pieszo, mówiąc sobie, że i tak nie chce siedzieć w brzęczącej czerwonej puszcze, pełnej parszywych śmiertelników.

Tego poranka Londyn był ponury i brudny, w kolorze sadzy. Tłumy śmiertelników zmierzały w jednym kierunku, milczące i bez wyrazu, niczym oślizgła fala. Apollo przedzierał się między nimi w przeciwną stronę, objając się o ramiona i teczki, które nie chciały usunąć mu się z drogi. Zastanawiał się, czy gdyby wiedzieli, kim jest, gdyby wiedzieli, że on odpowiada za słońce świecące nad ich głowami, w ogóle by ich to obeszło. Wątpił w to. Śmiertelnicy zawsze i niezmiennie żywili przekonanie o własnej nieśmiertelności. Apollo nawet to w nich lubił - tę pewność siebie, ten optymizm. To jakby on w swojej lepszej formie.

Miał nadzieję, że uda mu się wślizgnąć do domu i do łóżka niezauważenie, ale kiedy włókł się po schodach, usłyszał za sobą szybkie kroki, a odwróciwszy się, zobaczył, kogóż by jak nie Artemidę - w dresie i z pękiem smyczy w ręku.

- Zejdź mi z drogi - warknął.

- To ty stoisz na mojej drodze - zwróciła mu uwagę Artemida. - Chyba nie wybierasz się na zgromadzenie w takim stroju.

- Jakie znowu pieprzone zgromadzenie?

- No wiesz. To, które organizuje Atena.

Artemida przecisnęła się koło niego i włożyła klucz do zamka.

- O kurwa - mruknął Apollo. - Całkiem zapomniałem.

Słuchaj, mogłabyś wymyślić dla mnie jakąś wymówkę? Nie chcę iść. Chujowo się czuję. To i tak pieprzona strata czasu.

Artemida, nie otworzywszy drzwi, odwróciła się do niego. Apollo odnotował znajomy wyraz świętego oburzenia w jej oczach. Przygotował się.

- Po pierwsze, byłabym wdzięczna, gdybyś w mojej obecności nie używał ciągle tego słowa.

- Masz na myśli „kurwa”?

Artemida się skrzywiła.

- Uważam je za głęboko obraźliwe.

Apollo przewrócił oczami.

- Po drugie - ciągnęła - może powinieneś zacząć poważnie podchodzić do swoich obowiązków wobec tej planety.

- Jakich obowiązków? - zapytał Apollo.

- Spójrz na siebie! - krzyknęła Artemida.

Zdjęła mu z koszuli kawałek folii po papierosach.

- Gdzieś ty spędził noc? W rynsztoku? Jaki przykład dajesz wszystkim tym śmiertelnikom, którzy powinni cię podziwiać?

- Może nie zauważyłaś - odparł Apollo - ale większość „wszystkich tych śmiertelników” wolałaby nikogo nie podziwiać, a jeśli już kogoś podziwiają, to właśnie ludzi spędzających noce w rynsztokach lub klubach, a nie takich, co wychodzą pobiegać przed świtem i nie uprawiają seksu.

- Tak czy owak - powiedziała Artemida - nawet ty nie zaprzeczysz, że ta rodzina stoi w obliczu bezprecedensowego kryzysu. I że Atena może nam pomóc. Jeśli tylko uda jej się wyrazić myśli w zrozumiałym sposób...

- Czemu sądzisz, że ta rodzina w ogóle mnie obchodzi?

- Wiem, że ty obchodzisz sam siebie. I wiem, że chcesz odzyskać swoją moc.

- Nie musiałbym jej odzyskiwać, gdybyś mi jej nie odebrała.

- To była demokratyczna decyzja dla dobra wszystkich. Sam naraziłeś się na ryzyko...

- Och, zamknij się.

- Naraziłeś nas wszystkich...

- Zamknij się. Do kurwy nędzy, zamknij się, ty głupia, sztywna, niepijąca, niepaląca, niepieprząca się, unikająca wszystkiego, co mogłoby choćby trącić zabawą, mała świętoszkowata pierdolona dziewczynko. Kurwa, kurwa, kurwa nad kurwami, mam dość. Nie idę na to pieprzone spotkanie, nie obchodzi mnie, co się stanie z tą pieprzoną rodziną, możesz powiedzieć Atenie, co ci się, kurwa, żywnie podoba, jeśli tylko zejdziesz mi z pieprzonych oczu i więcej się przed nimi nie pojawisz.

Apollon złapał klucze, włożył do zamka, przekręcił, otworzył drzwi, po czym rzucił pęk na ulicę i zatrzasnął drzwi swojej bliźniaczej siostrze przed nosem.

- A ty, kurwa, nie zaczynaj - mruknął w kierunku drzwi do pokoju dziennego, gdzie, jak przypuszczał, ta druga suka z pizdą w naftalinie, Atena, przygotowywała się do swojego męczącego bezcelowego zgromadzenia.

Zlekceważywszy obraźliwą wypowiedź Apollina - w końcu zranić może tylko opinia osoby, którą się szanuje - Artemida podniosła klucze

i otworzyła sobie drzwi. Nie mogła zaprzeczyć, że brat ma trochę racji - nie w tym, co powiedział o niej, rzecz jasna, ale w kwestii szans na to, że zgromadzenie przyniesie jakieś pozytywne rezultaty. Nie żeby Atena nie wiedziała, o czym mówi - z pewnością ma ona genialny umysł i ogromny talent strategiczny. Problem w tym, że jest kompletnie niezdolna do objaśnienia pozostałym bogom jakiegokolwiek swojego pomysłu. Atena może i jest boginią mądrości, ale, niestety, mądrość i jasność to nie to samo. A może jednak, pomyślała Artemida, wchodząc do pokoju dziennego, tym razem Atena w końcu zostanie zrozumiana. To musi kiedyś nastąpić.

Mimo że wszystkie wygodne krzesła były jak dotąd niezajęte, Artemida usiadła na twardym drewnianym stołku z kuchni na końcu pierwszego rzędu. Lubiła przypominać innym, że kto jak kto, ale ona jest pozbawiona egoizmu i gotowa do poświęceń. Patrzyła, jak Atena ostrożnie rozkłada zszywki materiałów na każdym pustym krześle, i zastanawiała się, czy ktoś jeszcze w ogóle przyjdzie. Atena zrobiła straszne zamieszanie wokół tego spotkania i całe wieki ustawiała meble w równe rzędy, tak by wszyscy dobrze ją widzieli. Przyglądając się jej teraz - energicznej, w tradycyjnym stroju, z tymi zupełnie niepotrzebnymi okularami balansującymi na mocnym, poważnym nosie - Artemida nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy bogini mądrości jest w ogóle potrzebna. Nie miała żadnych wątpliwości, że ona, Artemida, mogłaby wykonywać tę robotę równie dobrze jak Atena i zostałyby jej jeszcze mnóstwo czasu na polowanie. Oczywiście Atena chce wierzyć, że jest najważniejsza wśród bogów, i Artemida była przekonana, że w myślach widzi się jako następczyni Zeusa. Ale to nigdy nie nastąpi. Artemida była zupełnie pewna: nigdy.

Następny przybył Hermes, o szczupłej atletycznej sylwetce odzianej w uszyty na miarę garnitur, zwieńczony podróżnym kapeluszem i sandałami ze skrzydłami.

- Długo to potrwa? - zapytał.
- Czy ty zawsze od tego zaczynasz? - skomentowała Artemida.
- No więc? - nalegał Hermes, ignorując ją. - W przeciwieństwie do was, ja mam co robić z czasem.
- I nie mów mi: czas to pieniądz?
- Wyobraź sobie, że tak - odparł Hermes, nie potrafiąc ukryć ponurej nuty w głosie.

Miał w rodzinie status młodszego brata i zawsze cierpiał na kompleks niższości wywołany tym, że przez całe życie musi przekazywać wiadomości innym bogom oraz wykonywać niezliczone obowiązki, które wszyscy inni uznali za niepożądane i wcisnęli jemu.

- Będę, rzecz jasna - odezwała się Atena - werbalizować konieczne informacje w sposób jak najbardziej zwięzły i trafny, ale jest to złożona kwestia, która dotyka nas wszystkich, więc prosiłabym, żebyś podszedł do tego spotkania z adekwatnym szacunkiem. Na krzesła leżą materiały.

- Mogę to po prostu przeczytać i iść? - zapytał Hermes.
- Nie.

Artemida nie była ani trochę zaskoczona, widząc, że Hermes wybrał największy i najmniej połamany fotel; rozwalił się w nim, przerzucił nogi przez poręcz i zaczął pobieżnie przeglądać przygotowane przez Atenę zestawienie. Przyglądała się, jak próbuje ukryć wyraz dezorientacji, który zagościł na jego twarzy, ten sam wyraz dezorientacji, który ona niedawno ukrywała, czytając tę samą kartkę. To nie wróżyło nic dobrego.

Stopniowo zaczęli się pojawiać pozostali bogowie i zajmować miejsca, począwszy od najwygodniejszego. Afrodyta zda się być w szczególnie dobrym nastroju, co trochę zaniepokoiło Artemidę. Zastanawiała się, kto musiał uciepać po drodze. Nie siedzący dwa miejsca od niej Eros, który z jakiegoś powodu miał minę, jakby mu ulżyło, ani Ares, który pomaszerował prosto na koniec pokoju, rzucił raz okiem na materiały, upuścił je na podłogę, a teraz przeglądał na kolanie własny segregator i robił obszerne notatki. Dionizos, kiedy przybył, radośnie nalał Afrodycie kieliszek wina, więc to też nie on. Hefajstos dzielił z żoną kanapę, szeptał jej do ucha i tulił ją. Demeter, blada i rozmamlana, siedziała skulona na krześle w rogu, ale od śmierci powojnika wyglądała jak zjawą, więc ją też można wykluczyć. Zapewne chodziło więc o Apollina, co tłumaczyłoby jego koszmarny nastrój tego ranka. Ciekawe, co takiego zrobiła Afrodyta, i czy ona powinna się tym martwić. Jednakże Apollo tak ją rozdrażnił, że postanowiła o tym zapomnieć.

Atena odchrząknęła; wszyscy niechętnie przerwali swoje czynności i skierowali wzrok na nią.

- Czy wszyscy delegaci są obecni? - zapytała.
- Nie ma Apollina - powiedziała Artemida.
- Czy ktoś służy informacją, która mogłaby wyjaśnić kwestię jego absencji? - zapytała Atena.
- Był wczoraj w klubie - zgłosił się Dionizos. - Wypił przynajmniej galon wina i ostatnio widziano go, jak chrapał z głową wciśniętą pod stół barowy. Wątpię, żeby się dziś pojawił.

Artemida milczała.

- To najzupełniej typowe - stwierdziła Atena. - Poinformowałam go wczoraj, że to zgromadzenie ma posłużyć upowszechnieniu konstytutywnych informacji. Może powinniśmy odroczyć...

Natychmiast zagłuszył ją chór jęków i protestów bogów, zwłaszcza Hermesa, który wiedział, że to jemu przypadnie zadanie znalezienia innego odpowiadającego wszystkim terminu.

- A więc dobrze - powiedziała Atena. - Hermesie, czy możesz zagwarantować, że wszystkie kluczowe przedłożenia zostaną przekazane nieobecnemu członkowi naszego rodu?

- Zrobi się - odparł Hermes.

- Doskonale. A zatem. Wszczynając proces dyskusji. Prosiłabym, żeby wszystkie przybyłe bóstwa skupiły uwagę na schematach zreprodukowanych na frontowej stronie waszych plików o charakterze tekstowym: „O konieczności intensyfikacji siły oddziaływania prawdziwych bogów i bogiń, nawias otworzyć, olimpijskich, nawias zamknąć, z dodatkowymi indykacjami dotyczącymi wdrożenia zorganizowanych rozwiązań o podstawie wyznaniowej w bogatym globalnym kontekście multireligijności”.

Artemida nienawidziła, kiedy okoliczności zmuszały ją do przyznania Apollinowi racji.

Tymczasem Apollo, upewniwszy się, że wszyscy bogowie są na zgromadzeniu Ateny - i pozostaną tam z pewnością ładnych kilka godzin - opuścił swoją sypialnię, po której chodził tam i z powrotem z rosnącym wzburzeniem, i wszedł na drugie piętro. Wszystkiemu, co się teraz wydarzy, winna jest Artemida. Prosiła się o to. Gdyby nie jej ingerencja i popisik zarozumiałstwa rano na schodach, poszedłby po prostu do łóżka i spał, dopóki kac nie minie; czy raczej okoliczności byłyby tak odmienne, że w ogóle nie miałby kaca. Teraz ona - i cała reszta - poniosą konsekwencje jej zachowania.

Minął rząd sypialni i doszedł korytarzem do końca, do drzwi prowadzących na ostatnie piętro. Od lat nikt nie przechodził przez nie w żadnym kierunku. Apollo wytłumaczył sobie, że niepokój, który czuje w żołądku, to nie strach, i spróbował otworzyć drzwi. Musiał się trochę wysilić, żeby klamka ustąpiła, ale nie były zamknięte na klucz. Pchnął, a one odpowiedziały niechętnym skrzygnięciem i odsłoniły ciemną klatkę schodową, oplecioną pajęczynami i pokrytą skorupą stwardniałych warstw brudu i kurzu. Powietrze było gęste i stęchłe, nieporuszone od lat. Ze stopnia niemal na wysokości jego oczu obserwował go tłusty szczur o lśniącej sierści; na ścianie nad nim spólkowała para ogromnych karaluchów. Przywodziło to na myśl stan, w jakim znajdował się cały dom, zanim Alice... Apollo odsunął od siebie to wspomnienie, wszedł, zamykając za sobą drzwi, i zanurzył się w niemal całkowitej ciemności. Z góry dochodziło przyćmione światło i Apollo podążył za nim, a schody jęczały przy każdym kroku, który prowadził go spiralą ku zakazanemu ostatniemu piętru.

Na szczycie schodów znajdował się pusty podest z gołych desek, małe okienko i kolejne drzwi, proste i niepomalowane. Przed drzwiami, na równie prostym drewnianym krześle, siedziała bogini, której Apollo nie widział jakiś czas: jego macocha Hera, siostra i żona Zeusa.

Zmierzyli się wzrokiem. Żadne nie mrugnęło. Z tego co wiedział, siedziała tu od ponad dwudziestu lat, bez ruchu, sama, nie licząc pary pawi, aktualnie leżących plackiem u jej stóp. Miała włosy koloru czarnowidztwa, kręgosłup prosty jak gilotyna i twarz, która mogłaby zatapiać statki. Ani trochę nie zaskoczył jej widok pierwszego gościa od dwudziestu lat, a przynajmniej nie raczyła tego okazać.

- Nie powiem, że miło cię widzieć, Hero - powitał ją Apollo.

Hera się nie poruszyła. Jej usta rysowały się w twarzy zimną, cienką linią.

- Nie traćmy czasu na rozmowy o niczym - ciągnął Apollo.

- Wolałabym nie tracić czasu na żadne rozmowy - odezwała się wreszcie Hera - ale widzę, że nie dajesz mi wyboru.

- Mam pewną informację. Informację, która może się okazać...

- Do rzeczy - przerwała mu.

- Dobra. - Apollo przełknął ślinę. - Jest tak. W tym domu powstał spiszek przeciwko tobie.

- Zaskakujesz mnie - powiedziała Hera. - Zawsze myślałam, że jestem lubianą boginią.

- Właśnie w tej chwili - ciągnął Apollo - spiskowcy zebrali się, hm, w pokoju dziennym - (jakżeby chciał, żeby istniało na to bardziej dramatyczne określenie, ale uznał, że „salon” byłoby jeszcze gorsze) - i szykują ci nędzny koniec.

- I? - zapytała Hera.

Wytrzymała jego spojrzenie. Apollo spuścił wzrok na pawie. Były tak niezainteresowane tym, co mówi, że ignorując go zupełnie, zaczęły popychać między sobą dziobami grudkę brudu. Spojrzał ponownie na macochę.

- Zamierzają cię zabić.

Hera wzruszyła ramionami.

- Nie uda im się. Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Jeśli tak, to możesz już odejść.

- I Zeusa.

- Słucham? - Po raz pierwszy w obojętnym obliczu Hery coś drgnęło.

- Zamierzają też zabić Zeusa.

- Nikt by się nie ośmielił - stwierdziła Hera, ale teraz w jej głosie słychać było zdenerwowanie.

- Dlaczego nie? - zapytał Apollo. - Przecież Zeus właśnie w ten sposób zdobył tę posiadłość, czyż nie? Zabił swojego ojca. Jego ojciec zabił swojego ojca...

- Zeus jest silniejszy, niż ci się wydaje - przerwała Hera. - Nie zamierza umierać.

- Wyglądasz na zmartwioną - stwierdził Apollo.

- Nie jestem zmartwiona.

- Masz zmartwiony głos.

- Nie jestem zmartwiona.

Apollo odczekał chwilę. Krzemienne oczy Hery zerknęły w stronę schodów. Apollo odczekał jeszcze chwilę.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? - zapytała Hera.

- Dlaczego miałbym kłamać? - zapytał Apollo.

- Dlaczego miałbyś mówić prawdę?

Apollo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Chodzi mi głównie o to, aby udupić rodzeństwo.

Teraz Hera musiała się zastanowić.

- Cóż, przyznaję, że to w twoim stylu - zgodziła się. Ale nie rozwinęła tej myśli ani nie ruszyła się z krzesła.

- Jeśli myślisz - powiedział Apollo - że to tylko jakiś mój plan pozbycia się ciebie, żebym sam mógł zabić Zeusa...

Mimowolne drgnięcie brwi Hery potwierdziło tę hipotezę.

- Cóż, nie martw się. Tak nie jest. Przysięgam.

Hera siedziała bez ruchu.

- Przysięgam na Styks - dodał Apollo.

Hera nadal nie reagowała.

- No dobrze. Przysięgam na Styks, że nie przyszedłem tu, by zabić lub skrzywdzić Zeusa. Zadowolona?

Hera wstała. Tylko jej pawie wiedziały, ile czasu minęło, od kiedy podniosła się po raz ostatni, ale jej ruchy były płynne, żadnego trzeszczenia czy skrzypienia stawów.

- Zajmij moje miejsce - powiedziała. - Strzeż go. Jeszcze jedno, Apollinie.

- Tak?

- Jeśli masz dla niego choć odrobinę miłości, jeśli w tym rodzyńku, który zastępuje ci serce, pozostała choć krztyna lojalności, nie otworzysz tamtych drzwi.

- O to się nie martw. Nie mam najmniejszej ochoty oglądać go w takim stanie.

Hera wyciągnęła rękę i spoliczkowała go z całej siły.

- To za brak szacunku dla ojca - powiedziała.

Apollo skinął głową. Ten jeden raz warto było stracić honor. Zemści się kiedy indziej. Hera dała pawiom znak, by poszły za nią, i ruszyła dostojnym krokiem po schodach. Apollo poczuł powiew świeższego powietrza z klatki schodowej, gdy otworzyła drzwi do głównej części domu.

- Zaraz wrócę - dobiegł go z dołu głos Hery. - Pod żadnym pozorem go nie wypuszczaj.

Potem dopływ powietrza został odcięty i Apollo znalazł się sam w dławiącej stęchliźnie.

- Dwie pieczenie na jednym ogniu - rzucił. - Cóż, to była pestka. Obszedł puste krzesło Hery i otworzył drzwi do pokoju Zeusa.

Na dole Artemidzie z trudem udawało się skupić. Atena pożyczyła rzutnik z wydziału uniwersyteckiego, którego była członkiem, i właśnie nanosiła na włókno octanowe skomplikowany schemat, mający ilustrować, o ile Artemidzie udało się zrozumieć, aktualną wzajemną zależność rynkową istniejących wyznań i - jak ona to ujęła? - „strategię importową dla wykorzystania niszy rynkowej i rozwoju”. Zadania nie ułatwiała to, że Atena musiała rzucać obrazy strategii importowej na odłóżką kwiecistą tapetę, na skutek czego bardziej niż biznesplan przypominała ona analizę szczególnie skomplikowanych działań wojennych prowadzonych w dżungli. Co zresztą mogłoby być ciekawsze, pomyślała Artemida, ziewając.

Rozejrzała się po pokoju. Afrodyta i Hefajstos całowali się namiętnie - Artemida szybko odwróciła od nich wzrok, ale i tak nie mogła nie zauważyć owłosionej ręki Hefajstosa pod spódniczką żony. Eros i Hermes grali w kółko i krzyżyk. Ares zajmował się swoimi notatkami, równie pracowicie jak przedtem. Jedynie Demeter i Dionizos zdawali się choć trochę uważać, ale nie sposób było powiedzieć, czy Demeter słyszy cokolwiek poza własnym wypełnionym przeczcuciem zbliżającego się nieszczęścia monologiem wewnętrznym. A kiedy Artemida przyjrzała się Dionizosowi, zauważyła, że ma w uszach dyskretne słuchawki połączone z jakimś odtwarzaczem w kieszeni. Tymczasem Atena kontynuowała swoją prezentację, ale Artemida już widziała desperację w jej ruchach, słyszała nutę hysterii w głosie, kiedy próbuje bez końca przekazać informację dla niej zupełnie oczywistą, ale dla innych zupełnie niezrozumiałą. To na nic. Artemida zaprzestała wysiłku i pozwoliła myślom odpłynąć.

Złapała się na dumaniu, jak by to było nie żyć. Biegać po Polach Elizejskich w Podziemiu i nie mieć żadnych zmartwień. Myślała o tym, jak bardzo rodzina by za nią tęskniła. W końcu zdaliby sobie sprawę, że zawsze zachowywali się tak, jakby mieli ją na każde zawołanie. I poniewczasie doceniliby, jak niezbędna jest konkretna osoba, która odpowiada za polowania, i czystość, i księżyc. Może nawet by ją odwiedzali i mówili, jak bardzo im przykro, że tak podle ją traktowali. Świat żywych byłby oczywiście w okropnym stanie, ale nareszcie nie byłby to jej problem.

Nagle, bez ostrzeżenia, drzwi pokoju dziennego wyleciały z zawiasów, zawirowały w powietrzu i rozpadły się na miliony drzazg, które osiadły bogom na głowach jak popiół. Jednocześnie ku czterem rogom pokoju wystrzeliły pioruny kuliste. Artemida zerwała się na równe nogi, przyjmując dumną postawę obronną, z wyciągniętym przed siebie stołkiem niczym poskramiacz lwów. W drzwiach, z włosami odrzuconymi do tyłu i strumieniami ognia wystrzelającymi z odwróconych dłoni, stała Hera.

Hera? Co ona tu robi? Nie widziano jej od tak dawna, że ostatnio krążyła pogłoska, jakoby Zeus znalazł sposób, by obrócić ją w kamień.

Hera ruszyła w stronę Ateny, przy każdym kroku ciskając kulami ognia.

- Niewdzięcznica! Zdrajczyni! Jezabel!

Atenie daleko było do Jezabel; jedną ręką unosiła egidę, a drugą przecierała zaparowane okulary. Ogniste pociski Hery odbiły się od tarczy i wylądowały pod ścianami przy wtórze syków i trzasków. Artemida pomyślała, jak niespodziewane korzyści może przynieść niebagatelny kłopot z wilgocią.

- Hero - odezwała się Atena zza egidy - zdaje się, że doświadczasz

przeniesienia osobistego bólu wewnętrznego na ukierunkowany na zewnątrz rankor. Może byłoby stosowniej skonfrontować się z twoimi ambarasami w obustronnej pełnej szacunku dyskusji?

Jednym drgnięciem brwi Hera przekreśliła Atenę do góry nogami i zawiesiła ją pod sufitem.

- Rozumiem - powiedziała Atena.

To nie był chyba odpowiedni moment, żeby zwracać Herze uwagę, ile mocy marnuje, więc Artemida usiadła znów na stołku, by cieszyć się przedstawieniem. Miała nadzieję, że to potrwa. Dawno nie widziała bitwy na taką skalę. Większość bogów ulegała słownym perswazjom Ateny, gdyż jej geniusz taktyczny z góry skazywał ich na przegraną. Z drugiej strony w Herze, kiedy tak długo siedziała w samotności na górze, musiało się nagromadzić bardzo dużo napięcia i zapewne dobrze się bawiła, wyładowując je. Może dlatego w końcu zeszła na dół; po prostu się nudziła. Artemida uchyliła się, kiedy nad głową przelatywał jej płonący podnózek, zostawiając za sobą smugę spalonych korników.

Artemida się uśmiechnęła. Czowała ciepły blask, nie tylko od ognia, który robił, co w jego mocy, by strawić zawilgocone ściany. Tęskniła za Herą. Nikt nie wpadał we wściekłość tak jak Hera, nawet Afrodyta w swoich najgorszych dniach. Dla Artemidy oglądać jej występ to jakby skulić się na kanapie w najstarszych spodniach od dresu, z miską ambrozji, przed telewizorem, w którym leci jej ulubiony film (*Zmierzch tytanów*). Ta nostalgia była tak silna, że czuła jej smak. I prawie już zapomniała, jak wygląda prawdziwy popis mocy, po tylu latach jej racjonowania. Może warto nie robić nic przez kilka dekad, jeśli na końcu mogłaby dać takie show.

Z drugiej strony, uważała, że ktoś powinien zaingerować, zanim Hera spali cały dom. Nie żeby Artemida miała za nim tęsknić, ale nie byli ubezpieczeni. Tak naprawdę przydałoby się, by Ares przejął dowodzenie - i właśnie kiedy to pomyślała, usłyszała, że ten zbliża się od tyłu, buzujący determinacją. Patrzyła, jak podchodzi do Hery i Ateny z mapami i suwmiarkami w gotowości, a na jego twarzy widnieje szeroki, pełen wyczekiwania uśmiech.

- Drogie panie - powiedział. - Przepraszam, że przerywam wam rozmowę, ale... Czy byłybyście może zainteresowane małą wojną lądową w Azji? Zwycięzca bierze wszystko.

Nastąpiła przerwa, podczas której Hera rozważała propozycję. Potem ciało Ateny przestało wirować, płomienie zaczęły przygasać, a na twarz Hery zawitał najrzadszy z gości: uśmiech.

Trzy piętra nad miejscem, gdzie Atena, Hera i Ares mieli właśnie przypieczętować los dwóch dotychczas miłujących pokój i niczym się niewyróżniających byłych republik radzieckich, Apollo stał na progu sypialni Zeusa i mrugał w ciemnościach.

Poza Herą nikt nie miał wstępu do tego pokoju. Apollo nie miał pojęcia, co tam zastanie. A nawet czy w ogóle zastanie tam Zeusa - czasem zastanawiał się, czy sekretem, którego Hera strzeże z takim oddaniem, nie jest to, że Zeus nie żyje.

Zeus żył. A przynajmniej Apollo przypuszczał, że tak jest, chyba żeby ostatnio zmarli zaczęli oglądać telewizję. Z drugiej strony Zeus - kształt, który Apollo za niego uznał - niczym nie zdradzał, że zauważył obecność kogoś obcego. Może więc na łóżku leżała już tylko powłoka bez życia, obmywana migocącym niebieskim światłem telewizora,

nieświadoma syreniego śpiewu reklam, wzywającego ją do wydawania pieniędzy, których nie ma.

Łóżko - pojedyncze, o metalowej ramie, wysłane spleśniałymi kocami niczym łóżeczko dziecięce - stało pod ścianą w głębi pokoju pozbawionego innych mebli. W nogach leżała niska drewniana skrzynka, a na niej telewizor. Poza tym nie było tu nic - ani jednego zdjęcia czy książki - tylko drobinki kurzu unosiły się w zastałym powietrzu. Jedynym dźwiękiem był sztucznie radosny szczebiot młodej kobiety z telewizora, która zachęcała widzów, by przy odnawianiu łazienki rozważyli oplacalny styl malowania przy użyciu szablonu.

Apollo zrobił krok w stronę ojca. Gołe deski pod jego stopami krzyknęły, i kształt w łóżku się poruszył, zwrócił głowę w jego stronę.

- To ty? - zapytał drżący głos.

Apollo nie odpowiedział. Podszedł do tej ściany, tam gdzie powinno znajdować się okno. Zostało zabite deskami.

- Czy w końcu po mnie przyszedłeś? - zawołał Zeus.

Apollo nie lubił, kiedy słońce nie ma dostępu do pokoju.

Chwycił róg deski i pociągnął mocno. Zbutwiałe drewno pękło mu w rękach. Światło wlało się do środka i Apollo odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z ojcem.

- Kto to? - zawołał Zeus, wzdrygając się od nagłej fali światła.

- To ja, ojcze - odparł Apollo. - Twój syn, Apollo.

Chwila milczenia.

- Przyszedłeś mnie zabić? - zapytał Zeus.

- Nie, ojcze. Nie przyszedłem cię zabić.

- Nie widzę cię.

Apollo podszedł do łóżka i usiadł. Jediną widoczną częścią Zeusa była jego twarz, pożółkła i pomarszczona jak wiekowa powłoczka na poduszkę, na której spoczywała jego głowa. Włosy, długie, w kolorze brudnej bieli, opadały smętnie, pozlepiane w sztywne strąki. Jednakże jego oczy, niczym niebieskie diamenty, zachowały wciąż swój bystry, dziki i twardy wyraz. Ten wzrok przewierciłby wszystko.

- Tu jestem, ojcze - powiedział Apollo.

Zeus wyciągnął wychudłą, drżącą rękę spod koców i położył ją na dłoni Apollina. Jego skóra była tak blada, że niemal szara, tak cienka i rozciągnięta na nabrzmiąłych fioletowych żyłach, że zdawało się, iż lada chwila pęknie.

- A więc - powiedział Zeus - w końcu przyszedłeś mnie odwiedzić. Mój syn.

- Tak, ojcze.

- Mój syn - powtórzył Zeus. - Który to?

- Apollo.

- Ach tak, Apollo. Mój syn. Moje słońce. - Zeus zaśmiał się, a może zakaszał. - Przyszedłeś się upewnić, czy wciąż żyję?

- Nie, ojcze.

- A powiedz jeszcze raz, którym jesteś synem?

- Apollo.

- Apollo. Słońce. Syn słońce.

- Tak. Apollo.

- I nie zamierzasz mnie zabić?

- Nie.

- Która to twoja matka? - zapytała dziura w twarzy.

- Moja matka? Leto - odparł Apollo.

- Leto. Ach, tak. Miła była. Dobra. Sądzę, że mnie kochała.

- Tak.

- Apollo. Mój syn.

Zapadła cisza.

- O czym to mówiliśmy? - zapytał po chwili Zeus.
- Nie mówiliśmy o niczym. Dopiero przyszedłem - odparł Apollo.
- Och - powiedział Zeus. - Nie chcę cię. Gdzie ona jest?
- Słucham?
- Gdzie ona jest? Przyjdzie po mnie? Gdzie ona jest?
- Gdzie kto jest?

Ręka Zeusa złapała dłoń Apollina, zaskakująco mocno, po czym puściła ją.

- Nie wiem.

Zeus zaczął szarpać koce, ściągając je z siebie i odsłaniając górną część ciała. Niewiele z niego zostało. Mięśnie jakby się wessały, a skóra zwisała luźno z kości.

- Pomóż mi - powiedział. - Chcę wstać z łóżka.

Apollo pochylił się i odwinął koce. Zeus był nagi. Jego genitalia zwisały bezwładnie. Apollo pomyślał o tych tysiącach kobiet, bogiń, które Zeus nadział na ten wałek martwej teraz skóry, sprawiając, że śmiały się lub płakały, lub dosłownie umierały z rozkoszy, a ich krzyki niosły się echem przez kontynenty, kiedy eksplodowało w nich nowe życie.

- Oprzyj się o mnie. - Apollo pomógł Zeusowi usiąść.

Razem przemieścili patykowate nogi Zeusa, tak że zwisały z boku łóżka, i Apollo podciągnął go w górę. Zeus stał, drżący, a tymczasem Apollo przrzucił sobie jego rękę przez ramiona, żeby go podtrzymać.

- Mogę stać - odezwał się Zeus.

I mógł.

- Podprowadź mnie do okna - powiedział.

Apollo był zaskoczony, widząc, że Zeus jeszcze potrafi chodzić. Z każdym krokiem zdawał się zyskiwać trochę więcej energii. Wyprostował plecy i nie opierał się już tak mocno o ramię Apollina. Wciąż

się jednak trząsał, i był bardzo słaby; Apollo czuł, że nawet gdyby nie był bogiem, mógłby go podnieść jedną ręką.

- Popatrz na to - powiedział Zeus.

Apollo wyjrzał za okno, ale nie zobaczył niczego ciekawego.

- Drzewa. Niebo. Chmury - ciągnął Zeus. - To moje. Wszystko moje.

- Tak - potwierdził Apollo.

- Nie byłem tam od jakiegoś czasu - zwierzył mu się Zeus. - Nie wolno mi.

- To oburzające. Jeśli to miejsce należy do ciebie, powinienes przynajmniej móc po nim chodzić.

Zerwał kolejną spróchniałą deskę z okna, na skutek czego powstała dziura tak duża, że ktoś chudy - powiedzmy stary wyniszczony bóg - mógłby się przez nią przecisnąć.

- To Anglia, wiesz - powiedział Zeus, patrząc w dal.

- Wiem.

- Mieszkam tu... od niedawna. Załedwie kilka wieków. Mgnienie oka w życiu boga. Czy ty jesteś bogiem?

- Tak, jestem.

- Powiedziała mi, że nie jestem bogiem, ale ja znam prawdę.

- Na pewno.

- Powiedziała, że jestem szalony, że muszę na długo pójść do łóżka. Powiedziała, że przebywając tam, mógłbym zrobić sobie krzywdę, albo ktoś inny zechciałby mnie skrzywdzić. Powiedziała, że moje dzieci próbowałyby mnie zabić. Przyszedłeś tu, żeby mnie zabić?

- Nie - odparł Apollo. Nie tym razem, pomyślał.

- Czekam więc, aż szaleństwo mnie opuści, a wtedy ona po mnie przyjdzie.

- I nie robisz nic, tylko leżysz w łóżku?
- Oglądam też telewizję.
- Ja występuję w telewizji.
- Tak? Występowałeś kiedyś w *Doktorze Who*?
- Nie.
- Och. Lubię Doktora Who. On też jest bogiem.
- Nie sądzę.

W ułamku sekundy Apollo odbijał się jak piłeczka tenisowa od przeciwległej ściany pokoju.

- Właśnie, że jest bogiem.

- Przepraszam - odezwał się Apollo z podłogi. - Oczywiście, że tak. Pomyliłem go z kimś.

Podniósł się i usunął kilka garści kurzu, które przyczepiły mu się do koszuli. Jego ubranie miało dziś kiepski dzień.

- Ojciec - powiedział.

- Jestem twoim ojcem? - zapytał Zeus, z pewnym zaskoczeniem.

- Muszę ci coś powiedzieć - ciągnął dalej Apollo. - Coś ważnego. Coś, co mogłoby zagrozić twojemu bezpieczeństwu - bezpieczeństwu nas wszystkich.

Podszedł do Zeusa i położył mu rękę na ramieniu. Było chude, ale twarde.

- O co chodzi? - zapytał Zeus.

- W domu przebywała śmiertelniczka.

- Co? Kiedy? Teraz?

Zeus rozejrzał się gorączkowo wokół, jakby śmiertelnicy mieli zaraz wyleźć ze szpar w podłodze.

- Nie - odparł Apollo. - Wyrzuciłem ją. Wyrzwał za okno, udając zadumę.- Ale... - dodał po chwili - uważam, że za dużo wie.

- Kto ją wpuścił? - zapytał Zeus.

- Artemida - odrzekł Apollo, odwracając się tyłem do ojca. - Oczywiście zasługuje na karę. Ale co do śmiertelniczki...

- Jak ma na imię?

- Alice. Chcesz zobaczyć, jak wygląda?

Wyciągnął z kieszeni telefon i pokazał Zeusowi zdjęcie Alice, na którym najlepiej widać jej twarz. Kiedy się upewnił, że Zeus dobrze się przyjrzał, zabrał mu telefon.

- Rzecz jasna, to, co zrobisz z tą informacją, zależy wyłącznie od ciebie - powiedział. - Nie śmiałbym w żaden sposób wpływać na twoją decyzję.

20

Po wszystkim synoptycy będą musieli pojawić się w telewizji, przeprosić i przyznać, że nie mają pojęcia, skąd wzięła się ta burza. Uparcie twierdzili, że na mapach nie było niczego, co mogłoby wskazywać, że tego marcowego poranka, na który zapowiadano słońce, spadnie tyle deszczu co przez cały ostatni rok. Lider opozycji zażądał wszczęcia dochodzenia w sprawie działalności Instytutu Meteorologii, a kilka gazet poszło za jego przykładem, ale wkrótce zapomniano o całej sprawie, gdyż niespodziewanie wybuchła wojna między dwoma mało znanymi, acz bogatymi w ropę krajami na wschód od Rosji, i Ameryka zaczęła przebąkiwać o interwencji.

Tamtej nocy Neil nie zmrużył oka; cały czas siedział w przedpokoju pod drzwiami sypialni, gdzie spała Alice. Pragnął tam wejść i przytulić ją, ale nie erotycznie; chciał owinąć się wokół niej jak łupinka wokół orzecha.

Kiedy Alice dotarła do jego domu, była blada i bliska katatonii. Nigdy wcześniej u niego nie była, a Neil marzył o tym od dawna. W tych marzeniach każdy pokój ozlacała jej aura, kiedy Alice przechadzała się majestatycznie, wyrażając aprobatę, jak księżniczka dokonująca przeglądu statku. W tych marzeniach dom był posprzątany. W tych marzeniach ona była szczęśliwa. Tymczasem zdążył tylko pozbierać nieświeże ubrania z brudnego dywanu i pozmywać, a już rozległ się dzwonek i w progę stanęła ta zjawą.

Alice, jak to ona, oczywiście przeprosiła go z całego serca - nie był tylko pewien za co - ale potem nie potrafił z niej wydobyć ani jednego słowa. Posadził ją w kuchni i zrobił jej herbatę, której nie wypiła, a potem posadził ją w salonie i włączył telewizję, której nie oglądała; w końcu przyniósł jej talerz zupy, której nie zjadła, tylko patrzyła na nią z przerażeniem, aż Neil zdał sobie sprawę, jak ją musi boleć, że nie przyjmuje jego gościnności, i zabrał zupę z powrotem.

Potem poprowadził ją do sypialni - było to kolejne marzenie, które urzeczywistniało się zupełnie, ale to zupełnie nie tak, jak powinno. Dał jej T-shirt i szorty do spania, cichutko zamknął za sobą drzwi, po czym usiadł i czekał. Oparł się o zimną ścianę przedpokoju i słuchał otaczającej go ciszy. Chciał ją chronić, chciał znaleźć tego, który jej to zrobił, i dać mu wpięrdol (był pewny, że chodziło o „niego”, i niemal pewny, że wie, o kogo „niego” chodzi). Ale nie bił się z nikim od czasów szkolnych, a nawet wtedy jego „bójki” sprowadzały się do ucieczki w róg placu zabaw, gdzie kulił się, dopóki większy chłopiec nie podniósł go i nie wsadził do szafki. Myśl o tym, że miałby odegrać bohatera i naprawdę zwyciężyć - cóż, była to taka sama fantazja jak marzenie o sprowadzeniu Alice do siebie. W rzeczywistości wszystko poszłoby nie tak.

O dziewiątej rano z pokoju nadal nie dochodziły żadne oznaki życia. Neil nie chciał budzić Alice, ale wiedział też, że ona nie chciałaby się spóźnić do pracy, więc uchylił cicho drzwi i zajrzał do środka. Alice leżała w łóżku na plecach, z szeroko otwartymi oczami, i na widok Neila powiedziała „Nie idę”.

- W porządku - odparł Neil.
- Mogę tu dzisiaj zostać?
- Oczywiście.
- Zostaniesz ze mną?
- Alice, co się stało?
- Proszę, zostań dziś ze mną.

Neil popatrzył na nią przez chwilę. Gdy tak leżała nieruchomo, z bladą twarzą, wyglądała jak trup.

- Oczywiście - powiedział. - Zadzwonię tylko do biura i powiem, że mnie dziś nie będzie.

Odwrócił się, by wyjść.

- Neil?
- Tak?
- Nie zamykaj drzwi.

Neil poszedł do kuchni, zostawił krótką wiadomość na sekretarce w firmie, po czym przygotował dwa kubki herbaty i zaniósł je do sypialni. Alice wreszcie spała. Zostawił jeden kubek na stoliku nocnym i opuścił pokój na palcach.

Usiadł przy stole kuchennym i próbował zająć się pracą. Rozłożył jakieś plany budowy i popatrzył na nie. Elewacja frontowa. Elewacja boczna. Plan piętra.

Może chodzi tylko o ich kłótnię? Kiedy myślał o tym, co jej wtedy powiedział, robiło mu się niedobrze. Nic dziwnego, że była tak zdeenerwowana. No ale gdyby o to chodziło, czemu przyszłaby do niego? Nie, to musi być coś innego, coś, co wydarzyło się później. Coś gorszego.

Spojrzał znowu na elewację frontową. Wziął ołówek, żeby coś zanotować, ale grafit był złamany, więc wstał i zatemperował go nad zlewem.

Gdyby tylko powiedziała mu, co się dzieje.

Odkręcił wodę, splukał strużyny i wrócił do stołu. Elewacja frontowa. Co takiego zamierzał na niej napisać? Nieważne, przypomniał sobie. Spojrzał jeszcze raz na elewację boczną, a potem na plan piętra. Coś tu nie grało. Miał przed sobą znajome kombinacje linii i liczb, ale nie chciały do niego przemówić, nie chciały ujawnić swojego znaczenia, jakby zapisano je w obcym alfabecie.

Rzecz w tym, że powiedziała, że się boi. Nie że czuje się urażona czy jest zła: boi się. Co takiego mogło ją przestraszyć? Powie mu, kiedy będzie gotowa. Na pewno.

Neil wrócił do szkiców. Teraz już wiedział, co nie gra: to rysunki do projektu skończonego latem zeszłego roku. Idiota, powiedział sam do siebie. Niczego nie potrafisz zrobić porządnie? Idź po te drugie szkice. Zrób coś. Ale nie wstał, nie odłożył starych rysunków. Po prostu siedział i patrzył na nie, z ołówkiem zawieszonym nad kartką.

Późnym rankiem usłyszał, jak Alice wstaje i idzie pod prysznic, a wkrótce potem weszła do kuchni, z mokrymi włosami okalającymi jej wymizerowaną twarz, ubrana w swoje wczorajsze dżinsy i T-shirt Neila.

- Przepraszam... - zaczęła.
- Nie przepraszaj - przerwał jej Neil. - Nie masz za co.
- Dzięki za herbatę i za to, że pozwoliłeś mi zostać. Dobry z ciebie przyjaciel. Nie zasługuję na ciebie.
- Nie mów tak, proszę. Zasługujesz... zasługujesz na coś... Na wszystko. Na wszystko, co dobre.
- Nieprawda - odparła Alice, kręcąc głową.
- Alice...

- Nie. Ty nic nie wiesz, więc...
- Więc mi powiedz - poprosił Neil.
- Nie mogę. Wstydziłbyś się za mnie.
- Niemożliwe, żebym kiedykolwiek wstydził się za ciebie, Alice.
Alice tylko pokręciła głową.
- Słuchaj - powiedział Neil. - Dziś taki piękny dzień. Może pójdziemy na spacer? Tylko do parku. To odwróci twoje myśli od tej sprawy i zrobi nam lepiej niż siedzenie tu przez cały dzień.
- Razem? - zapytała Alice.
- Oczywiście, że razem - odparł Neil.
- Nie musimy nigdzie iść. Już i tak ci przeszkodziłam - widzę, że pracujesz...
- Nie bądź niemądra. To tylko praca. Może poczekać. Chodź, będzie miło.

I było miło, na początku. Słońce grzało, na tyle mocno, że Neilowi wystarczyła dżinsowa kurtka zarzucona na koszulę, a Alice zrezygnowała z zimowego płaszcza na rzecz jego swetra. Nie mówili dużo, ale nigdy dużo nie rozmawiali, a w ich milczeniu było coś kojącego. Neil bardzo chciał wziąć Alice pod rękę, ale wyczuł, że jest jeszcze na to zbyt słaba, więc się powstrzymał. Cieszył się jednak, że idzie tak obok niej, choć w drodze do parku nie było nic wyjątkowego: zwykłe ulice otoczone segmentami mieszkalnymi, dziwaczne, brzydkie skupisko domów komunalnych, a potem główna ulica, z kebabami, sklepami „wszystko po funcie”, i takimi agencjami nieruchomości, że każdy pomyśli dwa razy, nim zdecyduje się zamieszkać w tej okolicy. Wokół byli inni ludzie, pary, i Neil zaczął się zastanawiać, czy oni też kiedyś zostaną parą, i poczuł się winny, że zastanawia się nad tym w takiej chwili, ale i tak się zastanawiał. Tak bardzo chciał ją wziąć pod

rękę, że musiał włożyć dłoń do kieszeni.

Przy bramie parku Alice zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy, z bardzo poważną miną. Uświadomił sobie, że Alice nigdy nie patrzy mu prosto w oczy, zazwyczaj wszystkie swoje uwagi kieruje gdzieś w przestrzeń tuż nad jego ramieniem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Muszę z tobą porozmawiać. Muszę powiedzieć ci, co się wczoraj wydarzyło.

- W porządku.

Alice położyła rękę na ogrodzeniu. Wyglądało na to, że się na nim wspiera.

- To bardzo przykre - zaczęła.

- W porządku.

- I to wszystko moja wina - ciągnęła. - Wszystko.

- Jestem pewien, że to nie była...

- To była moja wina - powtórzyła Alice.

Neil skinął głową.

- Ta historia składa się z dwóch części. Pierwsza... pierwsza jest nieprzyjemna. Nie chcę ci o niej mówić. Ale to konieczne. Bo bez pierwszej części nie mogę opowiedzieć o drugiej, a muszę... - Alice odjęło mowę.

- Niczego nie musisz - powiedział Neil.

- Muszę komuś powiedzieć, a ty jesteś jedyną osobą, której mogę się zwierzyć. No dobrze. Pierwsza, pocałowałam Apolla.

Neil spodziewał się tego, ale cios przewidziany nie stał się mniej bolesny. Pomyślał, że chyba zwymiotuje, ale kiedy otworzył usta, wyszło z nich coś innego.

- W porządku - powiedział. - To nie ma znaczenia.

- Właśnie, że ma.

Alice puściła ogrodzenie i wyciągnęła do niego rękę, a Neil pomyślał, że dotknie jego ramienia, albo nawet twarzy, ale w tej właśnie chwili słońce nagle zniknęło i zaczął wiać zimny wiatr, znikąd, jakby ktoś ich podniósł i przeniósł w zupełnie inny dzień.

- Co u licha...? - powiedziała Alice, spoglądając w górę.

Neil podążył za jej wzrokiem i zobaczył chmury, które nagle się nad nimi pojawiły, czarne jak atrament, skłębione i rozszalałe; owszem, niby tylko chmury, ale przypominające złowieszczy wir gotowy ich pochłonąć, a potem zobaczył w nich twarz starca, i ta twarz była rozdęta z wściekłości, i rozległ się trzask pioruna, głośniejszy niż cokolwiek, co Neil w życiu słyszał, i ognisty sztylet wystrzelił dokładnie w nich, jakby - kierowany jakąś inteligencją - właśnie ich szukał.

21

Kiedy Alice otworzyła oczy, zdziwiła się, że leży na ziemi, otoczona ścianą deszczu. Jej uszy wypełniało przenikliwe wycie alarmów samochodowych - wyglądało na to, że włączyły się wszystkie co do jednego w promieniu kilku kilometrów. Nie bardzo wiedziała, co się stało. Coś musiało się stać, skoro tu leży. Ale czuje się dobrze. Choć nie, to niezupełnie tak: właściwie w ogóle nic nie czuje. Uznała, że chyba jest w szoku. Tylko nie była pewna, co miałoby ten szok wywołać. Przyszło jej do głowy, że może piorun uderzył w ulicę.

Zobaczyła stopy biegnące w jej stronę, mnóstwo stóp. Ludzie byli w panice. Przestraszona, że ją stratuja, usiadła prosto. Rozejrzała się w poszukiwaniu Neila, ale nie było go nigdzie widać. Nagle przeraziła

się, że coś mu się stało. Wtedy dojrzała wśród tłumu postać leżącą na ziemi i rzuciła się do niej biegiem, manewrując między ludźmi, którzy kierowali się w przeciwną stronę; wiedziała, że to Neil, jeszcze zanim go wyraźnie zobaczyła.

Neil leżał na plecach, z otwartymi oczami utkwionymi w górze. Alice padła na kolana obok niego. Przez jedną długą groteskową sekundę myślała, że nie żyje. Wtedy się poruszył. Na początku tylko ręką, ale to wystarczyło.

- Nic ci nie jest, Neil? - zapytała. - Odezwij się, proszę.

- Wszystko w porządku - powiedział trochę za głośno Neil. - Nic mi nie jest.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Alice. - Tak się martwiłam. Wiesz, co się stało?

Neil usiadł, ale nie odpowiedział. Nawet na nią nie spojrzął. Patrzył przez nią na ludzi, którzy biegli w stronę parku, na ludzi, którzy biegli w tamtym kierunku.

- Ojej - powiedziała Alice. - Myślisz, że ktoś jest ranny?

Neil milczał. Wstał i rozejrzał się wokół. Wyglądał na oszołomionego. Alice też wstała.

- Neil, o co chodzi? Nie słyszysz mnie? Widzisz coś?

Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale on ją minął i ruszył w kierunku ludzi, którzy zebrali się w pobliżu miejsca, gdzie upadła Alice. Alice słyszała płacz kobiety i wycie zbliżającej się karetki. Ktoś musiał zostać poważnie ranny; może kilka osób. Oczywiście to typowe dla Neila, że chce pomóc.

Odwróciła się i pobiegła za nim. Szedł na oślep, potykając się. Kiedy pozostali zobaczyli, że się zbliża, rozstąpili się, by go przepuścić, ale zanim Alice zdążyła pójść jego śladem, znów zwarli szeregi. Stała z tyłu i nic nie widziała. Przez kilka chwil nic się nie działo.

Potem ktoś powiedział: „Ona nie oddycha”.

Alice poczuła ukłucie żalu, wyrzuty sumienia: ona się cieszy, że Neilowi nic nie jest, a inni cierpią.

- Potrafię udzielać pierwszej pomocy - powiedziała. - Czy mogę coś zrobić?

Została zignorowana. Nikt się nawet nie odwrócił. I wtedy usłyszała głos Neila.

- Ma na imię Alice. Jest ze mną.

- Ale ja jestem tutaj! - krzyknęła Alice, nie zważając na to, co pomyślą inni, byle tylko Neil ją usłyszał. - Neil! Nic mi nie jest!

- Czy ona z tego wyjdzie? - zapytał.

- Nic mi nie jest! - wrzasnęła Alice. - Neil, jestem tu w tyle! Nic mi nie jest!

Nikt się nie odwrócił.

- Robię co w mojej mocy, ale to chyba nic nie da - powiedział obcy jej, zdyszany głos.

- Przepuście mnie! - krzyknęła Alice.

Nikt się nie odwrócił.

Ruszyła więc do przodu, żeby się precyzyjnie przemieszczać, mimo że nienawidziła się pchać, i chwyciła mężczyznę przed nią za rękę, mimo że nienawidziła łapać innych za rękę, tylko że zamiast złapać jego rękę, jej dłoń przez nią przeszła.

Neil ocknął się na chodniku, sam i oszołomiony. Zdał sobie sprawę, że pada deszcz. Leje. Krople wydawały się tłuste. Ludzie zaczęli biec, więc powiedział: „Wszystko w porządku, nic mi nie jest”, ale oni nie biegli do niego. Usiadł i rozejrzał się za Alice, ale nigdzie nie było jej widać. Przy ogrodzeniu parku, gdzie stał jeszcze przed chwilą, zebrała się grupa ludzi, i usłyszał, że jakaś kobieta szlocha. Potem

usłyszał w oddali wycie syreny, które stopniowo się zbliżało. Podeszedł do tłumu, ale wciąż nie widział Alice. Mokre ubranie przylepiło mu się do ciała, włosy do czoła. Było mu zimno. Ktoś mówił: „Ona nie oddycha”. Z niesamowitym spokojem pomyślał: „Oni mówią o Alice. Jeśli przepchnę się na przód tego tłumu, zobaczę ją, leżącą na ziemi”. Wydało mu się więc całkiem naturalne, że tak się właśnie stało.

- Ma na imię Alice - powiedział.

Ktoś objął go ramieniem. Zdziwiło go, że ma czucie w rękach. Ktoś inny kuczał nad ciałem Alice, wdmuchiwał jej powietrze w usta i rytmicznie uciskał dłońmi klatkę piersiową. Wyglądało to brutalnie, obscenicznie. Chciał go od niej odciągnąć. Pod tym brutalem Alice była doskonała. Wszystko było z nią w porządku. Jak mogłoby nie być?

- Czy ona z tego wyjdzie? - zapytał.

Alice przeszła przez ludzi. Nie chciała przez nich przechodzić, ale po drugiej stronie był Neil. Przeszła więc przez nich. Nic nie poczuła. Byli dla niej tylko powietrzem.

Zobaczyła Neila, zanim zobaczyła siebie. Stał na przedzie tłumu, trochę oddalony od reszty, nie licząc kobiety, która obejmowała go ramieniem. Patrzył na ciało na chodniku. Jej ciało. Ktoś ją reanimował. Jak ktoś może ją reanimować, skoro ona stoi tutaj? Gapiała się na siebie i mężczyznę, który uciskał jej mostek. To wszystko było zupełnie nie tak. Nie powinna patrzeć na własne ciało. Przeniosła wzrok z powrotem na Neila. Trząsł się.

Podeszła do niego i w końcu go objęła, tak jak zawsze chciała to zrobić.

- Jestem tu - powiedziała. - Kocham cię.

Neil wysunął się z jej objęć i zbliżył do jej bezbronnej ciała. Alice zaczęła płakać. Nic nie popłynęło z jej oczu.

Następne minuty - godziny? - zdawały się mijać jednocześnie w zwolnionym tempie i w przyśpieszeniu. Przyjechała karetka; tłum się cofnął. Ratownicy zerwali z niej sweter i T-shirt - sweter i T-shirt Neila - i defibrylowali ją. Bez skutku. Dalsza resuscytacja. Na nic. Porozumieli się szeptem; jeden wziął Neila na stronę, a inny zasłonił Alice twarz.

Do ludzi zaczął docierać prawdziwy sens tego, co się wydarzyło: patrzyli dziś, jak ktoś umiera. Kiedy zdali sobie z tego sprawę, zaczęli się rozchodzić; chcieli jak najszybciej zacząć zapominać.

- Jest pan rodziną? - zapytał Neila ratownik.
- Nie - odparł Neil.
- Chłopakiem?
- Nie.
- Czy powinniśmy do kogoś zadzwonić?
- Do mnie - powiedział Neil. - Zawsze dzwoniła do mnie.

Zabierali jej ciało. Wnosili do karetki i zabierali je. Alice poczuła przerażenie, panikę. Próbowała wdrapać się do ambulansu, ale nie mogła; fizycznie nie mogła wejść do pojazdu. Przeniknęła przez niego.

A potem, co jeszcze gorsze, ratownik poprowadził do karetki Neila.

- Tyle jej chciałem powiedzieć - mówił Neil.
- Jeszcze możesz! - krzyknęła Alice. - Wciąż tu jestem! Neil! Ja nadal tu jestem!

Ale drzwi się zamknęły i ambulans odjechał, zabierając ze sobą wszystko, co się dla niej liczyło, a ona została całkiem sama na chodniku.

I wtedy usłyszała, jak jakiś głos wypowiada jej imię i nazwisko.

- Alice Joy Mulholland?

Alice się odwróciła.

- Hermes?

- Tak - odparł Hermes. - Skąd wiedziałaś?

Opierał się o ogrodzenie, ubrany jak zawsze w elegancki garnitur i dziwne pasujące do siebie kapelusz i sandały ze skrzydłami, i patrzył wprost na nią, trochę zaskoczony, ale nawet w połowie nie tak jak ona.

- Nie rozumiem - stwierdziła Alice. - Jak to skąd wiedziałam? Przecież mnie znasz. Wymówiłeś moje imię.

- Co z tego? Znam imiona wszystkich.

- Ale przecież my się znamy - powiedziała Alice. - Sprzątam twój dom.

Jego twarz rozbłysła, kiedy ją rozpoznał.

- Oczywiście. Przepraszam. Inny kontekst. Zrobił durną minę.

- Ale... - zawahała się Alice. - Ty mnie widzisz.

- Oczywiście, że cię widzę - odparł Hermes. - Stoisz tuż przede mną.

- Tak, ale... - Alice zamilkła. - Przepraszam. Nie chcę podważać tego, co mówisz. Tylko że ja...

- Co? - zapytał przyjaźnie Hermes.

- Ojej, chyba musiałam się uderzyć w głowę. Właśnie miałam przedziwną - wizję, chyba tak by to należało nazwać. Myślałam, że jestem... - zawahała się. - Przepraszam, mówię od rzeczy.

- Rzeczywiście uderzyłaś się w głowę - potwierdził Hermes. - Ale nie to cię zabiło.

- Co mówisz?

- To było uderzenie pioruna.

- Czyli... czyli jestem martwa.

Hermes przekrzywił głowę.

- Najlepiej się upewnić - powiedział.

Sięgnął do jej klatki piersiowej i wyciągnął serce.

- Tak - oświadczył. - Bez wątpienia nie bije.

Włożył je z powrotem.

Alice zaczęła krzyczeć. Krzyczała i krzyczała, i krzyczała, i krzyczała, i krzyczała. Krzyczała i krzyczała, i krzyczała, i kiedy tak krzyczała, zdała sobie sprawę, że to wcale jej nie wyczerpuje ani nie przynosi ulgi, ani nawet nie powoduje bólu gardła. Krzyk nie miał na nią absolutnie żadnego wpływu.

W końcu przestała.

- Skończyłaś? - zapytał Hermes, który przez cały ten czas stał bez ruchu i przyglądał jej się.

- Tak.

- To dobrze - powiedział Hermes.

Wyjął z uszu zatyczki.

- Krzyki to ryzyko zawodowe - wyjaśnił. - Chodź. Mój motor jest tuż za rogiem.

Hermes zaczął się od niej oddalać i Alice ruszyła pośpiesznie jego śladem.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Coś mi się wydaje, że ty w ogóle nie za dużo rozumiesz.

- Jeśli jestem martwa, jak to możliwe, że ty wciąż mnie widzisz?

- Myślałam, że to oczywiste - odparł Hermes.

- Cóż, nie. Obawiam się, że niezupełnie - stwierdziła Alice.

- Jestem bogiem - wyjaśnił Hermes. - Jechałaś już kiedyś na motorze?

Zatrzymali się przy lśniącym czerwonym motocyklu, który Alice często widywała zaparkowany na ulicy przed ich domem.

- Ja... - powiedziała. - Nie. Jesteś...? Nigdy. Bogiem?

- Nie martwiłbym się tym za bardzo - stwierdził Hermes. - Nawet jak spadniesz, nic ci się nie stanie.

- Jesteś bogiem?

- Przecież mówię. Siadaj z tyłu.

Hermes usiadł okrakiem na motorze i spojrział na Alice.

- No dalej - powiedział - nie mam na to całego dnia. Cóż, technicznie rzecz biorąc, mam, ale nie będę cię zanudzał szczegółami.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Alice.

- Do świata podziemnego.

- Ale ja nie chcę jechać do świata podziemnego.

- Jeśli tu zostaniesz, to jako duch - powiedział Hermes. - Będziesz mogła rozmawiać jedynie z telewizyjnym medium. Zaufaj mi, w świecie podziemnym jest lepiej.

Alice się nie ruszyła.

- Chyba mnie nie rozumiesz. Masz do wyboru pójść ze mną albo zostać tu zupełnie sama.

Alice zastanowiła się, po czym usiadła za nim na motorze.

- Dobra dziewczynka - powiedział Hermes.

Upewniwszy się, że Alice siedzi bezpiecznie, ruszył. Motor przejechał przez samochód zaparkowany przed nimi i popłynął cicho przed siebie. Alice w ogóle nie czuła oporu wiatru na ciele; jakby wcale nie jechali.

- Funkcjonowanie w czasie zmarłych ma jedną zaletę - odezwał się Hermes. - Nie potrzeba benzyny. Nie trzeba niczego spalać, bo, w pewnym sensie, nigdzie się nie jedzie.

- Nie... - zaczęła Alice.

- Nie mów, że nie rozumiesz - przerwał jej Hermes. - Jesteś martwa raptem od pięciu minut. Oczywiście, że nie rozumiesz. Kiedy

będziesz miała za sobą parę wieków na przemyślenie tego wszystkiego, zrozumiesz. Tymczasem po prostu się temu poddaj.

Kiedy Alice nic nie odpowiedziała, spojrzal na nią przez ramię.

- Słuchaj, przepraszam, jeśli sprawiam wrażenie trochę opryskliwego. Rzecz w tym, że muszę to robić tysiące i tysiące, i tysiące razy każdego dnia, i większość ludzi jest równie zszokowana swoją śmiercią jak ty. Do tego dochodzi stały nadzór nad tym, żeby cała gospodarka tego świata funkcjonowała bez zarzutów. A nigdy tak nie jest, do jasnej cholery, bo wy, śmiertelnicy, ciągle się wtrąacie. Więc sama rozumiesz, po jakimś czasie po prostu rezygnuje się z konwencji. Jeśli to ma jakieś znaczenie, to uważam, że odwaliłaś kawał dobrej roboty jako nasza sprzątaczką. Trudno cię będzie zastąpić.

Alice oderwała wzrok od wnętrza samochodów i ludzi, przez których przejeżdżali, i przeniosła go na Hermesa, który wciąż był odwrócony w jej stronę i prowadził, nie patrząc, dokąd jedzie.

- Och, nie - powiedziała. - Miło z twojej strony, że przepraszasz, ale nie o to chodzi.

- A o co? - zapytał Hermes.

- Miałam właśnie powiedzieć Neilowi, mojemu przyjacielowi - to taki uroczy człowiek - miałam mu właśnie powiedzieć... - zamilkła, doznawszy nagle wstrząsu.

- Co?

- Jeśli ty jesteś bogiem... Czy to znaczy, że i pozostali też są bogami?

- Pozostali? Masz na myśli resztę rodziny? Tak, oczywiście. Dość wolno chwytasz.

- A więc Apollo - on też jest bogiem?

- Bogiem słońca. W praktyce oznacza to, że nie ma zupełnie nic do roboty. Słońce wschodzi, słońce zachodzi. Dziecinna igraszka. A czemu?

- Ja... On... Ja...

- Zerznął go? - zapytał Hermes. - Nie przejmowałbym się tym. Wszyscy go rzną. Nawet ja go kiedyś zerznąłem. Trafiła się wtedy wyjątkowo nudna dekada. Ups, mało nie przegapiłem naszego zakrętu.

Skręcił gwałtownie w prawo, przecinając róg i salon wyklejony wzorzystą tapetą, gdzie para starszuchów spokojnie oglądała telewizję.

- Właściwie mógłbym przejechać całą drogę przez domy - zadumał się - ale przywiązałem się do dróg.

- Nie - powiedziała Alice. - Nie, nie zerznąłam go. Ale całowaliśmy się.

- Całowaliście się? No to co? Apollo dużo obraca się w świecie. Pocałować się z nim to jak uścisnąć rękę komuś innemu. A dlaczego zatrzymaliście się na pocałunku? No, możesz mi powiedzieć. Przecież nie masz nikogo innego do rozmowy.

Na tę myśl Alice znowu poczuła, że chce się jej płakać, ale, tak jak poprzednio, łzy się nie pojawiły. Hermes jakby czytał w jej myślach.

- Nie masz już łez - powiedział. - Łzy to atrybut śmiertelników. Wielu aspektów cielesności zacznie ci po jakimś czasie brakować, całego podstawowego pakietu czynności fizjologicznych. Straciłaś wszystko, co cielesne: nie będzie jedzenia, picia, snu, seksu. Ani całowania, nawet bogów. To bez wątpienia przykra właściwość egzystencji zmarłych. Z drugiej strony, nigdy już nie zaznasz bólu, nigdy nie będziesz chora czy zmęczona, czy głodna. Na twoim miejscu skułbym się na tym. No więc co się stało?

- Słucham?
- Po pocałunku.
- Nie mogę ci powiedzieć - odparła Alice.
- Czemu, zgwałcił cię czy co? Nie przejmowałbym się tym za bardzo. On ciągle gwałci jakichś ludzi.
- Nie!
- No to o co chodzi? Wiesz, to twoja ostatnia szansa, by porozmawiać o tym z kimś, kto zna Apollina. I już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- Próbował mnie zgwałcić - przyznała Alice.
- Tylko próbował? - zdziwił się Hermes. - Musi cię naprawdę lubić. A może nie dość.

Kiedy to rozważał, motor przejechał przez gromadkę niczego nieświadomych uczniów na pasach.

- A potem Zeus cię zabił. Ciekawe.
- Zeus mnie zabił? Kim jest Zeus?
- Naszym ojcem. Szefem wszystkich bogów. Mieszka na poddaszu. Uderzenie piorunem to klasyczne zagranie Zeusa.
- Nie poznałam go - powiedziała Alice.
- Cóż, on z pewnością poznał ciebie - odparł Hermes. - Dobra, jesteście na miejscu.
- Co?

Hermes podjechał do krawężnika i zaparkował. Na nich zatrzymał się autobus i zaczął wypluwać z siebie pasażerów.

- Dojechaliśmy.
- Już?
- Przecież mówię.
- Ale to nie jest świat podziemny - zaprotestowała Alice. - To Upper Street.
- Owszem - potwierdził Hermes. - Podoba ci się, jak to wymyśliłem? „Upper” Street. Łapiesz?

- Upper Street to ma być świat podziemny?
 - Nie, oczywiście, że nie - odparł Hermes. - Przecież wtedy nie nazwałbym tej ulicy „Górna”. Nie odprowadzam cię do samego Podziemia, tylko do portalu. A portal jest tu.
 - Nie rozu... - Alice przerwała w pół słowa.
 - Tam - powiedział Hermes, pokazując palcem.
 - Na stacji metra Angel?
 - A gdzieżby indziej? Wejdiesz więc do środka, zjedziesz schodami ruchomymi na sam dół. Przejdiesz przez tylną ścianę i znajdziesz się na kolejnym peronie po drugiej stronie; tam wszyscy umarli będą czekać na pociąg. Zorientujesz się, że to oni, bo będą cię widzieć. No i niektórych łatwo rozpoznać po bardzo nieprzyjemnych obrażeniach. Przyjedzie specjalny pociąg, masz do niego wsiąść; on dowiezie cię na miejsce.
 - Ale - powiedziała Alice - ale ja nie jestem gotowa.
 - Nikt nigdy nie jest gotów.
 - Mam do ciebie jeszcze tyle pytań.
 - Cóż, trzeba było umrzeć trochę dalej od Islington - powiedział Hermes. - Słuchaj, bardzo chciałbym pomóc, ale nie mogę zostać. Wy, śmiertelnicy, ciągle tylko umieracie. Na pewno namówisz kogoś, żeby ci to wszystko wytłumaczył.
 - Proszę, możesz jeszcze coś dla mnie zrobić? - zapytała błagalnie Alice. - Neil - mężczyzna, o którym ci mówiłam - Afrodyta go zna. Ares też. No i Apollo, ale cóż...
 - Nie mogę uwierzyć, że sama nie rozgryzałaś całej tej kwestii boskości - stwierdził Hermes. - Czyż imiona nie są dla ciebie jasne jak piorun? To była niezamierzona gra słów.
 - Znajdź go - powiedziała Alice. - Powiedz mu... powiedz mu, że go kocham. Proszę. I że jest mi przykro. I...
- Hermes pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić. Rozumiem, że się boisz i martwisz, i nie miałaś szansy się pożegnać. Wierz mi, nie ty pierwsza. Ale nie mogę traktować cię inaczej niż wszystkich śmiertelników, których widzę codziennie - tysiące, Alice, codziennie. Każdy ma jakąś wiadomość dla swoich bliskich. Wielu ginie w znacznie gorszych okolicznościach niż ty - w wyniku wojen, zarazy, głodu, trzęsień ziemi, wybuchów wulkanów, pożarów, powodzi, egzekucji, tortur, morderstw, napaďów z użyciem noża, strzelanin, bombardowań, przedawkowania... Nie mogę ci pomóc, Alice. Nie mogę pomóc żadnemu z was.

Alice spuściła wzrok.

- Przepraszam - powiedziała.

- No cóż, ja też przepraszam - odparł po chwili Hermes. - Czasem ta praca naprawdę mnie dołuje. Jeśli to cię pocieszy, to zachowałaś się całkiem godnie - mówię o twojej prośbie. Gdybyś słyszała błagania, które czasem muszę znosić, to żenujące. Naprawdę, Alice, jak na śmiertelniczkę, nie jesteś taka zła.

- Dziękuję - powiedziała Alice.

- Powodzenia w dalszej podróży. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Alice zsiadła z motoru.

- Żegnaj, Hermesie - powiedziała.

- Uważaj na siebie. - Hermes odjechał.

Alice rozejrzała się wokół. Upper Street: takie znajome miejsce. Robiła tu zakupy, jadła, chodziła do kina. Przynajmniej dawniej. Deszcz zelżał; jedni przechodnie wciąż ukrywali się pod parasolami, inni swoje złożyli. Pośpiesznie wchodzili i wychodzili ze stacji metra - portalu, pomyślała Alice - czytali jadłospisy restauracji, podziwiali ubrania na wystawach, przechodząc obok niej, a czasem przez nią,

nieświadomi, że umarli są z nimi, że zbierają się tu jak przed bramką na ogromnym lotnisku, skąd mają się udać... gdzie?

- Alice! - powiedział głos za nią.

Odwróciła się. To był Hermes, który właśnie znowu do niej podjechał.

- Zmieniłeś zdanie? - zapytała. - Porozmawiasz z Neilem?

- Nie - odparł Hermes. - Przepraszam. Podrzucam tylko Jean-François. - Wskazał głową siedzącego za nim pana w podeszłym wieku.

- Vas-y! C'est là bas - zwrócił się do staruszka. - Suis cette jeune femme, elle connaît la bonne route.

Stary człowiek zsiadł z motoru i spojrzał na Alice błyszczącymi oczami pełnymi oczekiwania.

- Starzy są zawsze najszczęśliwsi - powiedział Hermes. - Wiedzą, że ta chwila się zbliża; bali się jej od lat. Kiedy wreszcie nadchodzi, są mile zaskoczeni, że wciąż znajdują się tutaj, a do tego wszystkie dolegliwości i ból znikają bez śladu. To naprawdę urocze. Poza tym tak się przedtem zagadaliśmy, że zapomniałem dać ci bilet.

- Bilet?

Hermes podał jej coś, co wyglądało jak zupełnie zwyczajny bilet na metro.

- Teraz słuchaj, to bardzo ważne: nie oddawaj go konduktorowi, dopóki nie znajdziesz się u celu. Poprosi o niego, ale nie oddawaj. Inaczej wysadzi cię gdzieś w połowie drogi i zostaniesz na wieczność duchem straszącym w tunelach metra. Londyńskie metro to najbardziej nawiedzone miejsce na ziemi. Czasem nawet widać zjawy, ale nikt ich nigdy nie zauważa. Trzeba się przyjrzeć naprawdę uważnie. To ci, którzy nie oddychają.

- Dzięki za informację - powiedziała Alice.

- Jeszcze raz: miło było cię poznać. Przykro mi, że nie mogłem się bardziej przydać. Pa! Au revoir!

Hermes odjechał, machając.

Alice odwróciła się do nowego martwego towarzysza.

- Dzień dobry - powiedziała. - Bonjour. Tędy. Par ici.

Skinęła na niego, żeby poszedł za nią, i ruszyła ku rozdziawionym ustom stacji Angel.

23

Apollo pieprzył Afrodytę w łazience. Znowu. Opierała się o ścianę, z jedną stopą na rezerwuarze, i sądząc po wyrazie twarzy, myślała o próbkach farb. Znowu. To powinna być dla Apollina chwila triumfu, rżnięcie na cześć zwycięstwa, bo udowodnił, że pokonał tę małą, nieznaczącą śmiertelniczkę, usunął ją z tej nieważnej śmiertelnej planety, a teraz usuwał ją ze swoich jakże ważnych ciała i pamięci. Ale jakoś nie czuł się triumfotorem.

Ile razy? - pomyślał Apollo. Ile razy pieprzył Afrodytę w tej konkretnej pozycji i tej konkretnej łazience? Ile razy jeszcze będzie to robił? Pojęcie *déjà vu* nic dla niego nie znaczyło. Zrobił już wszystko, setki razy, i będzie dalej robił to samo, setki razy, dopóty - cóż, dopóty, dopóki ziemia będzie się obracać wokół słońca. Nic z tego nie miało już żadnego znaczenia. Czy w ogóle kiedykolwiek miało znaczenie? Przejrzał nieskończenie monotonne zasoby swojej pamięci w poszukiwaniu jakiejś iskry entuzjazmu, jakiegoś wrażenia nowości. Musiało być coś takiego. Ale jedynym przykładem, jaki znalazł, było jego uczucie do Alice.

- Czemu masz taką minę? - odezwała się Afrodyta. - Chyba nie zamierzasz skończyć?

- Daleko mi do tego - powiedział Apollo.
- I dobrze. Jeszcze nie doszłam. Dobra, odwracam się.

Całe życie, pomyślał Apollo, kiedy Afrodyta zmieniała pozycję, to jakiś powtarzający się sen. A może koszmar. Ale nie: nie było dość ekscytujące, by kwalifikować się jako koszmar. Ani dość ciekawe, by zasłużyć na miano snu. Może to tylko uporczywa halucynacja.

Właściwie ile czasu minęło, odkąd zabił Alice? Czy raczej stał się niewinnym uczestnikiem tego zabójstwa, upomniał się pośpiesznie pod ukłuciem czujnego wzroku Styks. Kiedy to było? W zeszłym tygodniu czy miesiąc temu? Który to rok? Od jak dawna tu mieszkają? Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie, skoro wszystko jest ciągle takie samo?

Cóż, czy minął tydzień, czy dziesięć lat, tęsknił za nią. Z przykrością stwierdził, że taka jest prawda. Wciąż miał jej zdjęcie w telefonie, więc mógł na nią patrzeć, kiedy tylko miał ochotę, ale to nie było to samo. Bo tęsknił nie tylko za jej widokiem - choć był to jeden z elementów. Zapatrzył się na wannę; przypomniał sobie rytmiczne ruchy bioder Alice, gdy czyściła ją z osadu, a on stał w drzwiach, udając, że czeka, żeby skorzystać z toalety. Pociła się pod pachami, czasem nawet na plecach. Końcówki włosów zawijały się nad lepkiem różowym karkiem. Tak bardzo różniła się od wszystkich doskonałych istot, które otaczały go przez wieki - wciąż go otaczają. Jej wady go urzekały.

Ale nie tylko wady. Tęsknił też za jej cnotami. Za jej pokorą. Dobrocią. Bezbronnością - sama myśl o jej łzach przyprawiała go o drżenie. (- Przestań się trząść - powiedziała Afrodyta. - To mnie odstręcza.) Tęsknił za tym, jak go słuchała - nikt z rodziny już go nie słuchał. Tęsknił za obecnością kogoś, kto w głębi serca go nie nienawdzi. Tęsknił też za jej sprzątaniami - odkąd odeszła, dom jest

strasznie zasyfiony. Tęsknił za jej szacunkiem dla zwierchników, za tym, jak nie znosiła łamać tych kretyńskich zasad. Tęsknił za jej brakiem asertywności - to było takie egzotyczne, i erotyczne. A jednak ostatecznie przeciwstawiła mu się właśnie w chwili, kiedy pragnął, by mu uległa. Sama jest winna swojej śmierci, trudno winić jego. Ale i tak tego żałował. Gdyby nie była taka uparta. Gdyby tylko zrobiła to, czego chciał. Czemu w ogóle postanowili obdarzyć ludzi rozumem?

- Zastanawiam się nad zmianą wystroju sypialni - powiedziała Afrodyta.

Apollo zapomniał, że Afrodyta tam jest.

- A czy dopiero co go nie zmieniałaś? - zapytał.

- Nie. Przynajmniej tak mi się wydaje. A resztą może...

I tak pieprzyli się dalej, zagubieni we własnej konsternacji.

Wracając z kolejnego skazanego na klęskę spotkania z agentem nieruchomości, Artemida zbliżała się do domu powoli, uginając się pod ciężarem rozczarowania. Jakieś śmieci - kilka stron brukowca, pusta torebka po chipsach, puszka, z której wyciekały resztki piwa - przyfrunęły z ulicy i zatrzymały się na ich schodach. Artemida pomyślała, że powinna zwrócić na to uwagę Alice, niech posprząta. Wdrapała się tam, gdzie wisiała mosiężna kołatka; jej połysk zniweczyły odciski palców. Zastanawiała się, kto do nich pukał, i co się z nim stało. Ostatnio rodzina zaczęła jeszcze bardziej paranoicznie bać się o bezpieczeństwo, odkąd Zeus podjął nieudaną próbę ucieczki. Pod nieobecność Hery to Apollo, dąsający się w swoim pokoju, zareagował pierwszy, kiedy rozpętała się burza, pierwszy dotarł na dach i nakłonił Zeusa, by wrócił do sypialni i do łóżka. Był to nietypowy dla

Apollina pokaz heroizmu. Artemida zdziwiła się, że nie wykorzystał sposobności, żeby zepchnąć Zeusa z dachu - nie mogła przysiąc, że ona by tego nie zrobiła. Może pogadanka o potrzebach rodziny, którą odbyli wcześniej tamtego dnia, odniosła jakiś skutek? Artemida pokręciła głową. Jej zagrzewające do wysiłku przemowy nie trafiały do niego przez ostatnie kilka tysięcy lat, więc nie rozumiała, dlaczego teraz miałyby podziałać.

Zamknęła za sobą drzwi frontowe. Włączyła światło w przedpokoju, ale żarówka się przepaliła. W domu panowała duszna atmosfera, a szczątkowa ilość powietrza, która go wypełniała, przesycona była stęchlizną i wilgocią. Nie miała jeszcze ochoty wychodzić, więc skierowała się do tylnych drzwi, prowadzących do ogrodu. Kiedy przechodziła przez kuchnię, wydało jej się dziwne, że na kredensie i na stole wciąż leży tyle zmarnowanego jedzenia, a sądząc po zapachu, część zaczyna się psuć. Na progu parada mrówek maszerowała tam i z powrotem, wynosząc maleńkie okruszki do swoich odległych pałaców. Czy nie rozwiązali już problemu z mrówkami? I gdzie do cholery jest Alice?

- Cześć, Artemido - dobiegł ją głos zza pleców. - Gdzieś ty była?

Odwróciła się. To Hermes stał przy schodach, w swoich sandałach ze skrzydłami, wymachując skrzydlatym kapeluszem; najwyraźniej miał zaraz ruszyć po dusze zmarłych.

- Nie twoja sprawa - zaczęła Artemida, chcąc wykorzystać kłótnię do wyładowania frustracji spowodowanej brakiem odpowiednich mieszkań w osiągalnym dla niej przedziale cenowym. Potem się jednak zawahała. Nie miała na to siły.

- Hermesie - powiedziała - dlaczego dom jest taki brudny? Widziałeś gdzieś Alice?

- Tak, widziałem ją - odparł Hermes, stając na progu kuchni i opierając się o framugę. - Kilka tygodni temu. Zaprowadziłem ją do Podziemia.

- Co? - zapytała Artemida. - Dlaczego?

- Cóż, dlatego że była martwa - odparł Hermes.

- Martwa? - zapytała Artemida. - Nie może być martwa! Cholera! Miałam tyle na głowie. Powinnam była wiedzieć, że coś takiego się stanie, jeśli nie będę jej stale pilnować. Ale sprawiała wrażenie tak godnej zaufania! Głupia śmiertelniczka. Co jej strzeliło do głowy, żeby umierać?

- To nie jej wina - powiedział Hermes. - Zeus ją zabił. Uderzeniem pioruna. Tego dnia, kiedy się wydostał.

- Zeus! Jak się o niej dowiedział? Powiedziałam jej, żeby nie wchodziła na ostatnie piętro.

- Nie weszła - odparł Hermes. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, w tym maczał palce Apollo.

- Co?!

- Cóż, była na nagraniu jego programu - zaczął Hermes.

- Gdzie była?

--...i Afrodyta nakłoniła mnie, żebym ją tu sprowadził...

- Afrodyta? A co ona ma z tym wspólnego?

--...a Apollo dziwacznie się przy niej zachowywał przez cały czas, kiedy tu była, a potem się pocałowali, i wtedy on próbował ją zgwałcić...

- Hermesie, skąd ty to wszystko wiesz?

- Mam obowiązek wiedzieć. I zastanów się nad tym: Apollo pierwszy dotarł na dach, kiedy Zeus się wydostał. Wtedy, gdy zginęła Alice. Nie sądzisz, że to ciut podejrzane?

- Niemożliwe, żeby Apollo ją zabił - powiedziała Artemida.

- No i nie zrobił tego. To chyba jasne, że namówił Zeusa, by on to załatwił. Nakłonił go do tego podstępem, choć nie rozumiem, czemu

po prostu nie zajął się tym osobiście... Co się stało, Artemido? Masz minę, jakby ktoś właśnie uszczypnął cię w tyłek.

- To była luka - powiedziała Artemida.

- Co takiego?

Artemida rozejrzała się wokół. Tu może ich ktoś usłyszeć.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy kontynuowali tę rozmowę poza domem - powiedziała.

- Artemido, jestem zajęty, mam mnóstwo pracy...

- Do ogrodu - rozkazała Artemida tonem, któremu mało kto, nawet wśród bogów, potrafiłby się sprzeciwić.

Uwięziła ramię Hermesa w uścisku, który mógłby złamać kark jeleniowi, wyciągnęła go do ogrodu i zamknęła drzwi.

Kiedy znaleźli się na trawniku, gdzie pozostali bogowie nie mogli ich usłyszeć, Artemida opowiedziała mu o przysiędze.

- A potem on nie tylko zabija śmiertelniczkę - zakończyła Artemida - zabija naszą sprzątaczkę!

- Podstępny skurczybyk.

W głosie Hermesa zabrzmiała nutka podziwu.

- Czy ktoś jeszcze zdaje sobie sprawę, że Alice nie żyje? - zapytała Artemida.

- O ile wiem, to nie - odparł Hermes. - Przynajmniej z nikim o tym nie rozmawiałem. Chociaż inni też na pewno zaczynają zauważać, w jakim stanie jest dom. Naprawdę powinnaś zatrudnić inną sprzątaczkę.

- Jeszcze nie. Gdyby ktoś pytał... mów, że Alice jest na urlopie.

- Jaki to ma sens? Przecież ona nie wróci.

- Rób, co ci mówię.

- Nie rozumiem, czemu tak się tym denerwujesz, Artemido. To tylko sprzątaczką. Jest ich od groma. Znajdź sobie nową.

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że Apollo przysiągł na Styks. Na Styks! I złamał przysięgę! A ta sprzątaczką była moja - nie miał prawa jej tknąć! Może i skorzystał z furtki, ale postąpił wbrew duchowi przysięgi.

- To niech Styks się tym zajmie.

- Najwyraźniej się nie kwapi. Znasz Styks. Zajmuje się literą prawa. Apollo musiał ją jakoś podejść, bo inaczej albo Alice by żyła, albo on leżałby gdzieś w śpiączce.

- Więc zemścij się - zasugerował Hermes.

- Zamierzam - zapewniła go Artemida. - Ale potrzebuję twojej pomocy.

- Kiedy zemsta to nie moja działka - zaprotestował Hermes. - Zemstą zajmuje się Nemezis. Zadzwoń do niej, jeśli chcesz.

- Nie. Nemezis nie może mi pomóc tak, jak ty byś mógł.

- Masz na myśli...

- Właśnie.

Hermes pokręcił głową.

- Nie ma mowy - powiedział. - Wiesz, że na moim stanowisku nie mogę ingerować w sprawy zmarłych. Gdyby Hades się dowiedział...

- Dlaczego miałby się dowiedzieć?

- Jeśli zaczniesz mieszać tam na dole, on się o tym dowie. Nie bądź idiotką, Artemido. Nie możesz po prostu rozwalić wszystkich gitar Apollina czy coś w tym stylu?

- To moja sprzątaczką - upierała się Artemida. - I nie powinna była umrzeć. Nie obchodzi cię sprawiedliwość? Myślisz, że na to zasłużyła?

Hermes westchnął.

- Miła z niej była dziewczyna - przyznał.
- Więc zgadzasz się ze mną.
- Nie. Nie zgadzam się.
- Trudno. Ja i tak to robię.
- Nie możesz. Gdy tylko postawisz tam stopę, będziesz ugotowana. Jesteś boginią, Cerber wywęszy cię w kilka sekund.
- Więc wyślę herosa.
- Nie ma już herosów.
- To go stworzę. Znam kilku śmiertelników. - Artemida przebiegła w myśli wszystkich właścicieli psów, którzy ją zatrudniają. - Pan Simon? Nie, on jest zbyt niewydarzony. Alex Waters? Za leniwy...
- Czy to jedyni śmiertelnicy, jakich znasz? - zapytał Hermes. - Ludzie, którym wyprowadzasz psy?
- Artemida pomyślała o poznanych agentach nieruchomości.
- Właściwie tak - odparła.
- Nic z tego nie będzie - orzekł Hermes. - Herosi sami wyprowadzają swoje psy. Nie możesz posłużyć się żadnym z nich.
- Będę musiała.
- W ciągu ostatnich kilku tysięcy lat Hermes miał wiele okazji, aby się przekonać, co oznacza stanowcza mina Artemidy.
- Widzę, że jesteś szalenie przywiązana do tego pomysłu. Dlaczego?
- Apollinowi zdecydowanie zbyt dużo uchodzi na sucho.
- A poza tym? - zapytał Hermes.
- A poza tym ona należała do mnie.
- A poza tym?
- Czy to nie wystarczy?

- Większość bogów zrobiłaby wszystko, byleby uniknąć zejścia do Podziemia.

- To kwestia moralna.

Hermes nie miał zamiaru wdawać się z Artemidą w debatę o kwestiach moralnych.

- Dobrze - powiedział. - Masz rację. Lubilem ją. I mam dość prasowania swoich rzeczy. Jeśli więc obiecasz, że nikomu o tym nie powiesz - absolutnie nikomu, bo inaczej każdy będzie się tego domagał - mogę ci załatwić herosa. Kogoś porządnego. Kogoś, kto naprawdę zechce ci pomóc. Wyślę wiadomość, przywabię go jakimiś pretekstami, żeby cała sprawa nie była zbyt oczywista. Ale tylko ten jeden raz. I tylko dlatego, że Alice była miłą dziewczyną. I żeby wkurwić Apollina. I uchronić ciebie przed wypatroszeniem. I może dlatego, że to była trochę moja wina, że w ogóle się tu znalazła.

- I pokażesz mi drogę do Podziemia?

- Pod warunkiem, że zachowasz tę informację dla siebie.

- Dzięki, Hermesie - ucieszyła się Artemida. - Nie pożalujesz tego. Hermes spojrział na ziemię, gdzie leżała sterta martwych kwiatów.

- Bądź ostrożna, Artemido - powiedział.

24

Alice nie była szczególnie religijna, ale uważała się za anglikankę i chodziła do kościoła w tradycyjne święta - Wielkanocy, Bożego Narodzenia. Raczej nie zastanawiała się nad kwestią życia pozagrobowego, ale jeśli już o tym myślała, jej poglądy były dość konwencjonalne:

na górze niebo, na dole piekło, anioły, chmury, tego typu rzeczy. Tak to wyglądało, kiedy wierzyła w jakiegokolwiek życie pozagrobowe. A na ogół uważała, że ono w ogóle nie istnieje.

Jak się okazało, zupełnie się myliła.

Znalazła pociąg do świata podziemnego dokładnie tak, jak opisał to Hermes - zesła na sam dół stacji Angel i przeszła przez tylną ścianę. Peron wyglądał zupełnie zwyczajnie, tylko był znacznie dłuższy, ciągnął się dalej, niż Alice sięgała wzrokiem. Panował na nim straszny tłok, jak w najgorszych godzinach szczytu, i wszyscy byli - spodziewała się tego oczywiście, ale i tak ją to zaszokowało - martwi.

Znajdowali się tu tacy, których Alice uważała za „właściwych” umarłych - bladzi ludzie, po sześćdziesiątce, siedemdziesiątce, osiemdziesiątce, a nawet starsi, głównie w koszulkach szpitalnych lub piżamach, i stosunkowo nienaznaczeni. Wyglądali tak, jak powinni wyglądać umarli. Ale inni - co było drastycznie jasne - umarli podczas operacji albo zginęli w wypadku. Niemal każdy z nich niewątpliwie zmarł przedwcześnie. A co najgorsze, gdziekolwiek spojrzęła, pełno było czarnych i brązowych twarzy, zdecydowanie za młodych na nieboszczyków. Większość dorosłych była wyniszczona, Alice przypuszczała, że przez AIDS lub niedożywienie, a między nimi tłoczyło się wiele tysięcy niemowląt i małych dzieci; niektóre zanosili się suchym płaczem, inne pozornie stoicko przyjmujące swój los; pewnie nie rozumiały, co je spotkało, wiedziały tylko, że uwolniły się od ustawicznych bodźców w postaci głodu i chorób. Wielu dorosłych próbowało podnieść i pocieszyć dzieci, ale ich ręce przenikały przez ich ciała. Patrząc na nich, Alice zdała sobie sprawę, że już nigdy nie poczuje w ramionach drugiej osoby ani niczych ramion wokół siebie.

Właśnie kiedy zbierała się na odwagę, by podejść i porozmawiać z jakimś dziećmi, na peronie zatrzymał się pociąg - zupełnie zwyczajny pociąg - i wszyscy wśladowali się do środka; z początku zachowywali między sobą uprzejmą odległość, potem ścisnęli się bardziej, a w końcu całkowicie na siebie pozachodzili. Alice zamykała oczy i здавало się, że nikogo tam nie ma. Zamknęła oczy i miała wrażenie, że nie ma jej nigdzie. Kiedy je otworzyła, opuścili stację - nie poczuła nawet, jak ruszyli. W ciemnościach tunelu nie sposób było stwierdzić, czy pociąg w ogóle się przemieszcza, chociaż wskazywało na to stukanie wagonu.

Jakiś czas po tym, jak zostawili za sobą stację, Alice usłyszała głos wołający: „Bilety, proszę!”; podniosła wzrok i zobaczyła męczyznę przeciskającego się przez pasażerów, ubranego w niebieskie ogrodniczki i czapkę, o skórze w odcieniu lepkiej robaczywej bieli, nie tkniętej przez słońce. Mimo że było to wbrew jej naturze, Alice pamiętała, co powiedział Hermes, i nie pokazała biletu. Jednakże Jean-François obok niej wyciągnął swój.

- Nie... - krzyknęła Alice.

Ale było już za późno. Charon wziął bilet, a w chwili gdy Jean-François wypuścił go z ręki, przez wagon przeleciał podmuch wiatru, uniósł staruszkę i wysłał przez ścianę. Alice wrzasnęła i próbowała złapać go za wymachujące ręce, ale jej dłonie przeszły przez ciało, które wchłonęła panująca na zewnątrz ciemność. Za chwilę nie było po nim śladu.

Nikt więcej nie oddał swojego biletu.

Kiedy pociąg dotarł do celu, Alice wciąż była w szoku. To, że wysiadła, stanowiło marną pociechę; kto wie, co ją tutaj czeka? Peron niczym się nie wyróżniał, ot, kolejna stacja metra. Mogło to być gdzieś na przedmieściach Londynu, gdzie Alice po prostu nigdy

przedtem nie była, gdyby Londyn miał przedmieście o nazwie „Świat Podziemny”. Jedyłą różnicę stanowił uderzający brak planów metra i oczekujących na pociąg pasażerów. Poza tym, od cementowej podłogi po wyłożone płytkami ceramicznymi ściany, miejsce to wyglądało zupełnie zwyczajnie.

Alice podażyła za znakami do wyjścia. Stacja była całkiem opustoszała i, nie licząc rozmów prowadzonych szeptem przez kilku odważniej szych zmarłych, panowała na niej cisza. Schody ruchome działały, choć jechały tylko w górę; Alice stanęła na nich i została zawieszona, bezdźwięcznie, na szczycie. Wcale nie czuła, że się przemieszcza, widziała tylko przesuwające się przed oczami ściany i zbliżające się z góry światło. Nie zdawała sobie sprawy, ile bodźców odbiera jej ciało, aż przestała odbierać jakiegokolwiek.

Oddała swój bilet bramce i wkroczyła do świata podziemnego. Tu również nie było nikogo prócz kilkorga świeżo przybyłych zmarłych, którzy tak jak ona znaleźli drogę do wyjścia. Alice zastanawiała się, co będzie z tymi wszystkimi niemowlętami, których nie można wynieść z pociągu, ale nie miała kogo zapytać.

Na zewnątrz niebo było pochmurne, a krajobraz płaski. Ze światła nie sposób było wywnioskować, jaka to pora dnia. We wszystkie strony, jak daleko sięgał wzrok, ciągnęły się pozbawione wyrazu ulice identycznych domów bliźniaków naśladowujących styl z epoki Tudorów: kto wie, od jak dawna tu stoją? Jedyne urozmaicenie krajobrazu, jakie Alice widziała, to przypominająca betonowy bunkier stacja metra, którą właśnie opuściła, ze znakiem „wstęp wzbroniony” nad drzwiami. Nie było słycać żadnego szumu samochodów, śpiewu ptaków. Nie widziała też żadnej przyrody. Żadnych drzew, żadnych owadów w powietrzu, nawet jednego żdźbła trawy wyglądającego

spomiędzy płyt chodnikowych.

Kiedy próbowała zdecydować, co teraz zrobić, poczuła, że coś zimnego i mokrego dotknęło jej kostki. Nie miała wątpliwości; naprawdę coś poczuła, dotyk, jakby jej ciało istniało. Odwróciła się gwałtownie. Obok stało potworne stworzenie: jakiś ogromny pies, wyższy od niej, z trzema śliniącymi się głowami - z których jedna właśnie węszyła przy jej stopach, jakby się zastanawiała, czy nie przekąsić jej na lunch - i wijącym się wężem zamiast ogona. Coś w jego masywności, kontrastującej z jej nieistniejącym istnieniem, i w chłodnym, wilgotnym śladzie, który zostawiał na jej nieprawdziwych łydkach, sprawiło, że zrozumiała, iż choć ona jest nieledwie powietrzem, to w psie coś jest prawdziwe, ma ciało i, co więcej, dla niego ona też jest prawdziwa - jest ciałem stałym o kształcie i zapachu. To stworzenie może ją pożreć, gdyby chciało - mówiła to mina każdego pyska. Poczuła przerażenie, czy też mózg powiedział jej, że je czuje, a ta mała część jej, która dotykała psiej głowy, doznała wyrzutu adrenaliny. Reszta Alice była - cóż, martwa. Patrząc na tego potwora, zdała sobie sprawę, że to nie niebo: oczywiście, że nie. To musi być piekło. Dlaczego właśnie ona, spośród wszystkich ludzi, miałaby pójść do nieba? Postanowiła pogodzić się z losem i czekała, aż pies pożre jej duszę.

Wtedy ze stacji zaczęli się wysypywać pozostali zmarli, rozprzestrzeniając się powoli jak plama ropy. Stworzenie straciło zainteresowanie jej osobą i ruszyło ku innym nieboszczykom, obwąchując ich po kolei. Alice poczuła lekką ulgę. Pies ją oszczędził. Ale wciąż była martwa. I, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdowała się w piekle. Będzie musiała wykorzystać to jak najlepiej.

Wybrała przypadkową ulicę i ruszyła nią przed siebie.

Neil miał świadomość, że czas płynie, ale zdawało mu się, że to nie taki czas, do jakiego przywykł. Czas podzielił się na dwie części. Był czas przed: czas, który wydawał się prawdziwy i wyraźny, a także krótki i skończony. No i był czas po: teraz. I ten czas nie miał żadnych cech ani końca. Powolna, smętna terażniejszość bez przyszłości, bez nadziei. Okropne teraz, w którym będzie tkwił wiecznie, zawsze po niewłaściwej stronie okrutnej, skończonej i nieprzejednanej przeszłości. Przeszłości, w którą patrzył, kiedy tylko chciał, a często też kiedy nie chciał, ale której już nigdy nie będzie mógł dotknąć.

Brakowało mu energii, żeby czuć złość, a jednak był zły, i zbyt słaby, by to znieść. Siadał w dziwnych miejscach w mieszkaniu, w przedpokoju, na schodach, ponieważ nie chciał przebywać w żadnym pokoju, i wbijał wzrok w ziemię, bo nie chciał patrzeć przed siebie. Czasem wpatrywał się w ograniczone przestrzenie, najniższą półkę w szafce pod schodami, miejsce między toaletą a wanną, i wyobrażał sobie, że tam wpełza i wciąga pod siebie kończyny, jak maleńkie zwierzątko kryjące się przed światem. Nigdy by stamtąd nie wyszedł.

Większość czasu spędzał w ciszy. Niekiedy próbował słów. „Martwa”, mówił wtedy, żeby się przekonać, jak to brzmi. „Martwa”. Albo „Alice”.

Kiedy indziej znęcał się nad sobą. Torturował się myślami o wszystkich straconych szansach, wszystkim, czego Alice nie miała okazji zrobić, czego nie mieli możliwości zrobić razem. Nigdy nawet jej nie powiedział, co do niej czuje.

I torturował się myślami o tym, że to tylko jego wina, że umarła. To on zaproponował spacer; ona chciała zostać w domu. Jeszcze

wcześniej to on powiedział jej, że powinna pracować na własną rękę; gdyby nie to, nigdy nie podjęłyby pracy w tamtym domu i nie byłyby tak zdenerwowana tamtej nocy, i nie przyszlaby do niego. Wreszcie to jego wina, że w ogóle potrzebowała nowej pracy - gdyby nie on, nie wylaliby jej za siedzenie na widowni podczas nagrania tego cholernego programu Apolla.

Apollo. To kolejne źródło tortur. Apollo i Alice, całowali się. A kto wie co jeszcze? Torturował się myślami o tym, czego nie zdążyła mu powiedzieć. Chciał wiedzieć, nie chciał wiedzieć. Nigdy się nie dowie. Ale gdyby tylko mógł sprowadzić ją z powrotem, gdyby tylko mogła żyć, nie miałyby to znaczenia. Apollo mógłby ją sobie wziąć. Gdyby tylko była z nim szczęśliwa. Gdyby tylko była tutaj.

Kiedy skończył się torturować wszystkimi złymi myślami, jakie przychodziły mu do głowy, zaczął się torturować dobrymi wspomnieniami. Myślał o niej, o tym, jaka była wspaniała, o wszystkich cudownych rzeczach, które razem zrobili, o tym, jak dobrze się razem bawili. A jeśli w jakiejś chwili część jego poczuła się lepiej, torturował się z jeszcze większym zapamiętaniem, bo nie chciał czuć się lepiej, gdyż to oznaczałoby, że zapomina.

Czasem leżał na łóżku tylko dla jej zapachu, który utrzymywał się na pościeli. Brał w ramiona jej płaszcz i ukrywał w nim twarz, tak jak chciałby to zrobić z kardiganem, którego już nigdy nie zobaczy. Ledwie wyczuwał jej odległą obecność; nie używała żadnych perfum, żadnego specjalnego rodzaju mydła. Ale wystarczała sama świadomość, że te rzeczy dotykały jej skóry.

Wydawało mu się dziwne, że wciąż musi wykonywać normalne, codzienne czynności. Jeść, spać, korzystać z toalety. Robił to, kiedy musiał. Nie było żadnego ustalonego porządku. Czasem przesyPIał

popołudnie na kanapie, a potem całą noc siedział oparty o blat kuchenny. W jakimś momencie na pewno zadzwonił do pracy, żeby powiedzieć, że nie przyjdzie, ale tego nie pamiętał.

Z pewnością odbył się pogrzeb, ale nikt nie wiedział, że Neil powinien być zaproszony. Więc nie uczestniczył w nim.

Dzwonili do niego przyjaciele, zaniepokojeni, że się nie odzywa. Odpowiadał monosylabami, pozbywał się ich możliwie najszybciej. Dzwonili też dziennikarze, zainteresowani tym, co nazywali „piorunującą historią”. Wtedy odkładał słuchawkę. Teraz, kiedy dzwonił telefon, nie odbierał.

Nie jadał dużo, nigdy nie siadał do posiłku, tylko skubał coś z lodówki albo zawartość puszek z szafki, kiedy groziło mu, że głód odciągnie jego uwagę od myśli o Alice. Nie zabrakło mu czystych talerzy, bo jadł wszystko wprost z opakowania. Natomiast w końcu zabrakło mu jedzenia. To wywołało w nim gwałtowną złość. Otworzył wszystkie szafki w poszukiwaniu czegokolwiek, po czym pozatrzaskiwał je, kiedy okazało się, że ma tylko sól i ekstrakt z drożdży i warzyw. Kopnął lodówkę. Wrócił do szafki, w której stał ekstrakt, wyciągnął go i rzucił nim o ścianę. Słoik odbił się, zostawiając ślad, i wylądował na podłodze. Nie zbił się. Neil podniósł go i znowu nim rzucił, mocniej, ale skutek był taki sam. Kopnął słoik przez pokój. Tym razem się zbił. Neil przyglądał mu się przez chwilę, potem usiadł przy stole. Serce mu waliło.

Odnalazł w sobie spokojny głos, którym przemówił sam do siebie.

Daj spokój. To nie problem. Po prostu pójdziesz i coś kupisz. Nie ma się o co złościć. To bez znaczenia. Musisz jeść.

Był bliski płaczu. Bo nie miał jedzenia. Wciąż przychodziła mu na myśl matka Hubbard. Powtarzał sobie w duchu: Szafka była puściutka. Szafka była puściutka. Szafka była puściutka.

Daj spokój, odezwał się znowu spokojny głos. Zachowujesz się głupio. W czym problem? Po prostu idź i kup sobie coś do jedzenia. Dasz radę. Jeśli doprowadzisz się do choroby, nie będziesz mógł o niej dalej myśleć.

Postanowił pójść i kupić coś na wynos. Nie miał zielonego pojęcia, która jest godzina, ani nawet jaka to pora dnia, ale nie przyszło mu do głowy, żeby się zastanowić, czy coś będzie otwarte. Mechanicznie podszedł do drzwi wejściowych, zdjął kurtkę z wieszaka i włożył ją na ubranie, które miał na sobie, odkąd się przebrał, ale nie pamiętał, żeby to robił. Wziął portfel i klucze ze stolika przy drzwiach i wyszedł.

Było zimno. Było szaro. Mógł być wczesny ranek lub późny wieczór. Jemu jednak niebo wydawało się jasne; już od jakiegoś czasu nie zapalał światła w mieszkaniu. Ruszył w kierunku głównej ulicy. Wiatr szczypał go w policzki, więc je potarł i okazało się, że ma brodę. Szedł z pochyloną głową, patrzył tylko na chodnik przed sobą. Nie chciał widzieć żadnych ludzi. Najbardziej przerażało go to, że mógłby spotkać kogoś znajomego. Albo obcą osobę, która wygląda na szczęśliwą.

Nie miał ochoty na nic szczególnego, więc wybrał pierwszy otwarty lokal i wszedł. W powietrzu unosił się silny, gorący zapach tłuszczu, ale młody Azjata za ladą i tak się wzdrygnął, kiedy Neil stanął w drzwiach. Neil zdał sobie sprawę, że musi potwornie wyglądać i śmierdzieć. Jak śmierć, mógłby niegdyś powiedzieć. W sklepie nie było nikogo. To pewnie dziwna pora na kupowanie jedzenia.

- Dzień dobry - powiedział mężczyzna za ladą. - Co podać?
- Hmm - odparł Neil. - Nie wiem. - Własny głos wydał mu się dziwny. - A co macie?
- Dorsza, łupacza, gładzicę...
- Tak - powiedział Neil. - Wszystko jedno. Dorsza.
- Z frytkami?
- Hmm, tak. Chyba tak. - To mu starczy na dłużej, nim znowu będzie musiał coś zjeść.

Zapadła cisza, kiedy mężczyzna przygotowywał jedzenie.

- Ketchup? Ocet? Majonez?

- Nie - powiedział Neil.

Mężczyzna posypał frytki solą.

- Na miejscu czy zapakować?

- Słucham?

- Na miejscu czy zapakować?

Neil poczuł przyływ paniki. Musiał podjąć decyzję i nie wiedział jak. Nie chciał jeść tutaj i nie chciał iść do domu. W ogóle nie chciał robić niczego.

- Nie wiem - powiedział Neil. - Nie wiem.

- Dam panu zapakowane - stwierdził sprzedawca. - Wtedy może je pan otworzyć, kiedy pan zechce.

Mężczyzna ostrożnie zawinął rybę z frytkami w biały papier, a potem zawinął paczkę w kawałek lokalnej gazety i razem z małym drewnianym widelczykiem do frytek włożył do białej plastikowej torebki.

- Trzy pięćdziesiąt, proszę - powiedział.

Neil zapłacił, wziął resztę i wyszedł na lodowatą ulicę. Pomyślał, że mogło się ściemnić. Ruszył z powrotem drogą, którą przyszedł i, nie podnosząc wzroku znad chodnika, dotarł do domu.

Wróciwszy do kuchni, zdał sobie sprawę z tego, jaka jest obrzydliwa. Na Alice nie zrobiłby dobrego wrażenia pokrywający wszystko detrytus: ogryzki jabłek, skórki od bananów, opakowania po ciasteczkach, kartony po zupie, porzucone kubki z resztkami bawarki, która zaczęła się już zestalać, puste puszki po tuńczyku z resztkami zasychającymi na brzegach. Nagle poczuł wstręt do samego siebie. Torba na śmieci w śmietniku była już przepełniona, więc, odłożywszy na bok zakupione jedzenie, wyciągnął ją, zawiązał, potem włożył nową i wypełnił ją śmieciami, które leżały wokół niego. Stłuczony słoik z ekstraktem z drożdży i warzyw wciąż leżał tam, gdzie upadł, więc odwinął wierzchnią warstwę opakowania ryby z frytkami i zaczął ostrożnie układać kawałki potłuczonego szkła na gazecie.

I wtedy zobaczył zdjęcie. Zamarł. Zimna dłoń ścisnęła mu trzewia.

To nie była pierwsza strona. Przeczytał podpis - MIEJSCOWY SZALENIEC PODEJMUJE PRÓBĘ SAMOBÓJCZĄ - pod zdjęciem, które, najwyraźniej zrobione teleobiektywem, przedstawiało starego mężczyznę na dachu domu. Był całkiem nagi i miał długie włosy oraz brodę. Jedną rękę trzymał uniesioną, jakby czymś rzucał. Mimo że zdjęcie było nieostre, jako że zrobiono je w ulewnym deszczu, wściekły wyraz twarzy mężczyzny był bezbłędnie rozpoznawalny. To twarz - Neil miał co do tego absolutną pewność - którą widział na niebie, tuż przed tym, jak w Alice i w niego uderzył piorun. To niemożliwe. To na pewno gra świateł. Ale kiedy znowu spojrział na zdjęcie - nie ma mowy, żeby to był ktoś inny. Neil wiedział, że to on. A co więcej, nie miał żadnych wątpliwości, że walący się dach pod stopami starca to dach domu, który sprzątała Alice.

- Spóźniłeś się. Nie czytasz gazet?

Mężczyzna, który otworzył mu drzwi, był młody i przystojny, ubrany w dopasowany garnitur w prążki, który podkreślał jego elegancką fizjonomię. Neil widział go po raz pierwszy w życiu.

- Chyba mnie z kimś pomyliłeś - powiedział. - Przyszedłem do... - Nagiego starego mężczyzny z waszego dachu?

- Jesteś Neil? - zapytał młody mężczyzna.

- Tak.

- W takim razie ja jestem Hermes. A ty się spóźniłeś. Zaczekaj tutaj.

Hermes stanowczo zamknął Neilowi drzwi przed nosem.

Było zimno. Neil wsunął ręce do kieszeni płaszcza i zaczął przestępować z nogi na nogę. Wziął prysznic i ogolił się, umył włosy i zaczesał je do tyłu, i przebrał się w czyste ubranie. A kiedy się mył i ubierał, i przez całą drogę autobusem i metrem, głowił się nad zdjęciem z gazety i twarzą, którą widział w dniu śmierci Alice. To po prostu zupełnie nie miało sensu, a teraz bardziej niż kiedykolwiek Neil potrzebował, by wszystko miało sens. Czy to jakaś sztuczka, zastanawiał się, czy dlatego ten mężczyzna wie, kim jest? Ale nie miał pojęcia, na czym ta sztuczka polega. A może to halucynacja - no ale co z artykułem w gazecie? Był prawdziwy - Neil miał go w kieszeni. Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Chociaż nic z tego, co mu się ostatnio przydarzało, nie wydawało się racjonalne.

Znowu otworzyły się drzwi i stanął w nich Hermes oraz kobieta, której również Neil nigdy przedtem nie spotkał - w niebieskim dresie, z włosami niedbale związanymi z tyłu. Ta kobieta wygląda jak

Apollo, tyle że ma inny kolor włosów. Popatrzyła na Neila z mieszaniną zdumienia i pogardy.

- To on? - zwróciła się do Hermesa.

- Tak myślę - odparł Hermes.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy przedtem go nie widziałeś?

- Nie - przyznał Hermes.

- On się nie nadaje. Spójrz na niego. Co ja niby mam z tym zrobić? Jest cherlawy, strachliwy i niski.

- Odyseusz też był cherlawy - powiedział Hermes. - A był jednym z najlepszych.

- Nie wyglądał jak mysz - odparła kobieta.

- Był dość niski.

- Tak, ale nie miał takiej gryzoniowatej twarzy.

- Cóż, to najlepsze, co mogłem znaleźć w tak krótkim czasie.

- Otóż to. Krótki to właściwe słowo. Nie tylko na określenie czasu.

- Przepraszam - przerwał im Neil - choć miło mi się was słucha, naprawdę myślę, że mnie z kimś pomyliliście.

- Nie - powiedziała Artemida. - Z całą pewnością rozmawiamy o tobie.

- Przyszedłem tu w sprawie Alice - powiedział Neil.

- Wiemy - odparł Hermes.

- Słuchaj - zwróciła się do Hermesa kobieta - może zostaw mnie z nim, zobaczę co się da zrobić. Masz rację, pozory mylą. Czasami.

- Dobra - powiedział Hermes. - Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

I wszedł z powrotem do domu, teraz także zamykając za sobą drzwi.

- No dobrze - powiedziała kobieta. - Lepiej już chodźmy.

- Chodźmy? Gdzie? - zapytał Neil. - Kim jesteś? Co to wszystko ma wspólnego z Alice?

- Jestem Artemida, Alice była moją sprzątaczką, i musimy odejść od domu, zanim ktoś cię zobaczy.

- Ale ja chcę wejść do środka - powiedział Neil. - Jest tam ktoś, z kim muszę się zobaczyć.

- Nie możesz wejść - odparła Artemida. - Nikt tam nie wchodzi.

- Ja już kiedyś byłem - powiedział Neil.

- Tak? - zapytała Artemida. - Kiedy?

- Dzień przed tym, jak Alice... zginęła.

Artemida spojrzała na niego z uznaniem.

- I wciąż żyjesz? Imponujące. Może jednak będę cię mogła wykorzystać.

- Wykorzystać? - zapytał Neil.

- No dalej, chodźmy.

- Ale...

- Idziemy.

Neil, który nagle poczuł się bezsilny jak opilek żelaza wobec magnesu, skinął głową.

Szli do Heath w milczeniu. Artemida nie biegła, ale maszerowała tak dziarsko, że Neil z trudem za nią nadążał. Zauważył, że zawsze kiedy mijają psa, ona patrzy na niego z pełnym nadziei wyczekiwaniem, a potem, niezmiennie rozczarowana, odwraca wzrok i jeszcze przyśpiesza kroku.

- Zgubiłaś psa? - zapytał Neil.

- One umarły - odparła Artemida.

Z powodu zimna na Parliament Hill było prawie pusto, tylko dwoje ludzi puszczało duże skomplikowane latawce, które z zapalem obszczekiwał mały żółty pies. Artemida zerknęła na psa z czymś, co wyglądało jak współczucie. Wybrała ławkę, z której rozciągał się

widok na miasto, ale było też widać ścieżkę.

- Nigdy nie wiadomo, kto mógł nas śledzić - wyjaśniła, siadając.

Neil nic nie odpowiedział i usiadł obok niej. Ogrom Londynu, rozciągający się przed nim w formie szarej miniatury, wypełnił go tak potwornym smutkiem, że omal się nie rozplakał. Jaki jest sens życia tutaj bez Alice? Nie ma ani jednego budynku czy ulicy, gdzie chciałby być bez niej. Pomyślał, że może się wyprowadzi, zacznie nowe życie gdzieś indziej. Nowe życie. Ta myśl nie dawała mu żadnej nadziei. Chroniąc się przed przenikliwie zimnym powietrzem, owinął się szczelnie kurtką.

- Możemy tu rozmawiać stosunkowo swobodnie - oświadczyła Artemida. - Drzewa nic nie wygadają. Są po naszej stronie.

- Drzewa?

- Apollo zdecydowanie za dużo sobie wobec nich pozwalał przez te wszystkie lata.

- W to wierzę - odparł Neil.

- Znasz go?

- Poznaliśmy się.

- I ciągle jeszcze żyjesz - powiedziała Artemida, kręcąc głową. - Jesteś wytrwały.

- Słuchaj, mam kilka pytań - powiedział Neil, sięgając do kieszeni po złożoną w kwadrat gazetę.

- Oczywiście. Przejdźmy do rzeczy. Powiedz mi, Neil. Czy zrobiłeś kiedyś coś, co można by uznać za czyn heroiczny?

- Co?

- Proszę - powiedziała Artemida. - To ważne.

- Myślałem, że jesteśmy tu, żeby rozmawiać o Alice.

- Właśnie rozmawiamy.
- Nie widzę związku - powiedział Neil.
- A ja widzę - odparła Artemida. Neil westchnął.

- Cóż, tak się składa, że raz próbowałem zrobić coś heroicznego, i rzeczywiście, chodziło o Alice. Poprosiła mnie o pomoc, a ja próbowałem jej udzielić. A teraz ona nie żyje. Tak więc świetnie mi poszło. A poza tym to nie, nigdy w życiu nie zrobiłem niczego, co przy najlepszych chęciach można by uznać za heroizm. Od inżynierów raczej się tego nie oczekuje. Zawsze staram się, żeby budynki, nad którymi pracuję, były możliwie najbardziej bezpieczne. Może w najszerszym znaczeniu tego słowa ktoś mógłby to uznać za heroizm. Kilka razy oddałem krew; mówi się, że to heroizm, ale ja nie sądzę, żeby można to było zaliczyć do czynów prawdziwie heroicznych, skoro po wszystkim dostajesz herbatkę i lekkostrawny batonik. A jeśli pytasz, czy jestem typem osoby, która zaryzykuje życie dla ratowania obcych ludzi z płonącego budynku...Cóż, nie wiem. Chciałbym myśleć, że tak, ale nie mam pewności. Chyba nie można jej mieć, jeśli nie zostało się poddanym takiej próbie.

Na porośniętym trawą zboczku pod nimi uczące się chodzić dziecko uciekło od mamy, upadło i zaczęło zawodzić. Matka podniosła je i przytuliła, dziecko darło się dalej. Alice byłaby dobrą mamą, pomyślał Neil.

- Myślisz, że Alice uważała cię za zdolnego do czynów heroicznych?

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Wiesz, to ja ją zatrudniłam - powiedziała Artemida. - Lubiałam ją. Była znacznie silniejsza, niż na to wyglądała.

Neil zerknął na nią. Patrzyła prosto przed siebie, na panoramę

miasta. Nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Zdał sobie sprawę, że jest piękna, czego wcześniej nie zauważył. Wyglądała na taką kobietę, która nie chce, żeby dostrzegano jej urodę. Jak Alice.

- Ja też ją lubiłem - powiedział. - Bardziej, niż myślała.

- Kochałeś ją? - zapytała Artemida.

- Tak.

- Dobrze. To pomoże.

- W czym? - zapytał Neil. - W tej chwili nie wydaje się za bardzo pomagać.

- Nie potrafisz o niej zapomnieć.

- Nie.

- Myślisz, że mógłby zastąpić ją ktoś inny?

- Potrafisz być bardzo bezpośrednia, wiesz?

- To jak, mógłby?

Neil odwrócił wzrok.

- Wiesz - powiedział - ta myśl przeraża mnie najbardziej.

- Dlaczego? - zapytała Artemida.

- Ponieważ to, co do niej czuję, to jedyne, co mi pozostało - Neil, mówiąc, patrzył w dół, na swoje dłonie. - Nie wiem, co o tym myśleć. Wiem, co czuję - jestem zszokowany, zły, zrozpaczony - ale nie wiem, co o tym myśleć. Nie chciałem, żeby to się stało, a stało się. Nie wiem dlaczego. Nie było żadnego powodu.

- Czasem - powiedziała Artemida - powód istnieje, tylko my go po prostu nie znamy.

Neil pokręcił głową.

- Nie wierzę w takie rzeczy. Ja jestem tu, a ona odeszła. I utknąłem. Nie mogę ruszyć się w żadną stronę. Gdybym kogoś poznał, co by pozostało? Gdyby ból przeminął, czy to by znaczyło, że nigdy jej nie kochałem? Jak mógłbym przeboleć jej stratę? Nie potrafię, nie

wolno mi. Ale cóż innego mi pozostaje?

Przez kilka minut siedzieli w ciszy. Neil zauważył, że jego oddech paruje na zimnym powietrzu, a Artemidy nie. Skądś dobiegał wysoki śpiew ptaka.

- Nigdy nie uprawiałam seksu - oświadczyła nagle Artemida.

- Słucham? - Neil miał głęboką nadzieję, że nie zamierza złożyć mu niemoralnej propozycji.

- Nigdy nie uprawiałam seksu - powtórzyła Artemida. - Nie miałam ochoty. - Teraz ona, mówiąc, nie patrzyła na niego. - Ani z mężczyzną, ani z kobietą, ani ze zwierzęciem, choć moja rodzina lubi żartować na ten temat. I nigdy nie będę. Myśl o tym nappełnia mnie obrzydzeniem. Ale oni - moja rodzina - oni myślą, że to znaczy, iż nie mam żadnych uczuć. Że nie mogłoby mi na kimś zależeć, że nie wiem, czym jest miłość, tylko dlatego, że nie... - Wzdrygnęła się. - Ale wiesz co? - powiedziała, odwracając się do niego. - Naprawdę kochałam moje psy. Wszyscy się ze mnie śmieją z tego powodu, ale prawda. Czas, który z nimi spędziłam, biegając, polując, to najszczęśliwszy okres mojego życia. One mnie rozumiały. Były zwierzętami, ale rozumiały mnie znacznie lepiej niż ktokolwiek z rodziny kiedykolwiek zdoła mnie zrozumieć. Coś nas łączyło, byliśmy tacy sami. A oni zmusili mnie, żebym je zabiła.

- Co? - zdumiał się Neil.

Artemida znowu odwróciła wzrok.

- Nie mogliśmy sobie dłużej pozwolić na to, by trzymać psy.

- To potworne - przyznał Neil.

- Naprawdę rozumiem, czym jest strata - zapewniła Artemida.

Neil nie wiedział, co powiedzieć, ale czuł, że nie może po prostu milczeć. Zażenowany, zmienił pozycję.

- Ja też nigdy nie uprawiałem seksu - przyznał w końcu. - Chciałem zrobić to z Alice, ale za bardzo bałem się jej dotknąć.

Artemida uśmiechnęła się promiennie.

- Lubię cię - stwierdziła. - To może się udać.

- Co może się udać?

- Chcesz zostać herosem? - zapytała.

Neil potarł czoło.

- Za późno - powiedział. - Zawiodłem Alice. Ostatniej nocy przed tym, jak... jak umarła, i przez cały ten dzień, aż do chwili, gdy to się stało, Alice była bardzo przestraszona. Jakby wiedziała, co ma nastąpić. A potem, właśnie kiedy... Miała mi powiedzieć, co się dzieje. Ale wtedy to się stało. Zanim zdążyła mi opowiedzieć. Nie potrafiłem ocalić jej przed śmiercią.

- Nie jest za późno.

- Owszem, jest.

Oboje przyglądali się parze czerwonych ze zmęczenia biegaczy, którzy ich mijali.

- Powiedziała ci, że pocałowała Apollina? - zapytała Artemida.

Neil momentalnie zwrócił się w jej stronę.

- Skąd o tym wiesz?

- Mówiła Hermesowi.

- Hermesowi?

- Nie martw się, to wszystko wina Apollina. Ma ogromny dar przekonywania. Ona się nim nie interesowała. Jeśli to tym się martwiłeś. Umarła też z jego winy. Dlatego musimy coś z tym zrobić.

Neilowi zdawało się, że wyssano z niego wszystkie emocje, pozostała tylko pustka. Coś było w tej kobiecie; naprawdę zaczął wierzyć, że ona może mu pomóc. Ale to, co mówi, to szaleństwo. A więc jednak nie wie, co mówi.

- To nie Apollo jest winny - powiedział. - Uderzył w nią piorun. Jeśli to czyjakolwiek wina, to moja. Gdyby nie ja, wcale by jej tam nie było.

- Dlaczego przyszedłeś do naszego domu?

- Teraz to już nieważne.

- Co chciałeś mi pokazać?

- Teraz chcesz o tym rozmawiać?

- No pokaż.

Neil włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kawałek gazety złożony w mały kwadracik. Rozłożył go i znów spojrzał na zdjęcie: twarz, którą widział na niebie. Podał zdjęcie Artemidzie, a ona przez kilka sekund patrzyła na nie w milczeniu, z zaciśniętymi zębami.

- Nie wszystko jest takie, jak się wydaje - powiedziała w końcu.

- Nie zgadzam się. Uważam, że wszystko jest zawsze dokładnie takie, jak się wydaje.

- To dlaczego zachowałeś ten skrawek papieru?

- Nie wiem. Miałem taką głupią myśl. To nic nie znaczy. A tak w ogóle to kto to jest?

- Mój ojciec - odparła Artemida. - Nie widziałam go od bardzo dawna.

Neil złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- To jego szukałeś, kiedy przyszedłeś do naszego domu, prawda? W związku z tym, co się stało.

- No dobra. Tak, pomyślałem, że mógł mieć coś wspólnego z tym, co przydarzyło się Alice. Ale przecież nie mógł. To był zwykły wypadek, nic więcej. Jeden z tych okrutnych bezsensownych wypadków, które ciągle przydarzają się ludziom, a tym razem padło na Alice.

Padło na mnie. W takich chwilach chwytasz się wszystkiego, jak tonący brzytwy. I to była moja brzytwa.

- Ale dlaczego pomyślałeś, że on może mieć z tym coś wspólnego?
- nie ustępowała Artemida.

Neil nie odpowiedział.

- Widziałeś go, prawda? - zapytała. - Na niebie.

- Nie wiem, co widziałem.

- Znasz historię Orfeusza i Eurydyki?

- Co to ma do rzeczy?

- Znasz czy nie?

- Nie jestem wielkim fanem opowieści religijnych - odparł Neil. - Nawet tych antycznych.

- Orfeusz był młodym muzykiem - zaczęła Artemida. - Długie włosy, można by powiedzieć trochę hipisowaty. Eurydyka była jego żoną, bardzo miła dziewczyna, śliczna. Byli szaleńczo zakochani. Ale wkrótce po ślubie ona zmarła. Ukąsił ją wąż i umarła.

Artemida rzuciła mu znaczące spojrzenie. Neil odpowiedział jej krótkim cierpkim uśmiechem na znak, że dostrzega analogię.

- Orfeusz, co z pewnością doskonale rozumiesz, był zdruzgotany. Tak zdruzgotany, że udał się do Podziemia, by odzyskać Eurydykę. Poszedł do pałacu, gdzie mieszkają Hades i Persefona - cóż, nie byłam tam, mówi się, że to pałac, ale przecież nikt nie może tego sprawdzić - i zaśpiewał im tak przejmująco o swojej stracie, że oddali mu żonę. Umiesz śpiewać, Neil?

- Ani trochę.

- Nieważne. Tragiczne było to, że pozwolili Orfeuszowi zabrać ją z powrotem do tego świata, świata żywych - pod warunkiem że podczas drogi powrotnej nie odwróci się, by na nią spojrzeć. Ale oczywiście on

kochał ją tak bardzo, że się obejrzał, chcąc się tylko upewnić, czy ona za nim podąża. Tak więc Eurydyka została mu ponownie odebrana i odesłana z powrotem, by na zawsze żyć pośród zmarłych.

- Co się stało z Orfeuszem? - zapytał Neil.

- Och, został rozerwany na strzępy, a jego głowę wrzucono do rzeki Hebrus. Ale w tej historii nie o to chodzi.

- A o co?

- O to, że ona stanowi precedens.

- O czym ty mówisz, jaki precedens?

- Precedensy są bardzo ważne. Oznaczają, że można coś zrobić, ponieważ ktoś zrobił już coś takiego wcześniej. Ty możesz to zrobić, Neil.

- Co?

- Mógłbyś zejść na dół i odzyskać ją. Musieliby ci pozwolić! Już kiedyś to zrobili! Musisz jedynie udowodnić, że ją kochasz, a dla mnie nie ulega wątpliwości, że tak jest.

Neil czuł wstręt. Do Artemidy, a jeszcze większy do samego siebie, że wpakował się w tę sytuację.

- Oszalałaś - powiedział.

- Nie, nieprawda - odparła Artemida. - Próbuję ci pomóc. Pozwól mi tylko wyjaśnić.

- Powiedziałaś mi, że przyszliśmy tu porozmawiać o Alice. Słuchałem cię. Rozmawiałem z tobą. Opowiedziałem ci o sprawach, o których nie wie nikt inny...

- Nie rozumiesz! - zaprotestowała Artemida. - Mogę to sprawić! Mogę sprowadzić cię na dół!

Wyciągnęła dłoń i położyła mu ją na ramieniu.

- Nie dotykaj mnie! - Neil podskoczył i zaczął się wycofywać. - Powinienem był wiedzieć, że to się tak skończy. Powinienem był odejść, kiedy zaczęłaś mówić o twarzach na niebie. Mieszkasz w tym

domu z Apollem i najwyraźniej jesteś taka sama jak on.

- Wcale nie! - krzyknęła Artemida, zrywając się na równe nogi i stając przed nim. - Jesteśmy zupełnymi przeciwieństwami! Zaufaj mi, Neil.

- Tu nie chodzi o zaufanie - odparł Neil. - Sprawiasz wrażenie miłej kobiety, kobiety pełnej najlepszych intencji, i jestem pewien, że wierzysz w to, co mówisz. Ale ja ci nie wierzę. Nie wierzę w nic z tego, co powiedziałaś. Kiedy ktoś umiera, to umiera. To koniec. Nie staraj się dawać mi złudnej nadziei. Myślisz, że pomagasz, ale wcale tak nie jest. Tylko mnie ranisz.

- Ale Neil...

- Nie. Jeśli naprawdę masz na uwadze moje dobro, zostaw mnie w spokoju. Kiedyś uważałem, że tego rodzaju rzeczy są zabawne, ale tak nie jest. Wszyscy jesteście tacy sami. Ranicie ludzi, kiedy są zbyt słabi, by się bronić.

- Mylisz się - powiedziała błagalnie Artemida. - Mogę ci pomóc. Wiem, co masz na myśli. Rozumiem cię, lepiej niż mógłbyś to sobie wyobrazić, znam tych wszystkich tak zwanych wierzących, którzy głoszą same kłamstwa i fałszywą pociechę, wierz mi, znam to. Ale ja jestem inna. Zapewniam cię. Powiedziałam najprawdziwszą prawdę.

- Wszyscy tak mówią.

- Ale ja jestem inna! Jestem boginią, Neil.

- Co?

- Pozwól, że ci udowodnię.

Powaga malująca się na jej twarzy, kiedy wyciągnęła do niego rękę, napęłniła Neila takim wstrętem, że pragnął tylko uderzyć ją pięścią w szczękę. Jedynym sposobem, by tego uniknąć, było zrobić dokładnie to, co zrobił, czyli odwrócić się i pobiec jak najszybciej w

dół wzgórza, jak najdalej od miejsca, gdzie stała. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości od Artemidy, poczuł nagle wstyd i odwrócił się przez ramię, poniekąd spodziewając się, że zobaczy ją biegnącą za nim. Ale ona wciąż stała na szycie wzgórza i patrzyła, jak się oddala.

Nie zwolnił, tylko biegł dalej, ścieżką prowadzącą do zagajnika. Wtedy nagle poczuł, że owionęło go coś jakby prąd powietrza i oto stanęła przed nim Artemida. Potknął się i omal nie upadł u jej stóp, z trudem łapiąc oddech.

- Jak... jak ty... - wyjąkał.

- Biegłam - odparła Artemida.

- Ale...

- Jestem boginią - powiedziała.

- Nie ma czegoś takiego - odparł Neil.

- Czyż inaczej znalazłabym się tu tak szybko? W jaki sposób?

- Nie wiem. Rolki? Tunel? Nie wystarczy jakaś sztuczka, by mnie przekonać.

- Wiem, że w głębi duszy mi wierzysz. Wiem, że chcesz to zrobić.

- Mylisz się.

- Zmienisz zdanie.

Neil pokręcił głową. Artemida wyciągnęła z kieszeni dresu małą białą wizytówkę.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie możemy pozwolić Apollinowi wygrać - powiedziała. - Nie przychodź więcej do domu, to niebezpieczne. To numer Hermesa. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy, on zawsze odbiera, i może przekazać mi wiadomość.

Podawała mu wizytówkę. Neil spojrział, widniały na niej tylko trzy cyfry.

- To nie może być jego numer - powiedział.

- Owszem, jest Zadzwoń, kiedy się namyślisz.
- Nigdy się nie namyślę.
- Ależ tak, namyślisz się.

Odwróciła się i ruszyła biegiem, i po chwili, która zdawała się trwać zaledwie ułamek sekundy, już jej nie było.

27

Alice nie miała pojęcia, od jak dawna przebywa w świecie podziemnym. W chwili gdy zjechała ruchomymi schodami na najniższy poziom stacji Angel, a Upper Street zniknęła za nią, zabierając ze sobą całą rzeczywistość, utraciła wszystko, czym przywykła mierzyć czas. Tutaj nie było pór dnia; światło nigdy się nie zmieniało. Nie było tu nic, co Alice mogłaby zakwalifikować jako pogodę, ani słońca, ani deszczu, ani śniegu, a nie miała też ciała, które mogłoby odczuwać temperaturę. Brak ciała oznaczał brak wszelkich odczuć związanych z upływem czasu, jak potrzeba jedzenia i spania; nie miała też miesiączki, która pozwoliłaby jej zorientować się, ile minęło dni. Była tu od tygodni, miesięcy, lat, czy zaledwie kilku godzin? I czy to miało znaczenie? To chwila, zważywszy że ma przed sobą całą wieczność.

Zdawało jej się, że szła bardzo długo, zanim w końcu wydostała się z przedmieść piekła. Nie widziała więcej potworów. Mijała natomiast innych ludzi. Weteranów śmierci, ci zerkali na nią bez zainteresowania. Biali, czarni, Azjaci, Indianie Arabowie, Pigmeje, Maorysi, Eskimosi, i tacy, którym podobnych nigdy wcześniej nie widziała, wyglądający zupełnie inaczej niż ktokolwiek, kogo znała, należący do populacji wymarłych wiele stuleci przed jej narodzinami. Tak jak i ci,

z którymi tu przybyła, byli to ludzie w różnym wieku, także malutkie niemowlęta, które zdawały się pchać swoje ciała po chodniku bez najmniejszego wysiłku czy ruchu.

Po pewnym czasie - kilku godzinach? dniach? - z wyblakłej szarości zaczęły wyrastać jakieś wysokie budynki, więc ruszyła w ich stronę. Kiedy się zbliżała, linia dachów wydała jej się niemal, ale niezupełnie, znajoma: przypominała Manhattan, ale odtworzony z pamięci przez komitet. Jak się później dowiedziała, tak właśnie było. Domy w stylu Tudorów ciągnęły się aż do początku dzielnicy drapaczy chmur. Ostatnie wyglądały jak maleńkie kawałeczki pasiastej lukrecji, przyćmione przez lśniących sąsiadów ze stali i szkła.

Pomimo większej gęstości zaludnienia na ulicach centrum panowała taka sama cisza jak na przedmieściach. A ich czystość była niemal upiorna - żadnych śmieci, graffiti, zanieczyszczeń. Nawet Alice, która nienawidziła nieporządku, czuła się nieswojo, jakby zanieczyszczała to miejsce samą swoją obecnością. Budynki były olśniewające, potężne i wspaniałe, i zdawały się błyszczeć światłem odbijanym od nieistniejącego słońca. Nie wierzyła, że w piekle może istnieć takie piękno, i zastanawiała się, do czego służą te budowle. Zdawało się, że nie ma w nich żadnych odźwiernych ani ograniczeń określających, kto może wchodzić do środka, i tłumy umarłych stale wlewały się i wylewały przez drzwi. Alice zaczęła, aż mała grupa wejdzie do jednego z budynków, po czym ruszyła za nimi, z nadzieją, że nie zostanie zauważona.

Budynek miał ogromny marmurowo-złocisty hol, który został zmodyfikowany ze względów praktycznych. Na podłodze leżała brązowo-pomarańczowa wykładzina, a przestrzeń była podzielona na

łatwiejsze do nadzorowania obszary za pomocą olbrzymich szaf na dokumenty. W niektórych prowizorycznych pokojach stały biurka, a przy nich martwi ludzie zajęci byli poważnie wyglądającymi rozmowami kwalifikacyjnymi. Alice, która nie lubiła takich rozmów, zaczęła się wycofywać, ale spotkała się wzrokiem z piękną, delikatnie zbudowaną czarnoskórą kobietą po czterdziestce, siedzącą za jednym z biurka. Kobieta skinęła na nią. Alice nie chciała być niegrzeczna, więc podeszła i usiadła naprzeciwko niej. Była w szpitalnej koszuli, nie miała włosów i jednej piersi. Z małej tabliczki na biurku wynikało, że ma na imię Mary.

- Mówi pani po angielsku? - zapytała Alice.

Mary odpowiedziała coś, czego Alice nie zrozumiała.

- Przykro mi, mówię w wielu językach, ale nie rozumiem, co pani powiedziała. Je ne comprends pas. Ich verstehe nicht?

- Powiedziałam „nówka”. Chodziło mi o to, czy jesteś nówką - odparła Mary z melodyjnym afrykańskim akcentem. - Oczywiście, że jesteś. Inaczej wiedziałabyś, że wszyscy się tu rozumiemy. Nie ma prawdziwego języka. Widzisz, tak naprawdę nie mówimy. Nie możemy poruszyć powietrza płucami. Panuje tu komunikacja metafizyczna. Brzmi jak słowa, ale to nie są słowa.

Alice próbowała zrozumieć, ale to było za dużo do przyswojenia.

- Co to za miejsce? - zapytała, chcąc zacząć od czegoś prostego.

Oczy Mary rozszerzyły się i pojawiła się w nich troska. Wyciągnęła rękę i poklepała Alice po dłoni. Alice widziała klepanie, ale nic nie czuła.

- To jest świat podziemny - powiedziała Mary. - Nie martw się,

wielu ludzi jest zdezorientowanych. Ty umarłaś, skarbie.

- Och, przepraszam. Nie o to mi chodziło. Wiem, że nie żyję - wyjaśniła Alice. - Pytałam o to, gdzie znajduję się w tej chwili? Czy to piekło?

- Nie, skarbie, to nie piekło - powiedziała Mary. - Tu przebywają wszyscy zmarli. Nie martw się. Tu nie trafia się za karę.

- Co to za budynek?

- Ach. To budynek F centrum administracyjnego sektora A. Sektor A to okręg nowo przybyłych.

- Myślałam, że to centrum świata podziemnego - powiedziała Alice. - To tylko jeden mały sektor?

- Wiesz, ile bilionów ludzi umarło? Myślisz, że wszyscy mieszczą się w jednym mieście? - Kiedy Mary zobaczyła zbolaną minę Alice, jej głos złagodniał. - Trzeba sporo czasu, żeby się do tego przyzwyczaić - stwierdziła. - Ale w końcu się przyzwyczaisz. Nie martw się. Ja też wciąż jeszcze jestem niepewna wielu rzeczy.

- Od jak dawna jesteś martwa? - zapytała Alice.

- Nie wiem. Myślę, że niedługo. Zmarłam w Kampali, w Ugandzie, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku.

- Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu.

- Niedawno. Ale sporo się już nauczyłam. Niedługo przeniosę się z sektora nowo przybyłych. A teraz, w czym mogę ci dziś pomóc?

- Nie wiem - odparła Alice. - Dopiero tu przybyłam.

- Jeśli się tu znalazłaś, to znaczy, że jesteś na to gotowa - powiedziała Mary z uśmiechem, jasnym i ciepłym jak tropikalny deszcz. - Codziennie przybywa tu wiele tysięcy zmarłych. Kiedy nadejdzie ich

czas, ruszają dalej. Ci, którzy potrafią już chodzić, przychodzą tutaj. Ci, którzy nie chodzą, też tu docierają, tylko zabiera im to więcej czasu.

- Ale od stacji odchodzi wiele dróg w różnych kierunkach - powiedziała Alice. - Skąd wiecie, że się nie zgubią?

- Wszystkie drogi prowadzą tutaj - odparła Mary. - Kiedy jest się gotowym, dociera się na miejsce.

- To co mam teraz robić?

- To zależy od ciebie. Nie musisz nic robić. Nie masz ciała. Nie masz potrzeb. Nie wymagasz jedzenia ani miejsca do spania. Pieniądze tu nie istnieją. Wiele osób decyduje, że nie chcą mieć domu. Inni mają i nigdy z nich nie wychodzą. Gdybyś chciała mieć dom, mogę ci go znaleźć.

Alice pomyślała o niekończących się rzędach identycznych budynków i próbowała sobie wyobrazić, że mieszka w jednym z nich, całkiem sama.

- Jeśli chcesz, mogę również pomóc ci w znalezieniu pracy. Nowo przybyli często nie szukają zatrudnienia. Uważają, że dość się już napracowali. Ale ja tego nie polecam. Dobrze jest pracować. Ma się jakiś cel. Poznaje się ludzi. Nie popada się w depresję. Depresja to bardzo negatywne zjawisko w świecie podziemnym. Cierpi tu na nią wiele osób. To okropne. Umarli zastygają bez ruchu. Będziesz ich widywała. Stoją przy drogach albo leżą w łóżkach w swoich domach i w ogóle się nie ruszają. Mogą się nie poruszyć przez wiele wieków, wiele tysięcy lat. Nie widzą sensu w poruszaniu się. Bo go nie ma.

- Ojej - powiedziała Alice. - Biedacy.

- Pytam więc raz jeszcze. W czym mogę ci dziś pomóc?

- Chyba chciałabym dostać pracę, proszę - odparła Alice.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powiedziała Mary, przyklaskując bezdźwięcznie. - Miałam nadzieję, że to powiesz. Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną. Już cię wysłałam do wydziału poradnictwa zawodowego.

Doradca do spraw wyboru zawodu okazał się nagim małym Abo-rygenem w wieku około czterech lat, który przedstawił się jako pan Kunmanara. Omówił z Alice, jakie ma możliwości, tłumacząc, że rynek pracy wśród umarłych jest zarówno bardzo konkurencyjny, jak i wyjątkowo płynny.

- Ludzie pracują tu tylko dlatego, że chcą - wyjaśnił - więc długość listy oczekujących w najbardziej popularnych zawodach jest, powiedzmy, nieco zniechęcająca. Gwiazdą filmową lub gwiazdą muzyki pop możesz zostać tylko, jeśli masz długie CV, które pokazuje twoje zaangażowanie w pracę pośmiertną w jakichś innych, mniej prestiżowych, ale może bardziej przydatnych dziedzinach. Na przykład jako doradca do spraw wyboru zawodu.

Czekał na śmiech, ale Alice zapomniała się roześmiać.

- Reasumując - ciągnął nieco urażonym tonem - jeśli jesteś gotowa czekać dość długo, wolna posada na pewno się znajdzie, a czekanie to oczywiście luksus, na który z pewnością możesz sobie pozwolić.

Alice uśmiechnęła się słabo i skinęła głową.

- A teraz powiedz mi, jakie masz przedśmiertne doświadczenie zawodowe?

- Jestem - to znaczy byłam - sprzątaczką.

Chłopiec pokręcił głową i cmoknął z niezadowoleniem. Zapiszę to - powiedział - ale w gruncie rzeczy nie potrzebujemy tu sprzątaczek. Nie ma brudu. Coś jeszcze?

- Właściwie nie - odparła Alice. - Po ukończeniu studiów przez jakiś czas pracowałam na różnych zastępstwach, ale nie byłam w tym

dobra. Nie czuję się swobodnie w środowisku biurowym. Nie lubię mówić.

- To utrudnia sprawę - stwierdził pan Kunmanara - ale zapiszemy to, na wszelki wypadek. A co studiowałaś?

- Językoznawstwo - odparła Alice.

Dziecko westchnęło.

- Obawiam się, że z tego też nie będzie tu żadnego pożytku.

- Tak, kobieta na dole mi mówiła - powiedziała Alice. - Tu nie ma języków.

- Boję się, że będzie mi bardzo trudno gdzieś cię umieścić - oświadczył chłopiec, odchylając się na specjalnie dla niego zaprojektowanym wysokim krześle. - Na pewne dziedziny jest tu stały popyt. Na przykład architektura. Inżynieria.

Alice, która przez cały ten czas bardzo starała się nie myśleć o Ne-lilu, wzdrygnęła się. Chłopiec źle to zrozumiał.

- Wolno ci uważać, że te zawody zasługują na najgłębszą pogardę, panno Mulholland, ale przekonasz się, że na tych fachowcach wspiera się cała konstrukcja świata podziemnego. Bez nich nic by tu było. Co według ciebie sprawia, że te budynki tu stoją? Żaden z nich nie jest „prawdziwy”. Wszystko zostało stworzone siłą umysłu. A to wymaga talentu i praktyki. Gdybyś ty miała spróbować utrzymać ten budynek siłą swojego umysłu, panno Mulholland, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że odbywalibyśmy tę rozmowę, siedząc po pas w gruzie. Do tego trzeba prawdziwej wiedzy o budownictwie.

- Tak - powiedziała Alice. - Oczywiście.

- Szkoda - zamyślił się chłopiec - że nie można zorganizować żadnego przedśmiertnego programu szkoleniowego, który zapewniłby nam odpowiednią liczbę osób o przydatnych umiejętnościach, a

zarazem odwoziłby od specjalizowania się w dziedzinach nie mających tu żadnego zastosowania. Jak sprzątanie. I językoznawstwo.

- Przepraszam - wymamrotała Alice.

- Wracając do tematu - powiedział pan Kunmanara - masz może jakieś inne zdolności? Jakieś hobby? Zainteresowania? Jakiegokolwiek?

- Zbieram porcelanowe miniatury. Chłopiec ziewnął.

- I lubię grać w scrabble'a. Chłopiec stanął na baczność.

- Scrabble? Czemu nie powiedziałaś od razu? - Przejęty, pochylił się do niej. - Masz talent?

- Nie sądzę - odparła Alice. - Choć zajmę trzecie miejsce w brytyjskich mistrzostwach krajowych dla graczy poniżej szesnastego roku życia.

- Jesteś zbyt skromna - oświadczył pan Kunmanara. - Nareszcie coś, co może się tu przydać! Rekreacja, rozrywka stanowią prawdziwą siłę napędową społeczności umarłych. Nie możesz sobie jeszcze wyobrazić, panno Mulholland, jak bardzo nudna jest nasza egzystencja tutaj. Osoba o dużej biegłości w grach planszowych to naprawdę rzadki skarb! Wierz mi, będzie na ciebie wieczny popyt.

- Ale... - zaczęła Alice.

- Oczywiście będziesz musiała najpierw przejść szkolenie w zakresie precyzyjnych ruchów, które będą ci potrzebne do podnoszenia literek. Potem możemy cię umieścić w jednym z naszych profesjonalnych domów gry.

- Nie jestem pewna, czy ja...

- Gratulacje, panno Mulholland! - Chłopiec odchylił się z uśmiechem. - Właśnie odkryliśmy twoje powołanie.

Apollo miał depresję. Z początku myślał, że jest po prostu znudzony, co było znanym mu stanem, zważywszy że nudził się przez znaczną większość ostatnich kilku tysięcy lat. Tym razem jednak nie pomagała żadna z jego typowych rozrywek: upijanie się i oglądanie niemal niewykonalnych aktów sprośności w Bachanaliach; odtwarzanie tych sprośnych aktów w domu z Afrodytą; komponowanie na gitarze piosenek o sobie i wykonywanie ich przed każdym domownikiem, którego udało mu się przekupić, by go posłuchał, i upajanie się jego wysiłkami, by ukryć, że występ mu się podoba; długie spacery po Londynie i próby uwiedzenia każdego śmiertelnika, którego spojrzenie uda mu się przykuć - co zresztą zawsze kończyło się niepowodzeniem, gdyż nawet kiedy udało mu się namówić kogoś na seks, żaden śmiertelnik nie mógł się równać z Alice w jego wspomnieniach. Pomyślał, że może dobrze byłoby rzucić się w wir pracy, ale zarówno jego agent, jak i firma produkcyjna, która zrobiła pilota *Wyroczni Apollina*, powiedzieli, że są zajęci; obiecali, że oddzwonią, ale nic z tego. Jego kolejne telefony były przełączane na pocztę głosową. Po pierwszych kilku próbach Apollo zaczął przy wtórze gitary wyśpiewywać swoje wiadomości do telefonu, ale i to jakoś nie pomogło.

Najbardziej pragnął położyć się do łóżka i nie ruszać się przez kilka lat, ale wspólne mieszkanie z Aresem mu to uniemożliwiało. Wojna między Ateną i Herą weszła w stadium krytyczne. Ares zrobił ze swojej połowy pokoju centrum operacyjne, do którego ciągle wpadała Atena, żądając najświeższych informacji o zmianach na froncie w charakterystycznym dla siebie stylu: „Jakie byłoby prawdopodobień-

stwo, że zostanie odwołane przerwucenie jednostek z głębokich tyłów ze względu na rezolucję ONZ?”, a Hera przysyłała swoje pawie z karteczkami przyczepionymi do szyi; przechodząc przez pokój, ptaki zawsze, ale to zawsze korzystały z okazji, by wysrać się na podłogę. To, że gównu pozostawało niesprząnięte, również przypominało Apollinowi o nieobecności Alice, nieobecności, którą odczuwał dotkliwiej niż obecność każdego członka rodziny, mimo że wszyscy byli niezmiernie irytujący.

Więc jednak wstawał, choć rzadko chciało mu się ubrać; wolał owinąć się kojącymi fałdami prześcieradła lub koca, przypominającymi mu szaty, które nosili dawno temu, w lepszych czasach, kiedy jeszcze śmiertelnicy się z nimi liczyli. Snuł się po parterze niczym duch - miał nadzieję - i choć zmieniał pomieszczenia, do których wnosił swój mroczny nastrój, sam nastrój mu się nie zmieniał. Był głęboko, beznadziejnie nieszczęśliwy i rozdarty: z jednej strony, odsłaniając stan swoich uczuć, domagał się współczucia, z drugiej wiedział, że może się od nich spodziewać jedynie pogardy i drwin.

Pewnego popołudnia, kiedy siedział w samotności na krzywym krześle w rogu pokoju dziennego, wybrzdąkując sporadycznie pojedynczą nutę na gitarze, którą najmniej lubił, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Eros. Był ubrany bardzo praktycznie, w wyprasowane spodnie w kolorze khaki, granatowy sweter z okrągłym wycięciem i zielono-białą koszulę w paski, a jego włosy były jak zwykle starannie zaczesane. Zdawał się nie zauważać Apollina, kiedy siadał na kanapie z bloczkiem papieru i długopisem w rękę, więc Apollo wybrzdąkał zaczepnie swoją pojedynczą nutę.

- Och - powiedział Eros, podnosząc wzrok. - Cześć, Apollinie, nie zauważyłem cię.

- Co porabiasz? - spytał Apollo. Szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło. Chciał tylko, żeby Eros szybko mu odpowiedział, a potem zapytał, co on porabia, tak by mógł odpowiedzieć żalonym głosem „Nic”.

- Właśnie wróciłem z próby przedstawienia wielkanocnego wystawianego przez klub młodzieżowy - powiedział Eros.

- Wielkanoc? Już? - Apollo był szczerze zaskoczony.

- No tak. Niedługo wróci Persefona. Właściwie to już powinna tu być. Tak czy owak, przedstawienie będzie w przyszłym tygodniu, więc mam nadzieję, że do tego czasu się pojawi. Dzieciaki nie mogą się doczekać. Namówiły mnie, żebym zarapował.

- Ty i rap?

- Wiem. To będzie totalne upokorzenie. Jestem przekonany, że dlatego mnie o to poprosiły. W końcu zostanie mi to zapomniane, ale pewnie nie wcześniej, nim wszystkie wymrą.

- Czy to cię nie denerwuje? Robisz z siebie głupka przed śmiertelnikami.

- Dlaczego miałoby mnie denerwować? To przecież dzieci, Apolinie, nawet jeśli są dorośli. Martwisz się, że możesz wyjść na głupka przed niemowlętami?

Apollo się martwił.

- Nie - powiedział.

- Możesz pomóc mi to napisać, jeśli chcesz - zaproponował Eros. Zamachał długopisem i papierem. - Ja to położę. Mógłbyś wystąpić ze mną.

- Lepiej nie - stwierdził Apollo.

- Oczywiście. Wiem, jak nie cierpisz być w centrum zainteresowania.

Apollo zastanawiał się, czy to miała być ironia.

- No - powiedział.
- Chyba w końcu uda mi się coś wymyślić - pocieszył się Eros. -
Chociaż to miejsce niespecjalnie sprzyja wienie twórczej.

Apollo rozejrzał się po pokoju. Na ścianach widniały ślady ognia po ostatnim napadzie wściekłości Hery. W oknach wisiały tylko skrawki zasłon, gdyż reszta spłonęła, a te meble, które ocalały, wykazywały cechy postępującego zniszczenia: obicia były osmalone, nogi i oparcia krzywe lub wyłamane.

- Hefajstos naprawdę powinien coś z tym zrobić - kontynuował Eros. - Albo ta sprzątaczką, kiedy wróci z urlopu...

Zamilkł. Spojrzał na Apollina z miną, która przypominała autentyczną troskę.

- Co się stało? - zapytał.

To była szansa Apollina.

- Nic - powiedział głosem przepelnionym największym żalem, jaki mógł z siebie wykrzesać.

- Naprawdę? Na pewno nic ci nie jest? - Kiedy Apollo nie odpowiedział, ciągnął dalej - Wiesz, nie mogę się wprost doczekać powrotu Persefony. Przynajmniej pogoda zacznie się poprawiać.

- Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz byłem na dworze - powiedział Apollo.

- Dlaczego?

- Bez powodu - odparł Apollo i westchnął.

- Apollo, jeśli coś cię gryzie, to może po prostu powiedz, w czym rzecz, zamiast robić aluzje.

- Dlaczego miałbym chcieć z tobą rozmawiać? - zapytał Apollo. - Przecież nawet cię nie lubię.

- Cóż, zgadzam się, to rzeczywiście wydaje się dziwne - odparł Eros i czekał.

- Alice nie żyje - wyrzucił z siebie nagle Apollo.

- Sprzątaczką?

Apollo pomyślał, że Eros wygląda na autentycznie zszokowanego. Kolor zniknął mu z twarzy, pozostawiając nieboską błądź.

- Myślałem, że tylko wyjechała - powiedział Eros. - Co się stało?

- Zeus - odparł Apollo. - Dowiedział się, że mamy w domu śmiertelniczkę.

Eros przez chwilę wyglądał, jakby mu ulżyło, ale tylko przez chwilę.

- A jak Zeus się o tym dowiedział?

- Cóż, no wiesz... - Apollo wykonał niejasny gest ręką - Wszehmocny. Wszehwiedzący. Takie tam.

- Obaj wiemy, że Zeusowi daleko do wszechmocy i wszehwiedzy. Ktoś musiał mu powiedzieć. Apollo? Czy to ty powiedziałeś mu o sprzątaczkę?

- Czemu miałbym to robić?

Eros przetarł twarz rękami.

- Wolałbym nie znać odpowiedzi na to pytanie - powiedział.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził Apollo - zważywszy, że tego nie zrobiłem.

Eros zaczął się teraz niespokojnie wiercić na krześle.

- Więc dlaczego? - nalegał Apollo. - No powiedz.

Eros milczał kilka sekund, a w końcu zapytał wprost.

- Chciałeś, żeby Alice umarła?

- Tak - przyznał Apollo. - Ale to nie znaczy, że coś zrobiłem.

- Dlaczego chciałeś, żeby umarła? - zapytał Eros.
- Ponieważ ja ją kochałem, a ona mnie nie - odparł Apollo.
- Tego się obawiałem. - Eros odłożył bloczek i długopis na podłogę. - A teraz mdli cię, tak?

- Tak.

Eros przelknął ślinę.

- Jesteś zdenerwowany.

- Tak.

- Dłonie masz lepkie od potu.

- Tak.

Eros wytarł ręce o spodnie.

- Czujesz w sobie dziwny nękający ból, który nie daje ci spokoju.

- Tak.

- Nieustający żal, że nie postąpiłeś inaczej.

- Przecież właśnie postąpiłem inaczej. Ale, powiedzmy, tak.

- Połowa ciebie chce naprawić wyrządzone krzywdy, a druga połowa chce się gdzieś zaszyć i wyprzeć ze świadomości, że to się w ogóle wydarzyło.

- Erosie, czy ty masz zdolność czytania w myślach? Nigdy dotąd jej nie objawiałaś.

- Nie - odparł Eros. - Tylko, w przeciwieństwie do ciebie, wiem, co to jest poczucie winy. Tego między innymi trzeba się nauczyć, jeśli chce się być chrześcijaninem.

- Poczucie winy. Dobra. - Apollo powoli pokiwał głową. - Myślisz, że to właśnie to?

- Prawie na pewno, jeśli czujesz się jakoś odpowiedzialny za śmierć Alice.

- Dlaczego miałbym się czuć odpowiedzialny? To Zeus ją zabił.

- Można być odpowiedzialnym na wiele sposobów.

Eros jakby zapomniał o Apollinie, a jego uwaga przeniosła się na pobrudzone węglem okna.

- A więc jeśli to o to chodzi - powiedział Apollo, który nie miał najmniejszej ochoty utracić współczucia Erosa - jeśli rzeczywiście czują się winni, nieważne, czy istotnie ponoszą winę, czy nie, jak mogę pozbyć się tego uczucia?

Eros znów odwrócił się do niego.

- Dobre pytanie - powiedział. - Gdybyś był chrześcijaninem, odpokutowałbyś za grzechy i modlił się o wybaczenie.

- I to by podziałało?

- Na to wygląda.

- Wybaczenie od boga, który nie istnieje, pozwala pozbyć się poczucia winy?

- Tylko jeśli się w niego wierzy - odparł Eros. - To właśnie próbowałem ci wytłumaczyć przez te wszystkie dekady. Wiara to potęga. Dla śmiertelników wiara zmienia wszystko - to, co robią, co czują...

Apollino wyczuł, że Eros zaraz wsiądzie na swojego konika, więc wszedł mu w słowo.

- Czyli to nie działa, jeśli nie wierzysz w tamtego boga.

- Niestety, nie - potwierdził Eros.

- Co wtedy można zrobić?

- Cóż, masz wybór. Możesz pozwolić, żeby poczucie winy płonęło w tobie i trawiło cię jak ogień piekielny, aż zniszczy cię zupełnie. Moim zdaniem to z tego wywodzi się idea piekła. Albo też możesz przeprosić osobę, którą skrzywdziłeś, i przekonać się, czy ci wybaczy.

- Ale Alice nie żyje. Nie mogę jej przeprosić.

- Alice to nie jedyna osoba, którą dotknęła jej śmierć. Jest wielu ludzi, których mógłbyś przeprosić. Przyjaciół, rodzinę...

- Dobra. I wtedy to uczucie mnie opuści?
- Takie jest założenie.
- To dlaczego wszyscy ciągle nie przepraszają?
Eros założył nogę na nogę, po czym znowu ją zdjął.
- Wydaje mi się, że przeproszenie wymaga pewnej odwagi - powiedział. - Musisz stawić czoło świadomości, co zrobiłeś, być gotowy ponieść wszelkie konsekwencje. Czasem po prostu łatwiej żyć z poczuciem winy. I...

Apollo czekał.

- I co? - zapytał w końcu.
- Z czym?
- Nie wiem, myślałem, że zamierzasz powiedzieć coś jeszcze.
- Nie, nie. - Eros podniósł swój bloczek i długopis i wstał. - Czy to wszystko, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Chyba tak.

- Cóż, mam nadzieję, że poczujesz się lepiej - powiedział Eros. - Pójdę już. Muszę jeszcze wrócić do kościoła, zapomniałem o czymś.

A kiedy Eros opuszczał pokój, Apollo widział, że jego skrzydła drgają nerwowo pod swetrem, jakby chciały się jak najszybciej stamtąd wydostać.

29

Neil denerwował się na każde wspomnienie rozmowy z Artemidą. Nie na myśl, że ona nie wierzy w to, co mu powiedziała, lecz na myśl, że w to wierzy. W jej absolutnej pewności, że Alice wciąż istnieje w innej formie i miejscu, i że mógłby w jakiś sposób ją tam odnaleźć,

było coś, co sprawiało, że zaczynał wątpić. Zaczynał wątpić, że naprawdę odeszła. A nie chciał w to wątpić, bo ze zwątpienia rodzi się nadzieja, a nadzieja jest bardziej bolesna niż rozpacz: z nadzieją ma więcej do stracenia.

Postanowił więc, że spotkanie z Artemidą stanie się dla niego bodźcem, żeby Dojść Do Siebie, Zapomnieć i Iść Dalej - te słowa tkwiły w jego głowie jak tytuł talk show nadawanego w ciągu dnia. Poszedł do supermarketu. Zadzwoił do pracy i powiedział, że na początku przyszłego tygodnia wróci. I zmusił się do posprzątania mieszkania, tak jak zrobiłaby to Alice, mimo że każdy akt czyszczenia przywoływał bolesne wspomnienia. Nie potrafił się zmusić jedynie do zmiany pościeli, w której spała. Wiedział, że w końcu trzeba będzie to zrobić. Ale jeszcze nie teraz.

Właśnie wkładał pranie do pralki, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Jego pierwszym odruchem było nie otwierać. Nie chciał nikogo widzieć. Ale to niezgodne z duchem dewizy: Dojść Do Siebie, Zapomnieć i Iść Dalej. Upuścił więc resztę brudnych ubrań na podłogę i właśnie się wyprostowywał, gdy dzwonek rozległ się po raz drugi, a jego natarczywy pisk trwał sekundę dłużej, niż to konieczne.

- Idę! - wrzasnął Neil.

Zdjął klucze z haczyka przy drzwiach, wyszedł do zimnego holu i od razu pożałował, że nie włożył swetra. Przez zniekształcające szkło drzwi frontowych zobaczył sylwetkę gościa, który unosił rękę, by zadzwonić po raz trzeci. Skoczył do przodu i otworzył drzwi, zanim tamten sięgnął dzwonka. Gość opuścił rękę w geście, który wskazywał na wyjątkowe jak na niego zażenowanie.

- Co ty tu robisz, do cholery? - zapytał Neil.

- Cześć - powiedział Apollo.

- Jak się dowiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Hermes mi powiedział.
- Hermes? Ale przecież on miał być... - po mojej stronie. Neil nie dokończył myśli, gdyż szybko wyparła ją inna: - A skąd Hermes wie, gdzie mieszkam?

- To jego praca.

- Jego praca?

Apollo nie wyjaśnił, co to za praca. Od ulicy powiał lodowaty wiatr, który sprawił, że Neilowi wszystkie włosy na rękach stanęły dęba i dostał gęziej skórki wielkości groszków. Nie zwracając na to uwagi, skrzyżował ręce na piersiach i starał się wyglądać jak pan domu.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Ja, ach... - Apollo przestąpił parę razy z nogi na nogę, z rękami w kieszeniach. - Ja... Nieważne. Nic.

- Nic? - powtórzył Neil.

- Nic - potwierdził Apollo.

- Dowiedziałeś się o mój adres i przejechałeś całą drogę do Hackney po nic?

- Zgadza się.

- No to do widzenia. - Neil chciał zamknąć drzwi.

- Poczekaj! - zaprotestował Apollo. Popatrzył Neilowi prosto w oczy, jak przedtem Artemida. - Muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

Neil się zawahał. Próbował odwrócić wzrok, ale nie potrafił.

- Jasne. - Usłyszał, jak wypowiada słowa, które pozostawały w oczywistej i bezpośredniej sprzeczności z jego wolą.

Zamiast zamknąć drzwi, otworzył szerzej, i Apollo podążył za nim korytarzem i wszedł do mieszkania. Neil zamknął drzwi.

- Chodź - powiedział. - Nie wiem jak tobie, ale mnie dobrze zrobi piwo.

Wszedł do kuchni, zastanawiając się, co też do cholery wyprawia. Za nim Apollo, trochę nerwowo, paplał grzecznie na temat mieszkania.

- Bardzo przytulne - usłyszał Neil. - Podoba mi się twój dywan.

Neil nie mógł wyprzeć z myśli obrazu Alice całującej Apolla. Dlaczego to zrobiła? Apollo jest oczywiście znacznie przystojniejszy niż Neil. Ale Artemida powiedziała, że Alice nie była zainteresowana, że Apollo ma „dar przekonywania”. Dlaczego jednak miałby wierzyć w cokolwiek, co powiedziała ta obłąkana kobieta, to już inna kwestia. Chociaż musiał przyznać, że Apollo chyba rzeczywiście ma dar przekonywania, bo sam właśnie otworzył lodówkę i zaproponował swojemu wrogowi numer jeden piwo.

- Nie, dziękuję - powiedział Apollo.

Neil wyjął z lodówki butelkę dla siebie i obaj usiedli przy stole kuchennym.

- A więc - odezwał się Neil. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Apollo nie odpowiedział. Zaczął natomiast rozglądać się, jakby szukał luku bezpieczeństwa.

- Jeśli wolisz sobie pójść, to nikt cię nie zatrzymuje - zapewnił go Neil.

- Nie, w porządku - odparł Apollo. - Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Apollo, który w progu przypatrywał się Neilowi tak intensywnie, teraz patrzył wszędzie, tylko nie na niego. Założył nogę na nogę i zaczął histerycznie wymachiwać zwisającą stopą.

- Ładne to mieszkanie - powiedział.

- Tak, już mówiłeś.

- Ładna kuchnia, bardzo czysta. Och. Nie licząc brudnych ubrań.

- Dzięki - skwitował Neil.

Myślał, że jeśli jeszcze kiedyś znajdzie się w jednym pomieszczeniu z Apollem, nie zdoła opanować zapiekłej wściekłości i nie obejdzie się bez przelewu krwi. A teraz siedział spokojnie i patrzył, jak jego gościa ogarniają kolejne fale niepokoju.

- Cóż - odezwał się w końcu - miło cię było znów zobaczyć, ale mam coś niecoś do zrobienia, więc...

- Bardzomiprzykro - powiedział Apollo.

- Co takiego?

Apollo nabrał dużo powietrza, jakby miał zdmuchnąć świeczki na torcie urodzinowym krewniaka w niezwykle zaawansowanym wieku.

- Bardzo. Mi. Przykro.

- Jest ci przykro - powiedział Neil. Apollo uśmiechnął się słabo.

- Tak? - zaryzykował.

- A z jakiego konkretnie powodu jest ci przykro?

- Och - odparł Apollo. - Trzeba mieć powód?

- Na ogół tak.

Neil patrzył, jak Apollo wierci się na krześle.

- No to masz: przykro mi, że Alice nie żyje.

- Przykro ci, że Alice nie żyje? - zapytał Neil. - Cóż, mnie również. Jest mi bardzo przykro, że Alice nie żyje.

Apollo skinął głową.

- Wybaczam ci - powiedział.

- Ty mi... ty mi co?

- Wybaczam ci - powtórzył Apollo. - Wybaczam ci śmierć Alice.

- Ty mi wybaczasz? To bardzo miło z twojej strony, ale ja nie potrzebuję wybaczenia. Ja jej nie zabiłem. A nawet gdybym to zrobił, nie ty miałbyś mi wybacząć.

- Przecież powiedziałeś, że jest ci przykro.
- Chodziło mi o inne przykro.
- To jest więcej niż jedno?
- Nie jestem twoim nauczycielem. Apollo, co ty tu robisz?
- Przyszedłem powiedzieć, że jest mi przykro.
- No i już powiedziałeś.
- Ale myślę, że mogło to być niewłaściwe przykro.
- No to spróbuj jeszcze raz. A potem, proszę, idź sobie. Neil patrzył, jak Apollo z widocznym wysiłkiem zbiera myśli. W żadnej wypełnionej złością fantazji z udziałem Apolla, w żadnej wypełnionej zazdrością godzinie, w której wyobrażał sobie Apolla i Alice podczas stosunku, w całym poczuciu niższości, kiedy porównywał swoją nijakość ze wspaniałym pięknym rywala, nigdy nie przyszło mu do głowy, że Apollo może być głupi.
- Pocałowałem Alice - powiedział w końcu Apollo.
- Wiem - odparł Neil.
- Wiesz? Naprawdę? Cóż, jest mi z tego powodu przykro. Nie, nie jest. Wcale nie jest mi przykro. To była jedna z najwspanialszych chwil w moim życiu, a mam z czego wybierać. Więc nie jest mi przykro, że ją pocałowałem. Kochałem ją. I wiem, że ty też ją kochałeś, ale - i mam nadzieję, że nie będziesz mi miał za złe, że zwracam ci na to uwagę - jestem dwa razy lepszy od ciebie. Więcej niż dwa. Jestem nieskończoną liczbę razy lepszy.
- Dlaczego niby miałbym mieć ci to za złe?
- No właśnie. To oczywiste dla nas obu. Było to więc najzupełniej uzasadnione, że postanowiłem uznać ją za swoją. - Wbić w nią swoją flagę, że tak powiem.
- Nie powinienes się tym przejmować.
- Powiedz mi coś, Apollo. Czy Alice podobało się, że ją całujesz?

Apollo przygryzł wargę, zastanawiając się nad tym.

- Podobało jej się - odparł. - Tylko nie wiedziała, że jej się podoba.

- W takim razie uważam, że powinno ci być przykro - powiedział Neil. - Ale przepraszasz niewłaściwą osobę.

- A kogo powinienem przeprosić?

- Alice.

- Ale Alice nie żyje - powiedział Apollo.

- Tak - odparł Neil. - Wiem.

- I już za to przeprosiłem, więc nie wiem, czego jeszcze ode mnie chcesz.

- Niczego od ciebie nie chcę. Chcę tylko, żebyś sobie poszedł.

Apollo się nie ruszył.

- Rzecz w tym, że nie lubię, kiedy ktoś mnie odtrąca - powiedział.

- Ja cię nie odtrącam. Proszę, wracaj do domu.

- Nie mówię o tobie - powiedział Apollo. - Mówię o Alice. I zazwyczaj gdyby ktoś taki mnie odtrącił, z miejsca bym się na nim wyżył, i gdybym mógł ją skrzywdzić, wszystko by było w porządku...

- Nie, nie byłoby.

- ...Ale nie mogłem - ciągnął Apollo - przez Artemidę...

- Co Artemida ma z tym wspólnego?

- Zmusiła mnie, bym złożył przysięgę, że nie skrzywdzę żadnego śmie... - Zamilkł w pół słowa.

- Żadnego śmie...?

- Żadnego śmieciarza ani innego człowieka. Już nigdy.

- To znaczy, że w przeszłości skrzywdziłeś wielu śmieciarzy?

- Och, tak, nie tylko śmieciarzy. Ale większość na to zasługiwała.

- Ach, no to w porządku - stwierdził Neil.

- Ale ponieważ nie mogłem od razu ukarać Alice, cała sprawa wymknęła się trochę spod kontroli. W gruncie rzeczy nie chciałem, żeby Alice umarła. To znaczy chciałem, ale tylko dlatego, że miałem kaca i byłem zły. Gdybym mógł ukarać ją od razu, nie upiłbym się. I nie byłbym taki zły. A ona by nie umarła. To wszystko wina Artemidy.

Neil nagle uświadomił sobie, że musi jak najszybciej pozbyć się Apolla, bo zaraz się rozpłaczę, a nie ma mowy, żeby płakał na jego oczach.

- Słuchaj - powiedział - miło z twojej strony, że wpadłeś. Ale ty nie zabiłeś Alice. Uderzył w nią piorun. To był okropny wypadek. I nie chcę tu siedzieć i rozmawiać o tym z tobą. Więc jeśli nie masz nic przeciwko, poproszę cię jeszcze raz. Proszę, idź sobie.

- Nie. Nie rozumiesz - upierał się Apollo. - Wiem, że uderzył w nią piorun. To był mój pomysł.

- To nie mógł być twój pomysł. Piorun to nie pomysł. I nie ty sprawiłeś, że wyszliśmy akurat wtedy. To nie przez ciebie stała... tam...

- On by ją znalazł, gdziekolwiek by była. Znalazłby ją wewnątrz podbitej ołowiem piłki tenisowej. Nie było dla niej nadziei.

- On? - zapytał wbrew sobie Neil.

- Zeus. Naprawdę mi przykro, Neil.

Zeus. To samo powiedziała Artemida. Pomyślał o zdjęciu w gazecie i twarzy mężczyzny na niebie. Ale to nie mogła być prawda. Nie-możliwe, żeby to była prawda. Gdyby to była prawda, musiałby przemyśleć od nowa całe swoje życie, a nie zamierzał tego robić, ponieważ już raz musiał to zrobić, kiedy Alice umarła, i nie był gotowy, żeby zrobić to ponownie, zwłaszcza kiedy żąda tego akurat Apollo.

Apollo! I nagle cała złość, którą w sobie tłumił, przedarła się przez wszystkie tamy i załała go.

- Jest ci przykro - powiedział. - Jest ci PRZYKRO?

Nagle poczuł się tak, jakby ktoś go naelektryzował, jakby każdy atom jego ciała został niespodziewanie obudzony. Zerwał się na równe nogi. Apollo się skulił, a jego twarz przybrała wyraz podobny temu, który musiał malować się na twarzy Czerwonego Kapturka, kiedy wilk wyskoczył ze stroju babci. Neila ogarnęło nieznane mu dotąd uczucie - poczuł, że ma władzę. To dało mu kopa jak narkotyk.

- Nie zabiłeś Alice - powiedział. - Nie zabiłeś jej! Masz urojenia! Myślisz, że władasz piorunami, powinni cię zamknąć w psychiatryku! A potem przychodzisz tutaj, do mojego domu, gdzie ja ją oplakuję, i mówisz mi, że jest ci przykro, jakby mnie to, kurwa, obchodziło, jakby to miało coś zmienić, jakby to miało przywrócić jej życie!

- Ale - wyjąkał Apollo - myślałem, że mi wybaczysz. Myślałem, że poczuję się lepiej. Tak mówił Eros. Myślałem, że tak się to załatwia.

- Nie, tego się tak nie załatwia!

Apollo niemal się skurczył, jego dumne ciało wojownika zwinęło się, i zaczął kwilić jak nieśmiały uczeń w obliczu dyrektora.

- Nie przepraszamy dlatego, że czujemy się winni i chcemy pozbyć się tego uczucia - kontynuował Neil.

- Nie? - zdziwił się Apollo.

- Nie. Przepraszamy, bo czujemy się winni, a to uczucie mówi nam, że zrobiliśmy coś złego. I chcemy naprawić wyrządzone krzywdy. Nie przepraszamy, żeby się lepiej poczuć. Przepraszamy, bo chcemy, żeby ta druga osoba poczuła się lepiej.

- Ale czemu miałbym chcieć, żebyś poczuł się lepiej? - zapytał

Apollo. Zaczął się rozprostowywać. - Guzik mnie obchodzi, jak się czujesz.

- Tak, już do tego doszedłem.
- Obchodzi mnie, jak ja się czuję...

Teraz Apollo wstał, ale Neil się nie bał. Posmakował mocy i nie zamierzał zrezygnować z niej tak łatwo.

- Musisz mi wybaczyć - oświadczył Apollo.
- Wybaczyć ci? Jeszcze czego.
- Chyba nie rozumiesz. Żądam, żebyś mi wybaczył.
- Nie.

Apollo zrobił wymach, jakby chciał uderzyć Neila, ale zatoczył się do tyłu, jakby to on dostał.

- Wybacz mi natychmiast! Rozkazuję ci! - krzyknął, odzyskawszy równowagę.

- Nie możesz mi rozkazywać w żadnej kwestii! - odpowiedział krzykiem Neil. - Za kogo ty się, kurwa, masz?

- Mam się za twego pana, Apollina, boga słońca - wypalił Apollo.
- Boga mojej dupy - odparł Neil.
- Ach tak? No to popatrz.

Apollo pomaszerował do okna i utkwivszy oczy w twarzy Neila, teatralnym gestem, niczym impresario gotowy zaprezentować swój nowy ekscytujący numer, wskazał na niebo.

W ułamku sekundy Apollo padł na ziemię. I jednocześnie zgasło słońce.

30

Kiedy to się stało, Artemida była w Heath. Mimo że czuła każde poruszenie księżyca, jakby były połączone pępowiną, przez jedną szaloną sekundę miała nadzieję, że to całkowite zaćmienie słońca,

ale już wiedziała - przerażenie ścisnęło jej żołądek - że coś potwornego musiało się stać z Apollinem. Dzień zamienił się w noc. Na pewno ptaki wracają do gniazd, a nocne stworzenia wynurzają się ze swoich legowisk. W całym parku słychać było krzyki śmiertelników. Ktoś będzie musiał doprowadzić ich do domów, gdyż, mniej sprawni od ptaków, sami nie odnajdą drogi. Ale ona nie miała czasu, żeby im pomagać. Niezrażona ciemnością, odwróciła się i pobiegła prosto do domu, z taką szybkością i łatwością, jakby słońce świeciło w najwyższym punkcie swojej trajektorii.

Na progu spotkała Afrodytę, która po raz pierwszy od wielu dzieścioleci przemówiła do niej tonem nieskazanym wyniosłością.

- Nic ci nie jest? Co się dzieje? Co się stało z Apollinem?

Artemida pokręciła głową.

- Nie wiem - odrzekła.

Weszły do środka. Z góry dochodził tupot stóp i trzaskanie drzwiami - bez wątplenia ktoś szukał Apollina we wszystkich pomieszczeniach. Hermes stał w przedpokoju, z komórką w ręku.

- Nie mogę go znaleźć - powiedział. - Nie czuję go.

Przyznanie się do tego było dla Hermesa bolesne, gdyż zazwyczaj potrafił w kilka sekund zlokalizować każdego boga, na ziemi i w niebiosach.

- Musimy coś zrobić - oświadczyła Afrodyta.

Artemida była tak zmartwiona, że nawet nie wytknęła jej, iż stwierdza oczywistość.

- Ta planeta nie wytrwa długo bez słońca - powiedziała - ale tą mocą, która nam została, zapewne zdołamy utrzymać ją przy życiu jeszcze przez pewien czas, przynajmniej tak długo, by ustalić, co się

stało z Apollinem. I czy możemy mu jakoś pomóc.

Wszyscy zamyślili się nad mrocznymi implikacjami tego „czy”.

- Tyle że to pochłonie całą naszą moc - ciągnęła Artemida. - A kiedy ona się wyczerpie...

Ares zbiegł po schodach jak burza.

- Widzieliście go? - zapytał. Obie boginie pokręciły głowami. - A co z resztą?

- Wszyscy są w drodze - powiedział Hermes. - Prócz Hadesa i Persefony.

- Persefona powinna już tu być - mruknęła Afrodyta.

- Może powinniśmy zostawić ich w spokoju - stwierdził Hermes. - Kto wie, ile mamy czasu, zanim śmiertelnicy zaczną umierać.

- Jak tam pływamy? - zapytała Artemida.

- Według Posejдона jak na razie bez zmian - odparł Hermes.

- Księżyc zrobi co w jej mocy - powiedziała Artemida - ale bez słońca nie da ciepła ani światła.

- Może przyciągnęlibyśmy bliżej jakąś gwiazdę? - zasugerował Ares.

- Mamy dość mocy? - zapytała Afrodyta. - Nawet gdybyśmy połączyli siły, może ich nie starczyć. A co, jeśli ujdzie z nas para? Wtedy wszyscy będziemy...

- Hesperos i Fosforos zaraz tu będą - wtrącił Hermes. - Możemy z nimi o tym pomówić, zobaczymy, co się da zrobić.

- A co z Zeusem? - zapytała Artemida.

Tego pytania nie trzeba było rozwijać.

- Eros jest na górze, rozmawia z Herą - odparł Ares. - Ma się dowiedzieć, czy według niej warto zaryzykować i wypuścić go.

Zadzwoniła komórka Afrodyty, przesywając zbiorowy niepokój radosną brzękliwą melodią. Afrodyta wyciągnęła telefon z torebki.

- Apollo? - przez kilka sekund słuchała odpowiedzi. - Użyj swojej wyobraźni, ty sflaczały kutasie, jestem zajęta - warknęła i wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

- Rozumiem, że to nie on - powiedziała Artemida.

- Śmiertelnicy! - warknęła Afrodyta. - Nawet mnie nie w głowie seks w takiej chwili.

- Czy powinniśmy wszyscy udać się na poszukiwania, czy lepiej zostać tutaj? - zastanawiał się głośno Ares.

- Nie wiem - odpowiedział mu Hermes. - Nie wiem, gdzie was wysłać. Nie mam pojęcia, gdzie on może być. - Kiedy Hermes przyznawał się do porażki, jego głos brzmiał niemal płacząco. - Rozmawiałem z Dionizosem i Apollina tam nie było. Dionizos w ogóle nie wiedział, że coś się dzieje. Ten jego klub nie ma okien.

- Gdzie jest teraz Dion? - zapytała Artemida.

- Zamyka lokal i zaraz wraca. Nawet on zdawał się dość zmartwiony, kiedy wyjaśniłem mu, co zaszło. Niewykluczone, że Apollo jest w Hackney. Pytał o adres jednego śmiertelnika...

- A może nie powinniśmy aż tak się martwić - powiedziała Afrodyta. - Może należy po prostu pozwolić, by to się stało.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Jej doskonała twarz miała zimny wyraz.

- Poddać się - ciągnęła - pozwolić planecie umrzeć. Oszczędzić moc, a potem spróbować stworzyć coś nowego, gdzieś indziej. W jakimś lepszym miejscu. Nie macie dość? Ja mam.

Przez kilka chwil wszyscy stali w ciszy, przyswajając tę sugestię.

Tylko bogini tak samolubna jak Afrodyta mogła wpaść na taki pomysł, pomyślała Artemida, a jednak nie mogła zaprzeczyć, że ma on pewien sens.

- I tak może do tego dojść - powiedział w końcu Ares. - Nawet jeśli zdołamy utrzymać śmiertelników przy życiu bez słońca, oni prawdopodobnie i tak się pozabijają. Ludzie nie lubią zmian, robią się wtedy nerwowi.

- To spora zmiana - przyznała Artemida.

- Ale nie wiemy, czy staniemy się silniejsi, czekając i nic nie robiąc - powiedział Hermes - czy też bez świata osłabniemy zupełnie i... - nie powiedział „umrzemy”, ale wszyscy o tym pomyśleli.

- Powinniśmy przedyskutować to z Ateną - stwierdziła Artemida.
- Gdzie ona jest?

- Na górze z Demeter, próbuje wyciągnąć ją z łóżka - powiedział Hermes. - Jeśli mamy utrzymywać przy życiu śmiertelników, Demeter będzie miała dużo pracy. Rośliny bez niej nie przetrwają. A co oni będą wtedy jedli?

Rozmowę znów przerwał dźwięk telefonu, tym razem Hermesa.

- To on? - zapytał Ares.

Hermes pokręcił głową i podał komórkę Artemidzie.

- Do ciebie - powiedział.

Artemida przyłożyła telefon do ucha.

- Halo? - powiedziała.

- Dobra, wierzę ci - powiedział głos po drugiej stronie. Słyszając to, Artemida doznała dziwnego uczucia, jakby przez jej ciało przepłynęła spiętrzona fala nowej siły.

- Czy to Neil? - zapytała.

- Tak, to ja - odparł Neil - a ty lepiej przyjedź tu szybko. Mam na podłodze w kuchni nieprzytomnego boga i myślę, że zaraz nastąpi koniec świata.

Artemida biegła całą drogę do Hackney. Temperatura szybko się obniżała i chodniki zaczynały pokrywać się lodem. Ulice były zablokowane przez samochody, jako że śmiertelnicy śpieszyli się do domów, a może niektórzy już uciekali - chociaż Artemida nie mogła sobie wyobrazić dokąd. Sklepikarze zamykali sklepy, zatrzaskiwali drzwi i opuszczali żaluzje; ci, którzy nie mają krat, zabijali okna deskami, w obawie przed szabrem. Artemida pomyślała o tym, co powiedział Ares, że kataklizm wyzwala w ludziach najgorsze instynkty, że zaczną się nawzajem zabijać, jeśli bogowie nie zadziałają szybko. Ale rozumiała ich: mają ograniczony wybór. Przywodziło jej to na myśl zwierzę osaczone podczas polowania, jak odwraca się i walczy, nie zważając na nikłe szanse. Przetrawanie za wszelką cenę.

Przy swoim wrodzonym zmyśle orientacji Artemida nie potrzebowała dużo czasu, by znaleźć adres, który podał jej Neil. Był to mały segment przy łukowatej bocznej ulicy. W ciemnościach wyglądała na brudną i opuszczoną. Na jej końcu Artemida zobaczyła wężącego przy śmietnikach lisa, który, zdezorientowany, uznał, że to noc. Nie miała jednak ochoty go ścigać. Zgodnie z instrukcją przycisnęła środkowy z trzech dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły i ukazał się Neil - rozczochrany i rozmamłany. Na ubranie narzucił szlafrok, który miał go chronić przed narastającym zimnem. Widok tego śmiertelnika wyzwolił w Artemidzie niespodziewaną energię.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedział Neil bez wstępu - ale wiem, że mówiłaś prawdę.

- Gdzie on jest? - zapytała.

- W kuchni. Biorąc wszystko pod uwagę, uznałem, że lepiej będzie trzymać go z dala od szpitala.

- Żyje jeszcze?

- To bóg może umrzeć?

- Czasem - przyznała Artemida.

- Nie sprawdzałem, myślałem, że na pewno żyje, i mam nadzieję, że tak jest.

Artemida podążyła za Neilem korytarzem i weszła do mieszkania.

- Co się stało? - zapytała.

Neil wyjaśnił jej, że Apollo przyszedł, żeby przeprosić, pokłócili się, i wyglądało na to, że Apollo wyłączył słońce, chyba chcąc się zemścić na Neilu za to, że mu nie wierzy. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego Apollo stracił przytomność.

- Może zużył przy tym zbyt wiele mocy - powiedziała Artemida, kiedy zbliżali się do bezbronnej postaci, leżącej na kafelkach w dziwnej pozycji.

- To bogowie nie mają nieograniczonej mocy?

Artemida nie chciała odpowiadać na to pytanie.

- Niestety, nie - wyznała jednak w końcu. - Ale nie mów nikomu. Powierzam ci tę wiedzę tylko dlatego, że to stan wyjątkowy.

Neil zerknął na ciemność za oknem.

- Nikomu nie powiem - zapewnił.

- Druga możliwość jest taka, że Styks ukarała go za zgaszenie słońca, z powodu potwornej szkody, jaką to wyrządziłoby ludzkości. Przysiągł na nią, że nigdy nie skrzywdzi śmiertelnika, a ona źle znosi, kiedy ktoś łamie przysięgę złożoną na jej imię. Jeśli to Styks, to będzie nieprzytomny przez dziewięć lat, to jej standardowa taryfa. A my nie utrzymamy świata przy życiu bez słońca przez dziewięć lat.

- Kto to jest Styks?
- To rzeka w świecie podziemnym.
- Rzeka mogła zrobić coś takiego?
- To nie jakaś tam stara rzeczulka.

Stanąwszy nad Apollinem, Artemida zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby go ocucić.

- Czy on tak upadł? - zapytała.

- Nie, ułożyłem go w pozycji bezpiecznej - odparł Neil. - Nie wiedziałem, czy to pomoże, ale uznałem, że nie zaszkodzi.

Artemida ukłękła przy bracie. Leżał częściowo odwrócony na bok, a jego arogancka twarz była pozbawiona koloru i martwa. Poczula, że gardło zaciska jej się jak pięść, nie pozwalając się wyrwać szlochowi. Wyglądał tak bezbrinnie. To najgorsze, co może spotkać boga. Krzyknęła mu do ucha, podniosła i puściła rękę i wymierzyła mu parę policzków, trzeba przyznać, nie bez przyjemności.

- No i? - zapytał Neil.

- Cóż, niewątpliwie żyje - westchnęła Artemida.

- To niedobrze? - drążył Neil.

- Nie jestem pewna - odparła Artemida. - Gdyby był martwy, moglibyśmy pójść do Podziemia i sprowadzić jego duszę z powrotem, co może byłoby prostsze niż obudzenie go ze śpiączki. Ale nie wiem, czy to by coś dało, czy miałby jeszcze jakąś moc i czy byłby w stanie jej użyć. Nie wiem, co się dzieje z mocą boga, kiedy ten umiera, nie mogę go też zabić tylko po to, żeby się przekonać. Jako że jest żywy, proponuję, byśmy to tak zostawili. Musimy znaleźć sposób, by go obudzić.

- To znaczy, że ty nie możesz go obudzić, tak? - dociekał Neil.

- To wymaga ogromnej mocy - wyjaśniła Artemida. - Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli do pomocy boga uzdrawiania.

- A kto to?

- Apollo.

- Och.

Artemida usiadła na piętach.

- Ułóżmy go chociaż wygodnie - powiedziała. - Nie wydaje mi się, żeby ta twoja pozycja bezpieczna miała zapewnić mu bezpieczeństwo. Czemu tak ją nazywacie?

Wzięła Apollina na ręce jak niemowlę.

- Masz łóżko albo kanapę, gdzie mogłabym go położyć?

- Tędy. - Neil poprowadził ją do pokoju dziennego. - Powiedz mi - odezwał się, kiedy szli - ilu was jest?

- Znacznie więcej, niżbyś się spodziewał - odparła Artemida. - Najważniejsi bogowie mieszkają tu, w Londynie, ale jest wielu innych, rozrzuconych po całym świecie, incognito. Wszystko ma swojego boga, jest bóg czasu, bóg snu, bóg zemsty...

- Jeśli zbierzecie się razem, to na pewno zdołacie go ocucić - wyraził nadzieję Neil.

Artemida pokręciła głową.

- Niestety, to nie takie proste. Siły witalne boga to największa istniejąca siła. Ocucenie Apollina będzie więc wymagało od nas potężnego wkładu naszej własnej mocy. A my staliśmy się...

Zawahała się, ale zupełna ciemność na zewnątrz zachęciła ją, by mówiła dalej. W razie potrzeby zawsze może później wymazać mu to z pamięci.

- Z upływem czasu staliśmy się bardzo słabi - wyznała z trudem. - Większości bogów zostało tylko absolutne minimum mocy - tyle, by mogli pełnić swoją funkcję, ani odrobinę więcej. Niektórzy nie mają

nawet tego. Gdyby więc na przykład Posejdon miał użyć swojej mocy, by obudzić Apollina, pewnie by pomógł, ale morza mogłyby wyschnąć. Prawdopodobnie wspólnymi siłami udałoby nam się go obudzić, ale przy naszej obecnej kondycji wyrządzilibyśmy sobie taką krzywdę, że zabrakłoby nam siły, by napędzać dalej świat. Odzyskaliście słońce, ale stracili wszystko inne.

- To nie najlepsze rozwiązanie - stwierdził Neil.

- No a jeśli to sprawka Styks, i tak nie zdołamy tego odwrócić, bez względu na ilość włożonej mocy. Bóg nie może odwrócić tego, co uczynił inny bóg. Dlatego sami nie przywrócimy słońca, nawet gdybyśmy mieli dość siły, w co wątpię.

- No to co zrobimy? - zapytał Neil.

- My?

Neil skinął głową. Artemida spojrzała na brata bliźniaka, milczącego i nieruchomego, bezsilnego we śnie. Teraz, kiedy mogła go stracić, obudził w niej więcej miłości i instynktu opiekuńczego niż kiedykolwiek w ich długiej wspólnej przeszłości.

- Myślę, że należy przede wszystkim udać się do Podziemia, odszukać Styks i ustalić, czy ona ma z tym coś wspólnego i czy może to jakoś odwrócić - powiedziała. - A jeśli to nie ona, może kiedy tam będę, uda mi się przekonać Hadesa i Persefonę, żeby pomogli nam w podtrzymywaniu świata przy życiu, dopóki czegoś nie wymyślimy.

- Czy to nie zajmie zbyt dużo czasu? - zapytał Neil, trzęsąc się pod szlafrokiem.

Artemida pokręciła głową.

- W czasie zmarłych nie - powiedziała.

Perspektywa udania się do świata podziemnego nie niepokoiła Neila tak bardzo jak konieczność pozostawienia swojego ciała w mieszkaniu. Artemida wyjaśniła, że mogłby zabrać je ze sobą, ale wtedy pozostałby w czasie żywych, a nie stać ich na ten luksus. Apollo wciąż leżał na kanapie, okryty kocem, który miał go chronić przed nasilającym się zimnem. Neil położył się więc do łóżka, a wtedy jego dusza, z pomocą Artemidy, wydostała się z ciała.

- To było łatwiejsze, niż myślałam - stwierdziła Artemida. - Dziwne, zazwyczaj czuję się wykończona czymś takim, a teraz, prawdę mówiąc, jestem dość ożywiona.

- To było łatwiejsze, niż ja myślałem - powiedział Neil i rzucił okiem na swoje ciało w pościeli. - Szkoda, że nie zamknąłem oczu.

- Nikt cię nie zobaczy, chyba że Apollo się obudzi, ale wątpię, żeby go to cokolwiek obeszło - zapewniła Artemida.

- Mimo wszystko - powiedział Neil.

- Chodź, musimy już iść - ponagliła go Artemida.

Kiedy wychodzili, Neil spojrzął ostatni raz na swoje ciało, leżące nieruchomo jak kawałek asfaltu.

- Mam nadzieję, że pod naszą nieobecność szabrownicy nie podpalały mi domu - zauważył.

- Nic byś nie poczuł. I byłbyś od razu w świecie podziemnym, co zaoszczędziłoby ci kłopotów związanych z podróżą.

- Dzięki - powiedział Neil. - To bardzo pocieszające.

- Proszę bardzo - odparła Artemida.

Bez trudu wyszli przez drzwi frontowe, nie używając kluczy, choć Neilowi wydało się to jakies niewłaściwe. Ale dzięki temu pozostały

zamknięte. Zresztą, pomyślał Neil, gdyby jakiś szabrownik wszedł do środka, prawdopodobnie przeżyłby największy szok swojego życia, znalazłszy tam dwóch mężczyzn w śpiączce. Chyba drugi największy szok po tym, jak zgasło słońce.

- Jak dostaniemy się do świata podziemnego? - zapytał Neil.
- W Islington jest portal.
- Gdzie? W Islington?
- Tak.
- W ISLINGTON?!

Artemida nie wdawała się w żadne wyjaśnienia i szła dalej.

Ulice pokryte były lodem. Neil bez trudu radził sobie ze śliską powierzchnią, obojętny na zimno. Kiedy wyciągnął szyję, żeby spojrzeć po raz ostatni na znikający dom, w którym pozostało jego ciało, zastanawiał się, czy tak czuje się matka, kiedy odbierze się jej dziecko. Jedną część jego świadomości próbowała desperacko nawiązać kontakt z ciałem, ale więź między nimi została całkowicie zerwana. To zabawne, kiedy miał jeszcze cielesną postać, uważał, że jego umysł i ciało są całkiem odrębne, ale teraz, kiedy zostawiał ciało za sobą, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo, by tak rzec, jest do niego przywiązany. Poza ciałem - miał uczucie, że jest nierzeczywisty: właściwie nie czuł nic. Jego doznania stały się płytkie, polegał tylko na reakcjach swojego umysłu. I nie zdawał sobie sprawy, w jakim stopniu to właśnie jego ciało tęskniło za Alice. Oczywiście jego umysł też za nią tęsknił. Ale ciało to odczuwało. Żal był jak choroba, wywoływał autentyczny ból w sercu, w brzuchu, w nogach. Gorączka, zawroty głowy, osłabienie: to wszystko elementy skomplikowanej mozaiki cierpienia, którą nosił ze sobą wszędzie od jej śmierci; a teraz i to go

opuściło. Tęsknił za nią; ale teraz tęsknił również za tą tęsknotą.

Neil udawał się do świata podziemnego, by ocalić planetę. To wystarczająco absurdalne; jak historia z książek, które czyta, i filmów, które kocha, cała ta fantastyka naukowa - z naciskiem na fantastykę. Ale w głębi duszy wiedział, że idzie tam też, by uratować Alice, a to wydawało mu się jeszcze bardziej niedorzeczne. Ile razy już ją zawiódł? Skąd pomysł, że tym razem będzie inaczej? Ale wiedział, że musi znowu spróbować. Wiedział to od chwili, kiedy zapłonął wiarą i podniósł słuchawkę, by zadzwonić do Hermesa: wiedział, że jeśli uda mu się zwrócić ludzkości Apolla i słońce, w nagrodę Artemida pomoże mu odzyskać Alice. Gdyby nie znalazł Alice w Podziemiu, to i tak zrobi wszystko, co w jego mocy, by ocalić świat - taki już z niego altruista - ale to byłoby coś jak dobry uczynek zucha, spełnienie obowiązku moralnego. Bez Alice dla niego świat już się skończył.

Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że, pogrążony w myślach, został w tyle za Artemidą, i ruszył truchtem, by się z nią zrównać; zwiększył tempo bez najmniejszego trudu. Jezdnie wciąż były zakorkowane przez samochody uciekające nie wiadomo dokąd, ale lodowate chodniki były opustoszałe, z wyjątkiem okolic kościoła przed nimi, który, jak się zdawało, był pełny, a jeszcze więcej ludzi stało na dziedzińcu, żądając głośno, by ich wpuszczono. Kiedy Neil i Artemida znaleźli się bliżej, usłyszeli szlochy, śpiewy i dochodzące ze środka modlitwy wypowiedane do mikrofonu.

- To im w niczym nie pomoże - skomentowała Artemida. - Lepiej by zrobili, gdyby zostali w domach i zdecydowali, który mebel chcieliby spalić jako pierwszy.

- Oni tego nie wiedzą - zaprotestował Neil, zaskoczony, że broni zinstytucjonalizowanej religii. - Nie wiedzą, w jakiego boga mają wierzyć. A tu chyba odczuwają jakąś ulgę.

- Pod dużą kołdrą odczuliby większą.

- Czy to był dowcip? - zapytał Neil.

Artemida uśmiechnęła się do niego przelotnie.

- Może - odparła.

- Wiesz - powiedział Neil - do dzisiaj byłem ateistą. Nie byłem nawet anglikaninem. Myślałem, że jestem lepszy od tych, którzy wierzą w takie różne pierdoły. Nie mówię tylko o religii, ale też o jasnowidzach i duchach, i tym wszystkim, z czego permanentnie i z przyjemnością się wyśmiewałem.

- No i? - zapytała Artemida.

- Teraz zaczynam się czuć trochę winny z tego powodu.

- Czemu miałbyś w to wierzyć? Mam równie pogardliwy stosunek do tych wszystkich religii jak ty. A nawet bardziej. W końcu gdyby nie Jezus, wciąż pewnie mieszkałabym na Olimpie, biegałabym po wzgórzach z moimi pięknymi psami. Szczerze mówiąc, szanuję cię bardziej za to, że nie kupiłeś żadnego z tych współczesnych przesądów.

- Dzięki - odparł Neil.

- Choć oczywiście część z nich jest prawdziwa.

- Tak? Co na przykład?

- Wokół jest pełno duchów. To nie znaczy, że śmiertelnicy mogą je zobaczyć, a nawet gdyby mogli, wątpię, czy by je zauważyli. Ale znaczy, że medium w telewizji naprawdę na ogół rozmawia ze zmarłymi. To właściwie jedyni ludzie, którzy ich słuchają. Duchy wiecznie narzekają. Na mnie osobiście nie robi to wrażenia. Nie ma wielkiej różnicy między rozmową z martwym i żywym śmiertelnikiem.

Neil nie od razu przyswoił tę nową, nieco przykrą wiedzę.

- Czy w takim razie koty rzeczywiście widzą duchy? - zapytał.
- Och nie. Koty to stworzenia bardzo niskiego rzędu.

Wtedy Neilowi przyszła do głowy myśl, która omal nie zatrzymała go w miejscu.

- A Apollo, czy on naprawdę potrafi przepowiadać przyszłość?
- Kiedyś potrafił - powiedziała Artemida. - Nie jestem pewna, w jakim stopniu zachował tę zdolność.

- No to jestem mu winien przeprosiny - stwierdził Neil.

- Nie wydaje mi się - odparła Artemida. - Przecież próbował uwieść kobietę, którą kochasz. I zabił ją. Ten bóg ma moralność królika.

To przypomnienie go zabolalo, ale Neil nie mógł się powstrzymać od uśmiechu wywołanego świętoszkowatością jej tonu. Naprawdę coraz bardziej ją lubił.

Kiedy dotarli na Upper Street, ulica była pusta, nie licząc kilku gangów młodzieńców w głębokich kapturach, które miały nie tyle ukrywać ich twarze, ile chronić przed zimnem; szukali jakiegoś sklepu, który można by splądrować. Stacja metra Angel była zamknięta. Wejście zagradzały złowrogie kraty, niczym zaciśnięte zęby.

- Tędy - powiedziała Artemida, wchodząc do środka.

- Na stację?

- Hermes mówi, że na dole za ścianą znajduje się tajemny peron, z którego odjeżdża pociąg do świata podziemnego.

- Jak to „Hermes mówi”? Nigdy tam nie byłaś?

- Oczywiście, że nie.

Neil zatrzymał się w połowie przejścia przez kratę.

- Jeśli nie znasz drogi, to dlaczego ty mnie tam prowadzisz? Dlaczego nie Hermes?

- Hermes też nigdy tam nie był. On tylko doprowadza zmarłych do tego miejsca. Żadne z nas nie powinno schodzić do Podziemia, gdyż to zaburzyłoby granicę między żyjącymi a umarłymi, i ponoć ciągle sprowadzalibyśmy z powrotem śmiertelników, których lubimy. Zapanowałby chaos. Hades i Persefona mówią, że nie można nam ufać.

- A można?

- Oczywiście, że nie. Tak więc poza nimi był tam tylko Dionizos, a nie polecałabym go jako towarzysza w jakiegokolwiek podróży - zaraz by się upił i zapomniał, dokąd zmierza. Takie zachowanie przystoi podczas tego, co wy, śmiertelnicy, nazywacie weekendem kawalerskim, ale niekoniecznie, gdy chodzi o ratowanie świata. No to jak, idziesz?

Neil westchnął.

- Tak, oczywiście, że tak.

Zakradli się do holu wejściowego. Panowała tu zupełna ciemność i absolutna cisza. Neil trzymał się blisko Artemidy, bojąc się, że zgubi ją w ciemnościach. Wszystko było nie tak: stacja metra kojarzyła mu się z hałasem, ludźmi, rozgardiaszem, życiem, i brak tego wszystkiego sprawił, że czuł się, jakby naprawdę umarł, a ta wycieczka do świata podziemnego miała być podróżą w jedną stronę. Przy każdym kroku głębiej w ciemność chciał zawrócić i pobiec do swojego mieszkania, i wślizgnąć się z powrotem w swoje ciało, po czym się schować, ale co by mu to dało? Gdyby świat się skończył, wróciłby prosto tutaj, prowadzony przez innego boga.

W końcu znaleźli się na płaskiej powierzchni i Neil zrozumiał, że doszli do końca schodów.

- Zaczekaj - powiedziała Artemida, zanim przeszli przez tylną ścianę. - To bardzo ważne. Nie wiem, czy kiedy przejdziemy przez

ścianę, pociąg tam będzie, ale jeśli tak, to do niego nie wsiadaj.

- Dlaczego? - zapytał. - Myślałem, że udajemy się do świata podziemnego?

- Owszem - odparła Artemida. - Ale się tam wkradamy. Jeśli Charon - kierowca - znajdzie nas w pociągu, rzuci nas Cerberowi na pożarcie.

- Cerberowi?

- Trzygłowemu psu śmierci, który strzeże wejścia. Zjada dusze tych, którzy próbują uciec z Hadesu. I tych, którzy próbują się do niego nielegalnie dostać.

- Szkoda, że nie wspomniałaś o tym wcześniej.

- Bez nerwów. Przesmykniemy się tunelem i przy odrobinie szczęścia nikt nas nie zauważy.

- Przy odrobinie szczęścia? A jeśli szczęście nie dopisze?

- Zadajesz dużo pytań jak na herosa.

W oddali zobaczyli światło; było przyćmione i padało z niewidocznego źródła. Na peronie było wielu martwych ludzi. Właściwie zebrало się tu więcej martwych, niż Neil kiedykolwiek widział żywych zgromadzonych w jednym miejscu, a większość z nich stała nieruchomo i w zupełnym milczeniu, jakby postanowili uczcić własny zgon dwiema minutami ciszy. Starał się nie zatrzymywać spojrzenia na osobnikach, którzy umarli w sposób, jakiego sam z pewnością wolałby uniknąć.

- Czy tyle ludzi zwykle umiera? - wyszeptał do Artemidy. - Czy to przez tę historię ze słońcem?

Artemida oszacowała martwe rzesze spojrzeniem.

- Nie, powiedziałabym, że to raczej standard - odparła.

- Tyle osób umiera każdego dnia?

- Mniej więcej.

- Nigdy jej nie znajdę - zmartwił się Neil.

- Styks? Łatwo ją zauważyć. To rzeka.
- Miałem na myśli Alice - wyjaśnił Neil.
- A, rzeczywiście. Zapomniałam o niej.

Artemida znów spojrzała na zebranych umarłych i odwróciła się do Neila.

- Wiesz coś o Heraklesie? To ważne.
- Nie - odparł Neil.
- Powiem ci po drodze. Zeskakuj na tory.
- Nie możemy zeskoczyć przy nich wszystkich, co oni sobie pomyślą?

- To bez znaczenia. To tylko śmiertelnicy, a do tego martwi. Nie przejmuj się tym, co pomyślą. Pewnie nawet nie zauważą. Wszystko jest tu dla nich dziwne, nie wiedzą, co powinno się wydarzyć, a co nie. Musimy się martwić tylko o Charona i Cerbera. No i Hadesa i Persefonę, ale to dopiero później.

- Hadesa i Persefonę? Czy jest jeszcze ktoś, kto chciałby zjeść nasze dusze, a o kim nie wspomniałaś?

- Jeśli tylko śmiertelnicy nie odgadną, że próbujemy się wkraść do świata podziemnego, nic nam nie będzie - zapewniła go Artemida.

- A nie sądzę, żeby w tej chwili ktokolwiek tu uważał, że Podziemie to miejsce, do którego warto się pchać. A nawet jeśli się domyśla, nic nam nie grozi, dopóki o tym komuś nie powiedzą. A komu mieliby powiedzieć? Więc skacz.

Neil spojrział na grupę umarłych stojących najbliżej: gromadkę oszołomionych starych Japończyków w szpitalnych piżamach, którzy niemal synchronicznie spoglądali po sobie, potem na tłumy najrozmaiciej okaleczonych ludzi z ich prawej strony, a potem znów po sobie, ale nigdy na siebie nawzajem.

- Masz rację - powiedział i zeskoczył na tory - ze sporej wysokości, ale, rzecz jasna, nic nie poczuł, lądując.

Kiedy Artemida stanęła obok niego, zdezorientowana i najwyraźniej zupełnie normalna mysz przebiegła przez ich stopy, po czym zniknęła pod szyną.

- A więc - zaczęła Artemida, ruszając w kierunku tunelu - Herakles to jeden z naszych najszlachetniejszych herosów, jeśli pominąć ów nieszczęsny incydent, kiedy wpadł w szal i zabił żonę i dzieci, ale to była w gruncie rzeczy wina Hery. Tak czy owak, pośród swoich licznych przedsięwzięć wykonał dwanaście niemal niewykonalnych prac. Dwanaście! A ty masz przed sobą zaledwie dwie! Pierwsza polegała na zabiciu lwa nemejskiego, prawdziwie dzikiej bestii, której pokonanie nawet dla mnie byłoby trudne, choć oczywiście wykonalne...

Dziwnie ukojony dźwiękiem głosu Artemidy, Neil wszedł za nią do tunelu wijącego się przed nimi w absolutnych ciemnościach, które miały się rozjaśnić dopiero, kiedy dotrą do celu.

33

Bez trudu udało im się uniknąć spotkania z Charonem. Ostatnio rozleniwiał się; Artemida pamiętała, że mówili o tym zarówno Hermes, jak i Persefona. Wiele tysięcy lat kierował pociągiem kursującym tam i z powrotem między światami żywych i umarłych, a przedtem jeszcze dłużej przewoził martwych ludzi łodzią. Pracę Charona cechowała syzyfowa monotonia, toteż teraz robił tylko absolutne minimum, ledwie zdając sobie sprawę z obecności pasażerów i ciesząc się, kiedy od czasu do czasu udało mu się wyrzucić jakąś duszę z pociągu; już nie raz poddawał pod dyskusję możliwość zastąpienia pojazdu taśmociągiem, który kursowałby w systemie jednokierunkowym.

Tak więc kiedy usłyszeli pociąg, który toczył się po torach w ich stronę, by zabrać kolejną partię umarłych, a potem, wylądowany po brzegi świeżo ubitymi duszami, ruszyć z powrotem w kierunku świata podziemnego, wystarczyło im rzucić się na ziemię i leżeć płasko, podczas gdy wagony przetaczały się nad nimi niegroźnie. Pociąg mógłby oczywiście równie nieszkodliwie przejechać przez ich głowy, ale wówczas nawet Charon zauważyłby dwie czaszki wystające z podłogi.

Gorzej miało im pójść z Cerberem. Charon może i zgnuśniał, ale Cerber wciąż był głodny i tylko czekał na dusze intruzów i uciekinierów. Kiedy zbliżali się do końca tunelu i przedarła się ku nim słaba nitka trupiego światła, Artemida zatrzymała Neila, żeby obmyślić strategię działania.

- Orfeusz - powiedziała - uspił Cerbera śpiewem. Ale ustaliliśmy już, że ty nie umiesz śpiewać.

- Mój śpiew - odparł Neil - sprowokowałby go tylko, by zjadł mnie jak najprędzej.

- Herakles wywabił go ze świata podziemnego, dzięki temu, że był dla niego miły.

- Potrafię być miły - odparł Neil. - Właściwie jestem bardzo miły. To jedna z moich najlepszych cech.

- Ale to nie zadziała drugi raz - stwierdziła Artemida. - On już nie ufa miłemu zachowaniu. Będzie wiedział, co kombinujemy.

- Szkodą bo to chyba jedyne, w czym jestem dobry. Masz jeszcze jakieś propozycje?

- Eneasz i Psyche posłużyli się ciastkami z makiem i miodem nafaszerowanymi środkami odurzającymi. Cerber lubi ciastka z makiem i miodem.

- A mamy przy sobie ciastka z makiem i miodem nafaszerowane środkami odurzającymi?

- Nie.
- To się świetnie składa. Co jeszcze?
- Jest jeszcze złoty korzeń, który gwarantuje wejście...
- I którego nie mamy?
- Zgadza się.
- Jakies inne sugestie?
- O ile wiem, to tyle. Ludzie nie schodzą tu zbyt często. Jeszcze rzadziej udaje im się ominąć Cerbera.
- No to co zrobimy?

Artemida westchnęła, starając się, by jej słowa zabrzmiały jak najgroźniejszy scenariusz.

- Pewnie będę musiała stoczyć z nim walkę, a ty w tym czasie pobiegiesz poszukać Styksu - powiedziała, rada, że w ciemnościach nie widać, jak mięśnie wokół ust drgają jej z podniecenia. - Rzeka Styks obiega świat podziemny dziewięć razy. W którąkolwiek stronę się udasz, w końcu do niej dotrzesz.

- Ale co z tobą? Co jeśli zostaniesz ranna? Co jeśli Cerber cię zabije?

- Cóż, wtedy świat będzie się musiał obejść bez polowań, czystości i księżycy. No dalej, chodźmy. Staraj się wyglądać na martwego.

Neil i Artemida dotarli do ostatniego odcinka tunelu i wyszli na słabe światło, od którego po czasie spędzonym w ciemnościach z pewnością zaczęliby mrugać, gdyby tylko mieli prawdziwe oczy i mogli zostać oślepieni. Maszerowali dalej. Ciesząc się na myśl o walce, Artemida bez słowa wróciła do swojej cielesnej postaci i ziemia zestaliła się pod jej stopami. Może dzięki świadomości tego, co ma nastąpić, nawet przez sekundę nie była wyczerpana, jak zazwyczaj po użyciu mocy. Przeciwnie, czuła się silna, niczym naprężony mięsień. Obok niej Neil usiłował nie gapić się na zgromadzone zastępy umarłych,

którzy, wypłuci z pociągu, wymieszali się na peronie, stojąc teraz w opuszczeniu i samotności lub porównując szeptem swoje obrażenia.

Artemida rozejrzała się po stacji, ale nigdzie nie było widać Cerbera. Wdrapała się na peron, a Neil podążył za nią, przyciągając kilka skonsternowanych spojrzeń stojących nieopodal nieboszczyków.

- Nie zdążyliśmy na pociąg - wyjaśniła Artemida. - Chodź - powiedziała do Neila. - Nie ma sensu tu czekać. Musi być na zewnątrz.

- Kto?

- Cerber.

- Odnoszę wrażenie, że ciebie to cieszy - stwierdził Neil.

- Nie bądź śmieszny - odparła Artemida, odwracając wzrok.

Ruszyli dosłownie przez tłum do wyjścia, które składało się z najbardziej beużytecznej bramki, jaka kiedykolwiek istniała, i przez którą również przeszli bez zatrzymania. Kilku zmarłych już wydostało się na zewnątrz i stali teraz, wyraźnie zdezorientowani, wpatrując się w identyczne, nieoznakowane ulice.

- Czy to naprawdę Podziemie? - zapytał Neil. - Bardzo się różni od tego, jak je opisują.

- To pewnie tylko przedmieścia - odparła Artemida. - Jestem pewna, że centrum jest bardziej charakterystyczne.

- Może Alice mieszka w jednym z tych domów - powiedział Neil. - Jeśli funkcjonuje tu czas umarłych, to czy mogę zapukać do wszystkich drzwi, a potem i tak zdążyć uratować świat?

Artemida pokręciła głową.

- Tutaj czas mija zupełnie inaczej, ale mija. Przykro mi. Gdybyśmy nie mieli tu innego zadania, wtedy może. Ale...

- Znajdę ją - oświadczył Neil.
- Jestem pewna. A teraz posłuchaj. Pamiętasz, jaki jest plan, prawda? Kiedy pojawi się Cerber, ja walczę...
- A ja uciekam. Tak, wiem - zapewnił Neil. - To niezbyt heroiczne - uciekać z pola bitwy.
- Pamiętaj, że masz biec prędko. - Artemida nie słuchała obiekcji Neila. - Tylko tego nam brakuje, żeby dopadł nas oboje.
- Myślisz, że ciebie dopadnie?
- Kiedy już zwyciężę, przyjdę z jego ciałem do pałacu, więc masz się tam ze mną spotkać. Ktoś musi powiedzieć Hadesowi i Persefonie, co się dzieje.
- A jeśli zostaniesz pokonana?
- Nie zostanę pokonana.
- Gdzie jest pałac? - zapytał Neil.
- Nie mam pojęcia - powiedziała Artemida.
- Artemido, czy to się uda?
- Słuchaj, robię, co w mojej mocy. Od strategii są Ares i Atena, ale nie stawiałabym na nich w walce z trzygłowym... - Artemida zamilkła.
- Co się stało? - zapytał Neil.
- Uciekaj.

Neilowi nie trzeba było dwa razy mówić.

Artemida nigdy przedtem nie widziała Cerbera. Patrząc na jego dziką sylwetkę na tle doskonale utrzymanych czarno-białych budynków w stylu epoki Tudorów, poczuła ucisk w piersi i dreszcz przebiegający przez kończyny - nieomylny znak bliskiej obecności innej nieśmiertelnej istoty, ale chyba nie tylko. Jakaś siła przykuwała ją do miejsca, w którym stała na posępnym chodniku, a zarazem pchała ją ku Cerberowi. Zaszło jej w ustach. Od tak dawna nie starła się z godnym siebie przeciwnikiem.

Był ogromny. Mięśnie przy każdym kroku niemal przebijały czarną lśniącą skórę. Jego ciało było sprzężoną kulą mocy gotową wybuchnąć. Każda łapa jak drzewo, zakorzenione w żelaznym łuku pazurów. W miejscu ogona wił się wąż grubości jej tułowia, miotał się z wściekłym sykiem, który przecinał powietrze niczym grad. No i głowy - trzy, identyczne pod względem rozmiaru i siły, świecące czerwone oczy wielkości jej pięści, szorstkie wargi, cofnięte i ukazujące zęby wielkie jak jej dłoń i ostre jak brzytwy, ociekające gęstą, spienioną śliną. Dwie głowy węszyły po bokach, a środkowa utkwiała nieruchome spojrzenie w Artemidzie.

- No, to się nazywa pies - wyszeptła Artemida.

Nie czekając ani chwili, rzuciła się na Cerbera i rozpedziwszy się na przestrzeni tych kilku kroków, które ich dzieliły, oderwała się od ziemi i wycelowała stopami prosto w oczy środkowej głowy, by ją oślepić, podczas gdy dwie boczne wzięły ją w kleszcze, warcząc i szczerząc kły gotowe ją rozszarpać.

34

Neil biegł. Słyszał odgłosy zażartej walki rozgrywającej się za nim, warczenie, które wprawiało chodnik w drżenie jak przy trzęsieniu ziemi, oraz nieme okrzyki bojowe Artemidy. Nie odwrócił się. Wiedział, że jeśli Artemida przegra, on stanie się deserem po boskim daniu głównym; miał pewność, że nie obroni się tak skutecznie, jak bogini się to najwyraźniej udawało. Starał się więc jak najbardziej zwiększać dystans między sobą a Cerberem. A zresztą nie odczuwał potrzeby, by wiedzieć, jak ten potwór wygląda, gdyż był raczej pewny,

że ta wiedza nie uczyniłaby wizji jego paszczy przyjemniejszą.

Nie mając pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd zmierza, postanowił w miarę możliwości kierować się prosto przed siebie. Biegł bez trudu, wcale się nie męcząc. Kiedy mijał umarłych, ci niezmiennie patrzyli na niego dziwnie, jakby nie mogli zrozumieć, co tu robi. Na początku myślał, że dziwi ich jego szlafrok, ale potem zdał sobie sprawę, że przecież wielu umarłych, a nawet większość ma na sobie różne rodzaje bielizny nocnej. Dopiero po dłuższym czasie dostrzegł różnicę między swoją prędkością a tempem, w jakim przemieszczali się pozostali: oni szli spacerkiem, snuli się, marudzili. Nikt się nie śpieszył; mieli nieograniczony czas. On natomiast musiał biec możliwie najszybciej. Zwalniał jedynie, kiedy widział na chodniku drobną blondynkę, myśląc, że to może być Alice, ale to nigdy nie była ona.

Ulice ciągnęły się w nieskończoność. Ich wygląd wcale się nie zmieniał, a Neil się wcale nie męczył. Miał wrażenie, że znajduje się w dziwnym seryjnym śnie, w którym nic nie jest prawdziwe, nawet on sam. Może rzeczywiście śni. Ale kiedy zaczął się ten sen? W chwili gdy zostawił swoje ciało w lodowatym łóżku, a jego duch podążył za Artemidą w zimny czarny dzień? Gdy Apollo przyszedł do jego mieszkania, a potem osunął się na podłogę, kładąc kres słońcu i sceptycyzmowi Neila? Gdy zobaczył na niebie twarz tamtego starego mężczyzny i równocześnie nadleciał piorun, który zabił Alice? Kiedy ostatnio jego życie wydawało się rzeczywiste? Tak czy owak nierealność tego, co dzieje się teraz, zdawała się podkreślać, jak złudne było jego wcześniejsze poczucie bezpieczeństwa, kiedy myślał, że wszystko jest jasne i oczywiste, i łatwe do zrozumienia, i że ludzie, którzy myślą inaczej, to

naiwni głupcy. A tymczasem to on, ze swoim przekonaniem, że wszystko da się łatwo wyjaśnić, był naiwny.

Kiedy te myśli tak popychały go do przodu, zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Przez cały czas, gdy biegł - w żaden sposób nie mógł stwierdzić, jak długo to trwało - dwa rzędy domów w stylu epoki Tudorów ciągnęły się przed nim w nieskończoność, co pewien czas tylko rozgałęziając się w równie nieskończone, identyczne sztuczne ulice w tym samym stylu. Ale teraz, po raz pierwszy, ulica zdawała się mieć kres. Nie widział, co się tam znajduje, ale rzędy domów, które dotąd ciągnęły się tak daleko, jak sięgał jego wzrok, urywały się na horyzoncie, w jakimś punkcie w przyszłości, do którego jego pędzące stopy przybliżały go z każdym krokiem. Najwyraźniej ten świat miał jednak kraniec, i Neil nareszcie go znalazł.

Nie wiedział, jak szybko biegł ani jak długo, ale kiedy dotarł do ostatnich kilku domów, zwolnił, a w końcu się zatrzymał. Płynęła tu rzeka, tak jak mówiła Artemida, odcinając to dziwaczne przedmieście jednym czystym cięciem jak skalpelem. Rzeka była szeroka, a woda w niej czarna. Neil widział w dali drugi brzeg, niewyraźnie, gdyż światło było przyćmione i skrywała go ściana mgły. Tam, gdzie kończył się asfalt, brzeg rzeki, płaski, bezbarwny, pozbawiony życia, pochłaniał całe światło, podobnie jak nurt wody za nim. W zasięgu wzroku nie było nikogo, a rzeka płynęła szybko, lecz bezdźwięcznie.

Było coś jeszcze, ale nie od razu zdał sobie sprawę, co to takiego. Otóż czuł rzekę. Dotyk mroźnej wilgoci w powietrzu, zimny zapach wody, ostry, kwaśny smak w ustach. Ta rzeka - w odróżnieniu od niego - była prawdziwą, fizyczną istotą.

Neil odchrząknął, skonsternowany, choć jego strunom głosowym nic nie dolegało, a z nad wody odpowiedziało mu echo.

- Dzień dobry! - zawołał, jeszcze bardziej zakłopotany.

Cisza. Czego się spodziewał? Gadał do rzeki.

- Dzień dobry! - zawołał ponownie. Pomyślał o Artemidzie, toczącej walkę na śmierć i życie z jakimś okropnym potworem, na którego on bał się nawet spojrzeć. Do rzeki może przynajmniej przemówić. - Czy ty jesteś Styks? - zapytał.

Nagle pojawiła się kobieta. Neil nie potrafił powiedzieć, skąd się wzięła ani gdzie dokładnie jest. Jakby była w rzece, ponad nią, albo jakimś sposobem jej częścią. Miała długie proste czarne włosy, które spływały jej kaskadą na ramiona, jakiś sprężysty czarny strój, który zlewał się z rzeką, skórę smukłych rąk i twarzy tak białą, że aż zielonkawą, i czarne oczy i usta.

- Jestem Styks - powiedziała. Jej głos wydobył się z ust, ale здаwał się też dobiegać z samej rzeki.

- Jestem Neil - powiedział Neil. - Z... eee... z Ziemi. Chyba że wciąż jesteśmy na Ziemi. Jeśli tak, to jestem z Essex, ale teraz żyję w Londynie.

- Żyjesz? - zapytała Styks, czy raczej rzeka. - Czyżbyś w takim razie nie był jeszcze martwy?

Neil zawahał się. Było oczywiste, że na dzień dobry powiedział nie to, co trzeba. Z tego, co mówiła Artemida, jasno wynikało, że żywi stanowczo nie są tu mile widziani, a tych, którzy zlekceważą zakaz wstępu, czekają najrozmaitsze tragiczne konsekwencje, poczynawszy od tego, że ich dusze zostaną pożarte. Nie był pewny, co rzeka może mu zrobić, ale gdyby wciągnęła go w siebie, raczej nie miałby większych szans z wartkim atramentowym prądem. Z drugiej strony czuł, że

kłamstwo to nie najlepszy początek relacji z akwenem, którego główną funkcją - jak zrozumiał - jest strzeżenie nienaruszalności przysięg.

- Jestem herosem - oświadczył w końcu, w nadziei że ta kategoria nie podlega podziałom na martwych i żywych.

Rzeka uniosła brew.

- Jesteś zupełnie niepodobny do herosów, którzy mnie dotąd odwiedzili - stwierdziła.

- To zupełnie wyjątkowa sytuacja.

- Sytuacja zawsze jest wyjątkowa.

- Świat się kończy - powiedział Neil. - Świat na górze. A może po drugiej stronie. Nie mam pewności, jak to wszystko wygląda z geograficznego punktu widzenia... Tak czy owak, mamy nadzieję, że ty możesz nam pomóc.

- Nam?

- Jestem tu z Artemidą. Albo byłem... Rzecz w tym, że dzisiaj - wydaje mi się, że to wciąż dzisiaj...

- Dni niewiele tu znaczą.

- Do mojego mieszkania przyszedł Apollo. Apollo, bóg słońca.

- Znam go - Styks zacytowała słowa Apollina, którego ponury głos nagle wypełnił wilgotne powietrze wokół nich: „Przysięgam na Styks, że nie wyrządę śmiertelnikom żadnej niepotrzebnej krzywdy przed upływem dziesięciu lat albo do czasu, gdy stanę się silniejszy, zależnie od tego, co nastąpi wcześniej. Zadowolona?”

- Pokłóciliśmy się i on wyłączył słońce. Zanim się obejrzałem, leżał nieprzytomny na podłodze w kuchni i nie mogłem go w żaden sposób ocucić. Dotąd nie wiedziałem nawet, kim on jest.

Neil przerwał, przypomniawszy sobie to nieprzyjemne łomotanie w trzewiach, a zaraz potem klujący lodowaty dreszcz hysterii, która

towarzyszyła świadomości, że wszystkie te zabobonne brednie o duchowości, które zawsze traktował z takim lekceważeniem, okazały się prawdziwe. Instynktownie przelknął ślinę, choć w ustach miał sucho.

- Zadzwoniłem do Artemidy - ciągnął - a ona pomyślała, że może... może...

- Może ukarałam go za złamanie przysięgi, usypiając go na dziewięć lat?

- Właśnie.

- I miałeś nadzieję, że przychodząc tutaj, skłonisz mnie, żebym ustąpiła i cofnęła mu karę, by słońce wróciło do życia i twój świat ocalał?

- Takie było założenie - przyznał Neil.

Styks pokręciła głową, a tafla wody się pomarszczyła.

- Nie zrobisz tego? - zapytał Neil.

- Czemu miałabym to zrobić? - zapytała Styks. - Jesteśmy nieśmiertelni i mamy władzę, ale żyjemy według zasad. Są zasady, których muszę przestrzegać. Pozostaję w tym pozbawionym życia miejscu, otoczona przez dusze zmarłych, i pochłaniam wszystkich tych, którzy próbują mnie przekroczyć. Tam lub z powrotem.

Styks przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

- I są zasady, które narzucam - kontynuowała - a wśród nich ta, że żaden bóg składający przysięgę na moje imię nie może jej złamać, nie skazując się na dziewięć lat nieistnienia. Nie mogę tego zmienić nawet na prośbę tak dzielnego, choć pomniejszego herosa jak ty.

- Ale bez słońca wszyscy na mojej planecie umrą - zaprotestował Neil. - Albo na tej planecie. Bo nie mam pewności, gdzie jesteśmy.

- Wyjaśniłam ci - odparła Styks - dlatego nie powinnam ci pomagać. Ale nie powiedziałam, że nie pomogę.

- Czyli pomożesz? - Neil zrobił ochoczy krok do przodu, stając niebezpiecznie blisko brzegu.

- Nie - odparła Styks. - Niestety, nie mogę. Ponieważ nie ja to spowodowałam.

Westchnęła, a rzeka zadrżała.

- Apollo nie złamał złożonej przysięgi. Wygląda na to, że kiedy zgasił słońce, nie miał zamiaru skrzywdzić ludzi. Chociaż nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogło nim powodować. Może chciał skrzywdzić sam siebie?

- Nie wydaje mi się - odparł Neil. - Właściwie to sędzę, że mógł się po prostu popisywać. Widzisz, wtedy jeszcze w niego nie wierzyłem. Myślę, że chciał dowieść swoich racji.

- Tak czy owak, jest możliwe, że zamierzał zabrać światło słoneczne tylko na kilka sekund, nie krzywdząc nikogo, ale wysiłek, jaki w to włożył, sprawił, że stracił przytomność, zanim mógł je przywrócić. To nie podlega mojej kompetencji, więc nie mogę tego odkręcić.

- Czyli nie jesteś w stanie w żaden sposób mi pomóc? - zapytał Neil.

- Chciałabym - odparła Styks. - Ale jestem tylko rzeką.

- Daleko ci do zwykłej rzeki - powiedział Neil. - Widziałem wiele rzek i żadna z nich nie jest do ciebie podobna. Po pierwsze nie mają ciał.

Styks wzruszyła ramionami, a na powierzchni wody pojawiło się trochę piany.

- Każda rzeka ma swojego ducha - powiedziała. - Żeby go zobaczyć, musisz tylko znać jej imię.

- Co? Nawet Clyde? - zapytał Neil.

- Jeśli to rzeka - odparła Styks. - Chociaż bardzo wątpię, by to było jej prawdziwe imię.

Neil stał przez kilka chwil, wpatrując się w przepływającą wodę.

Czuł na sobie wzrok Styks, litościwy, lecz chłodny i odległy.

- Znasz dziewczynę o imieniu Alice? - zapytał w końcu.

- Wiele zmarłych nosi imię Alice - odparła Styks.

- Ta umarła bardzo niedawno, dwudziestego pierwszego marca. Ma trzydzieści dwa lata, bardzo drobna, blondynka. Piękna.

- Tak wygląda wiele kobiet.

- Nie, ta jest wyjątkowa. Jasna skóra. Niebieskie oczy. Mały pieprzyk tuż nad prawą kością policzkową, który nazywała znamieniem.

- Nie było jej nad rzeką - powiedziała Styks.

- Muszę ją znaleźć - wyznał Neil. - Koniecznie, ale to koniecznie muszę ją znaleźć.

- Ja nie mogę nikogo znaleźć. Zawsze pozostaję w tym miejscu. Tylko mnie można znaleźć. Potrafię wyłącznie związać boga przysięgą. To jedyne, co mogę.

Neil już zabierał się do odejścia, ale nagle się odwrócił.

- A co ze śmiertelnikami? - zapytał. - Czy wobec nich też to działa? Czy możesz związać przysięgą śmiertelnika?

- Od dawna już żaden śmiertelnik nie wie, że można na mnie przysięgać - stwierdziła Styks.

- Ale ja wiem - odparł Neil.

Styks nie odpowiedziała, ale Neilowi zdawało się, że widzi w jej twarzy zachętę.

- A gdybym przysięgł na ciebie, i ta przysięga byłaby całkowicie wiążąca, czy wtedy mogłabyś pomóc mi jej dotrzymać?

- Mogłabym - odrzekła Styks. - Nie jestem całkowicie pozbawiona mocy.

- Przysięgam - oświadczył Neil - na ciebie, na Styks, że znajdę Alice. Przysięgam.

Styks uśmiechnęła się, a na powierzchni rzeki zatańczyły refleksy świetlne.

- W takim razie musisz ją znaleźć - powiedziała.

35

Alice grała w scrabble z wiktoriańskim naukowcem, który wypadł z łodzi i utonął, kiedy usiłował zebrać próbki alg. Pokonywała go bez większego trudu, choć widziała, że jeśli trochę poćwiczy, będzie z niego bardzo dobry zawodnik.

- Taka wspaniała gra - powtarzał. - Jakie to smutne, że nie mieliśmy jej za moich czasów.

Ich stolik znajdował się w dwudziestowiecznej strefie gier w olbrzymim kompleksie rozrywkowym w centrum sektora A. Dwudziestowieczna strefa gier składała się z sieci pubów - prawdziwej sieci - połączonych ze sobą lokali z różnych epok, tak że w każdej sali grało się w gry z wybranego okresu. Sala scrabli została stworzona na wzór wysypanych trocinami knajp z lat czterdziestych, z brudnymi kafelkami i wiszącym w powietrzu sztucznym dymem papierosowym, który nie przeszkadzał Alice szczególnie, ponieważ nie miał zapachu i nie drażnił jej oczu ani gardła. Mieli szczęście, bo dostali pianistę - koordynacja konieczna do grania na nieistniejącym instrumencie należała do najtrudniejszych umiejętności, jakie można nabyć - dzięki czemu byli w znacznie lepszej sytuacji niż specjaliści od gry Boggle, zakwaterowani w undergroundowym barze z lat siedemdziesiątych, gdzie grały różne kapele punkowe, które wyraźnie nie nauczyły się zbyt wiele w zakresie koordynacji. Dwudziestowieczna strefa gier była tylko jedną z wielu stref składających się na jeden z wielu rejonów

rozrywkowych wielkości małego miasta, gdzie oferowano każdy rodzaj rozrywki, jaki tylko można sobie wyobrazić - to znaczy każdy oprócz show erotycznych. Dla odcieleśnionych samo myślenie o seksie było zbyt frustrujące, nawet kiedy nie musieli na niego patrzeć.

Gra dobiegała końca i ziarenka piasku w ogromnej klepsydrze wyznaczającej długość zmian niemal się przesywały. Po długich namowach Alice zgodziła się spotkać z jednym z nowych znajomych, mistrzem gry w ryzyko w sektorze A, w muzycznym barze rewiowym. Nie cieszyła się na to specjalnie. Alice nigdy nie piła dużo za życia, i teraz podobnie. Zresztą w świecie podziemnym nie piło się alkoholu, lecz wodę ze źródła Lete, która pomagała zapomnieć o dawnym życiu. Wszyscy w świecie podziemnym chcieli zapomnieć. Wszyscy prócz Alice. Ona nie była jeszcze na to gotowa.

Alice często powtarzała sobie, że jej życie pozagrobowe nie jest takie złe. Mimo że jak na jej gust miało nieco zbyt towarzyski charakter, Alice lubiła swoją pracę i była wdzięczna za wyzwania i możliwość oderwania się. Pozostali członkowie drużyny scrabli okazali się przyjaźni, a wspólne zajęcia stwarzały między nimi jakąś więź, prócz więzi wynikającej z tego, że wszyscy byli martwi. Alice tęskniła jednak za przyjaciółmi i rodziną ze świata żywych, a najbardziej za Neilem. Mówiła sobie, że kiedy on umrze, może przyjdzie tu jej szukać, a może nawet znajdzie ją przez przypadek - zawsze lubił gry planszowe. Ale wtedy, jeśli mu się poszczęści, będzie starym człowiekiem, którego życie toczyło się dalej po jej śmierci i który zapewne odnalazł miłość u boku innej. Oby odnalazł miłość u boku innej, nakazywała sobie myśleć. Oby.

Nigdy żadnemu ze znajomych nie wspomniała o Neilu, ale gdy słuchała opowieści o ich dawnym życiu, szybko stało się jasne, że

wszyscy członkowie społeczności umarłych przeżyli kiedyś podobną stratę. Niektórzy odeszli zaledwie kilka miesięcy po swoich partnerach, a wciąż nie udało im się odnaleźć ich w nieskończoności świata podziemnego; inni poświęcili wieczność na poszukiwania dawno utraconych przyjaciół i krewnych, nawet własnych dzieci, które umarli, po czym okazywało się, że upływ czasu zmienił ich nieodwracalnie. Wszyscy zgadzali się, że najlepiej zapomnieć, nie tropić przeszłości w bezkresnym morzu teraźniejszości. A Alice potakiwała i udawała, że się zgadza, ale gdy tylko miała przerwę w pracy, chodziła po ulicach sektora A i szukała Neila w twarzach wszystkich mijanych mężczyzn, zarówno młodych, jak i starych: nie wiedziała, jak będzie wyglądał, kiedy tu dotrze, ile będzie miał lat, ale wiedziała, że w końcu tu trafi.

Wiktoriański naukowiec właśnie położył literę Z na podwójnie premiiowanym polu, ale Alice widziała potrójną premię, która byłaby lepsza - kiedy nagle poczuła, że coś ciągnie ją na zewnątrz, z dużą siłą, jakby porwał ją prąd rzeki i unosił w tamtym kierunku.

Pochyliła się w stronę mężczyzny przy stoliku obok, sympatycznego Norwega z głową przestrzeloną na wylot, który właśnie był wolny.

- Lars, możesz mnie zastąpić?
- Oczywiście - odparł Lars.

Alice przeprosiła naukowca i skierowała się szybko ku drzwiom, a Lars zajął jej miejsce i podjął grę.

- Tak mi przykro - zwróciła się do kierownika Alice. - Muszę iść.
- Musisz? - zapytał kierownik, bardziej zdezorientowany niż zły. Umarli nigdy niczego nie musieli.

- Muszę iść - powtórzyła Alice i, odprowadzana zdumionymi spojrzzeniami współpracowników, wybiegła z baru na ulicę, nie wiedząc, dokąd się udaje.

Nie zamierzała opierać się kierunkowi, który obrały jej stopy, jako że i tak miała dotrzeć tam, gdzie musi. Ale była zdumiona, gdy znalazła się przed bramą pałacu Hadesa i Persefony. Jaki mogli mieć powód, żeby ją wzywać? Czyżby dowiedzieli się o jej powiązaniach z bogami świata żywych?

Nigdy wcześniej nie była w kompleksie pałacowym, ale umarli uważali go za miejsce legendarne. Kiedy Hades porwał Persefonę, by uczynić z niej swoją narzeczoną, świat podziemny był smętnym, pozabawionym wyrazu pustkowiem, raczej nawiedzonym niż zamieszkanym przez dusze zmarłych, a pałac - powykrzywiana, mroczna i złowieszczą nieprzystępna wieża - miejscem, które każe marzyć o krótkim pobycie w miłym więzieniu. Ale kiedy Persefona w końcu pogodziła się z myślą, że tu naprawdę będzie jej dom, podjęła się uprzyjemnić go trochę. Zaczęła od pałacu. Wyselekcjonowała najlepszych martwych architektów i inżynierów świata, wykorzystała ich talent, by spełnić każdą swoją zachciankę. Pałac był zawsze - chyba że miała bardzo zły nastrój - skąpany w promieniach wyimaginowanego słońca. Wygląd samej budowli zmieniał się bez przerwy, zależnie od jej preferencji w danej chwili. Przyjmował kształt dawnych i obecnych najwspanialszych budowli świata żywych, od Tadż Mahal po piramidy, jak również zupełnie oryginalnych dzieł jej zespołu architektów. Dopiero kiedy Persefona poprawiła swoje warunki życiowe, tak by spełniały jej rygorystyczne wymagania, pozwoliła mniej doświadczonym członkom ekipy popracować trochę nad resztą świata podziemnego i odpowiednio podnieść jego standard, żeby mieć ładne miejsce do spacerów.

Kompleks pałacowy rozciągał się na ogromnej powierzchni i był z każdej strony otoczony wysokimi kamiennymi murami. Wchodziło się do niego przez bogato zdobioną bramę, prowadzącą do doskonale wypielęgowanego parku, usianego gajami i granatowcami. Kompleks pałacowy to jedyne miejsce w całym świecie podziemnym, nie licząc Pól Elizejskich, gdzie rośnie jakaś roślinność. Liczny zespół projektantów ogrodów i speców ogrodnictwa pracował wyłącznie nad tutejszą florą, ale ze względu na siłę umysłu potrzebną do wymyślenia każdego pojedynczego liścia i źdźbła trawy uznano to za zbędną usługę, a więc niedostępną dla reszty świata podziemnego. Dla Alice kontakt z przyrodą stał się niewyobrażalnym marzeniem, i nawet gdyby nie czuła, że ktoś z wewnątrz ją wzywa, chyba nie oparłaby się przagnieniu, by prześliznąć się przez bramę do parku.

Podjazd był wysypany żwirem - zdumiewający luksus, jako że każde ziarnko musiało zostać przez kogoś wyobrażone - i naprawdę słychać było chrzęst pod stopami. To tylko projektancka sztuczka, ale i tak uczucie, że jej ciało wywiera na coś nacisk, wzbudziło w niej radość tak ogromną, że niemal przerażającą. Stopy poprowadziły Alice główną drogą podjazdową aż do samego pałacu. Widziała z oddali przez drzewa, jak lśni w promieniach sztucznego słońca. Dziś był to Wersal.

Przy wejściu wałkonіło się dwóch znuzonych strażników, członków gwardii zwerbowanej przez Persefonę z zastępów żołnierzy, którzy zginęli na polu bitwy. Wybrała ich nie ze względu na umiejętności, ale na to, czyje ciała i mundury nie ucierpiały w procesie umierania. W praktyce oznaczało to, że większość wybrańców zginęła od trującego gazu. Ze względu na ich charakterystyczny żółtawy odcień

skóry nazywano ich żółtodziobami. Przewisko to wymyślili im starsi rezydenci świata podziemnego, ale z czasem zaczęli ich tak nazywać wszyscy, nawet najmłodszy. Alice przyjrzała się strażnikom nieufnie. Jedyne spotkanie z Cerberem przekonało ją, że nieboszczyk może jeszcze umrzeć.

Widząc, że ktoś się zbliża, strażnicy przyjęli postawę nieco przypominającą baczność.

- Stój! Kto idzie? - powiedział jeden z nich, a jednocześnie drugi zapytał:

- Co tu robisz?

Spojrzenie, którym się wymienili, było przesycone wzajemną irytacją. Alice zastanawiała się, jak długo stoją tak razem przed tymi wrotami.

- Dzień dobry - powiedziała. - Nazywam się Alice Mulholland.

Mniej oficjalny strażnik zdawał się ją rozpoznawać.

- Alice Mulholland? - zapytał. - Czy ty czasem nie grasz w reprezentacji scrabli?

- Och nie - odparła Alice. - Tylko w pierwszej lidze.

- Jestem przekonany, że kiedyś ze sobą graliśmy - stwierdził strażnik. - Ty wygrałaś.

- Pewnie po prostu trafiły mi się lepsze litery.

- Ty w jakiej sprawie? - zapytał drugi strażnik.

- Nie wiem - odparła Alice.

- Jak to nie wiesz?

- Poczulałam...

Zasady egzystencji w świecie podziemnym różniły się od zasad panujących w świecie żywych pod wieloma względami, których Alice jeszcze nie załapała, więc nie wiedziała, czy to, co zaraz powie, zabrzmi idiotycznie, czy nie.

- Siłę.

- Siłę?

- Która mnie tu ciągnęła. Pomyślałam, że to może Persefona. Albo Hades.

- Módl się, żeby to nie był Hades - powiedział pierwszy strażnik.

- Ani Persefona - powiedział drugi.

- Ojej - powiedziała Alice.

- Wiesz co - stwierdził scrabblista - może Dieter wejdzie i dowie się, o co chodzi, a my w tym czasie zagramy sobie w I Spy?

- Dlaczego to ja zawsze muszę tam wchodzić? - zapytał strażnik o imieniu Dieter. - Ja tu zaczekam, a ty idź.

- Ja powiedziałem to pierwszy.

- Ale ja byłem ostatnio.

- Może po prostu sama tam pójde - zaproponowała Alice.

- Nie - powiedzieli obaj strażnicy jednocześnie.

- Dobra - powiedział fan gier. - Papier, nożyce, kamień.

- Nie - zaprotestował Dieter. - Ty zawsze wygrywasz.

- To przypadek - powiedział drugi strażnik.

- Dobra - zgodził się Dieter. Wybrał nożyce, a drugi strażnik kamień.

- No to leć - powiedział radośnie drugi strażnik.

- Do dwóch wygranych? - zaproponował Dieter.

- Dobra - zgodził się drugi strażnik.

Zegrali jeszcze dwa razy, z tym samym rezultatem.

- Na razie - powiedział zwycięzca, machając.

- Ale... - zaczął Dieter.

- To była uczciwa walka - orzekła Alice.

- No dobra - powiedział w końcu Dieter. - Pójde, ale następnym razem twoja kolej, Eddie.

Odszedł, wściekły, w kierunku ogromnych drzwi, które stanowiły główne wejście do pałacu, i zniknął w środku.

- Zawsze wybiera nożyce - powiedział Eddie, gdy Dieter sobie poszedł. - I nigdy tego nie pamięta. Myślę, że gaz uderzył mu do głowy.

- To na pewno bardzo trudne, być żołnierzem - stwierdziła Alice.

- On za tym tęskni - zauważył Eddie. - Widzisz, on był zawodowym żołnierzem, świetnie posługiwał się bagnetem. Bardzo skuteczny, dobry w swoim fachu. Od czasu do czasu spotykamy kogoś, kogo zabił, i wtedy jest trochę niezręcznie. Widzisz, byliśmy po przeciwnych stronach. Ale nie chowamy urazy, w miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone, i tak dalej, i tak dalej. Nie można mieć nikomu za złe czegoś takiego.

- A ty? - zapytała Alice. - Spotkałeś kiedyś kogoś, kogo zabiłeś?

Eddie rozejrzał się.

- Nie mów nikomu - szepnęła, upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnego strażnika - ale nigdy nikogo nie zabiłem. Ani jednej osoby.

- Zginąłeś, zanim miałeś okazję? - zapytała Alice.

- Nie - odparł Eddie. - Byłem wielkim tchórzem. Brałem udział w wielu bitwach i ani razu nie wystrzeliłem. Ale proszę, nie mów o tym nikomu. Gdyby to się rozniosło, stałbym się pośmiewiskiem kumpli.

Alice się uśmiechnęła.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Nikomu nie powiem. Przysięgam na moje życie... Cóż, w każdym razie przysięgam.

- Możesz jeszcze umrzeć, moja droga - powiedział Eddie. - I wygląda na to, że nawet prędzej niż później.

- O czym ty mówisz? - zapytała Alice.

- To Cerber.

- Cerber? Tutaj?

Eddie wskazał na drogę podjazdową za nią, a Alice odwróciła się i spojrzała. Był jeszcze dość daleko, ale nawet z tej odległości widziała, że Cerber jest teraz zupełnie innym zwierzęciem. Szedł powoli, sześć potężnych barów miał przygarbione, a wspaniałe głowy opuszczone. Kiedy się zbliżył, powłócząc łapami, zobaczyła porozrywaną miejscami skórę i lśniące krwistoczerwone łaty. Wężowy ogon zwisał bezwładnie i włókł się za nim po żwirze. Przed nim, ciągnąc go za najbardziej lewe ucho, szła kobieta, kobieta, którą Alice z początku uznała za zwykłą umarłą; gdy jednak przedziwna para podeszła, nagle ją rozpoznała.

- Artemido! - Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zawołać i nie pomachać.

- Znasz tę panią? - zapytał Eddie.

- Och nie - odparła Alice. - To nie jest pani. To bogini.

To była trudna walka. Ku jej satysfakcji. Artemida nie pamiętała, kiedy ostatnio stała przed prawdziwym fizycznym wyzwaniem, nie pamiętała, kiedy brała udział w starciu, które mogłaby przegrać. W Cerberze w końcu znalazła godnego przeciwnika. Działając z zaskoczenia, zapewniła sobie przewagę już na starcie: Cerber nie przywykł być atakowany, nie spodziewał się napaści, i cofając się przed jej dwunożnym szturmem, na kilka cennych sekund zatoczył się do tyłu. Potem pozbierał się i ruszył do ataku; jego olbrzymie łapy odrzucały ją raz po raz, wszystkie trzy głowy i ten bezlitosny ogoniasty wąż rozdzierały jej ciało potwornymi wygłodniałymi szczękami. To było wspaniałe. Tutaj, w krainie umarłych, stojąc w obliczu własnego kresu, Artemida czuła, że żyje, jak nigdy przedtem. Oddawała ciosy, kopiąc, gryząc, warcząc, drapiąc; była nie mniej potworną bestią niż

jej przeciwnik. Czują, jak siłą swoich palców rozrywa mu skórę i mięśnie, w ustach miała stalowy posmak jego krwi. Tarzali się po ziemi, złączeni morderczą walką w jedność, wijącą się masę, niemożliwą do rozdzielenia, której jedynym celem jest zniszczenie. Ciosy Cerbera sprawiały Artemidzie ból, a ból sprawiał jej przyjemność. Wiedziała, że tyle samo zadaje go partnerowi. Im bardziej Cerber ją ranił, tym silniejsza się czuła. Z jej gardła dobywały się różne dźwięki, warczenie i wrzaski, i walczyła coraz zacieklej; żądza pokonania tej bestii oładnęła każdą najmniejszą cząstką jej istoty; wiedziała, że Cerber walczy z równą zawziętością i że tylko jedno z nich zwycięży. Ale kiedy tak się tarzali i szarpali, Artemida czuła się coraz bardziej wyczerpana, choć ciągle znajdowała nowe siły do walki. To musi się niedługo skończyć. Zebrała całą moc, wydobytą z każdego zakątka obolałego ciała, i rzuciła się do ostatecznego ataku. W ostatnich chwilach walki była prawie nieprzytomna, kontrolę przejęło ciało, działając pod dyktando jakiegoś instynktu, który wykraczał poza świadome myślenie. A potem doszła do siebie i dysząc, zrozumiała, że to już koniec, że potwór leży na ziemi, nieruchomy, pokonany. Zwyciężyła.

Prowadząc swoją zdobycz długą drogą podjazdową do pałacu Hadesa i Persefony, szła dumnie, mimo że jej ciało rozrywał ból, bo wiedziała, że pokonała ich czempiona. Nie podstępem, jak inni, ale w uczciwej walce równych sobie przeciwników; prawie równych, pomyślała, patrząc, jak bestia słucha jej rozkazów. W świecie żywych przyzwyczała się myśleć, że słabnie, że jej forma się pogarsza. Tutaj nie było o tym mowy. Zastanawiała się, jaką specjalną moc ma to miejsce, że daje jej takie poczucie siły.

Gdy razem ze swoją zdobyczą zbliżała się do pałacu, ku swojemu zdziwieniu usłyszała głos wzywający ją po imieniu. Podniosła wzrok i zobaczyła małą blond śmiertelniczkę machającą jej z ogromnym entuzjazmem. Czy to fanka? Czyżby wieść o jej zwycięstwie rozniosła się tak szybko? Kiedy jednak podeszła jeszcze bliżej, rozpoznała tę postać: to jej sprzątaczką, śmiertelniczką, która wywołała całe to zamieszanie! Artemida pomyślała, że to zaskakujące, iż taka mała istotka może się stać źródłem tylu kłopotów. Ta dziewczyna przegrałaby walkę z dużym szcurem. No ale Artemida pamiętała, że przed tą całą sprawą z nieuchronnie zbliżającą się apokalipsą, miała zamiar ściągnąć ją z powrotem do świata żywych, więc był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że śmiertelniczka się tu znalazła.

Artemida zgarnęła dziewczynę i przemówiła do strażnika o ziemskiej twarzy, który najwyraźniej ją więził.

- Jestem bogini Artemida - oświadczyła, - a to mój niewolnik Cerber.

- Twój niewolnik? - zapytali jednocześnie strażnik i dziewczyna.

- Tak jest - odparła Artemida. - Walczyłam z nim i zwyciężyłam, i teraz należy do mnie. Dziękuję, że zaopiekowałeś się moją śmiertelniczką, teraz zabieram ją i idziemy zobaczyć się z Hadesem i Persefona.

- Twoją śmiertelniczką? - zapytali strażnik i dziewczyna.

- Dziwne - powiedziała Artemida, przyglądając im się badawczo. - Wyglądacie jak dwie odrębne istoty.

- Przepraszam, Eddie - zwróciła się do strażnika Alice. - Chyba powinnam z nią iść. Przykro mi, że nie udało nam się zagrać w I Spy.

- W porządku - odparł Eddie - i tak bym cię wpuścił. Miałem po prostu ochotę z tobą porozmawiać.

Sprzątaczką ustawiła się ostrożnie u boku Artemidy, jak najdalej

od trzech łbów, i cała trójka ruszyła w stronę wejścia do pałacu.

- Jak wspaniale cię widzieć, Artemido - powiedziała Alice, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od strażnika. - Mam jednak nadzieję, że nie jesteś martwa.

- Nie - odparła Artemida. - Żyję. Na razie.

36

Pożegnawszy się z rzeką, Neil możliwie najszybciej popędził do pałacu Hadesa i Persefony. Zapytał Styks o drogę, ale ona powiedziała, że nie potrzebuje wskazówek; jeżeli chce dotrzeć do pałacu, to w końcu tam trafi. I rzeczywiście po pewnym czasie dotarł do długiego kamiennego muru, za którym było widać tylko czubki jakichś drzew. Chciał przejść, ale ku jego zaskoczeniu mur okazał się nieprzepuszczalny. Neil naprawdę go czuł, dotykając go rękami, a w miejscu, gdzie jego dłonie stykały się z kamienną powierzchnią, czuł również dłonie. Przez chwilę stał przyciśnięty do muru, tylko po to, by nacieszyć się wrażeniem, że znowu ma ciało. Ale nie było czasu do stracenia. Z niejaką trudnością wdrapał się na górę, czepiając się rozstępów między kamieniami. Zatrzymał się na chwilę na szczycie, lustrując rozciągający się przed nim park w poszukiwaniu jakichś martwych ludzi. Nie było jednak nikogo. W dali, na wzgórzu pokrytym soczystą trawą, Neil dojrzał pałac, jak klocek lego na horyzoncie.

Zeskoczył na ziemię, znowu nic nie poczuwszy, i ruszył na wzgórze. Kiedy znalazł się bliżej pałacu, zobaczył, że podchodzi do niego od tyłu. Wciąż nie widział żadnych strażników. To musi być najgorzej chroniony pałac, o jakim kiedykolwiek słyszał. Zresztą nie był nawet

pewny, czy w ogóle musi się zakradać. Artemida mówiła mało konkretnie o Hadesie i Persefonie. Z jednej strony, dała mu do zrozumienia, że jeśli złapią go w świecie podziemnym, zniszczą jego duszę, czego zdecydowanie sobie nie życzył. Ale z drugiej sama miała zamiar poprosić ich o pomoc w ratowaniu świata żywych, więc na pewno nie są całkiem źli. Nie mówiąc już o tym, że to oni mogą zwrócić mu Ali-ce.

To pożyteczne podsumowanie w żaden sposób nie wskazywało, jaki kierunek działania powinien by obrać, więc zważywszy że wokół nie było nikogo, kto chciałby go zatrzymać, Neil postanowił po prostu wejść do środka. Zresztą raczej trudno się wkradać, kiedy nikt cię nie zatrzymuje.

Wybrał najskromniej wyglądające drzwi na tyłach budynku i wszedł do ogromnej kuchni z podłogą wyłożoną kamiennymi płytami, pobielonymi ścianami i ogromnym kominkiem. Nigdzie nie było śladu jedzenia ani żadnych utensyliów kulinarnych. Na środku pomieszczenia stał duży drewniany stół, a przy nim siedziała grupa zmarłych, kobiet i mężczyzn, w różnym wieku i stanie. Wszyscy byli zwrócenii ku sobie, a na ich twarzach malowało się głębokie skupienie. Neil próbował prześlizgnąć się obok, ale jeden z nich, stary człowiek osłonięty jak do operacji, z olbrzymią otwartą raną w piersi, zauważył go i zwrócił się do niego:

- Co ty tu robisz?
- Jesteś strażnikiem? - zapytał Neil.
- Nie gadaj głupstw - odparł mężczyzna. - Czy wyglądam na żółtego?
- Eee... nie bardzo - stwierdził Neil.
- Jestem architektem - powiedział mężczyzna. - Czy ty też jesteś architektem?

- Nie - odparł Neil. - Jestem inżynierem.
- W takim razie źle trafiłeś - powiedział mężczyzna. - Skrzydło kuchenne jest tylko dla architektów, inżynierowie są w sali balowej. Chociaż dlaczego oni dostali salę balową, to ja już nie rozumiem. Są tylko konstrukcją, my jesteśmy projektem.

- To ja pójdę - powiedział Neil. - Dziękuję.

- Zwróć uwagę na dywan w głównym holu - odezwała się stara kobieta z końca stołu, kiedy Neil skierował się do wyjścia. - To moje dzieło. Każdy kłaczek wyobrażony oddzielnie.

Neil opuścił kuchnię i ruszył w głąb pałacu, podążając długimi korytarzami wyłożonymi boazerią, aż dotarł do ogromnego holu, którego podłogę pokrywał na jego oko najzupełniej zwyczajny dywan; imponujące schody prowadziły do olbrzymich, obficie pozłaczanych drzwi, strzeżonych przez dwóch mężczyzn w mundurach, których twarze (teraz Neil pojął znaczenie słów architekta) miały odcień mdłej żółci. Domyślił się, że to pewnie tam powinien się skierować.

Dwaj mężczyźni patrzyli na niego z ciekawością, ale bez agresji, kiedy wspinał się ku nim po schodach.

- Dzień dobry - przywitał się Neil.

- Dzień dobry - odpowiedział mu jeden ze strażników.

- Szukam Hadesa i Persefony - wyjaśnił Neil.

- Chyba są w pałacu - powiedział strażnik - ale zajęci, ciągle zmieniają rozkład pokoi. Jesteś architektem?

- Nie - odparł Neil.

- Szkoda - stwierdził strażnik. - Chciałem cię poprosić, żebyś się trzymał takiego ustawienia, jakie pierwotnie wymyśliłeś. To by znacznie ułatwiło nasze życie pozagrobowe.

- To mogę wejść? - zapytał Neil.

- Chcesz wejść do środka? - zdziwił się pierwszy strażnik.
- Na pewno? - dociekał drugi.
- Niekoniecznie chcę - odparł Neil - ale po to tu przyszedłem.
- Cóż, to ma większy sens - stwierdził drugi strażnik.
- Co robimy, kiedy ktoś chce wejść do środka? - zapytał pierwszy strażnik.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł drugi.

- Daj nam chwilę - zwrócił się do Neila pierwszy strażnik. - Normalnie jesteśmy tu po to, żeby nie pozwalać wychodzić.

Strażnicy nachylili się ku sobie i zaczęli naradzać się szeptem. Po chwili chyba doszli do porozumienia, bo odwrócili się z powrotem do Neila.

- Podjęliśmy decyzję - oznajmił pierwszy strażnik. - Wpuścimy cię, ponieważ zabranianie wchodzenia nie leży w naszej gestii. Ale możliwe, że już cię nie wypuścimy. To zależy od rozkazów tych w środku.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził Neil.

- Powodzenia - powiedział drugi strażnik. - Bądź ostrożny. Jesteś bardzo mały.

Strażnicy się rozstąpili, a Neil ruszył do przodu, unosząc ręce, by otworzyć drzwi. Jednakże przeszedł przez nie z dłońmi wyciągniętymi przed siebie jak lunatyk. Usłyszał chichot strażników po drugiej stronie.

Sala tronowa wyglądała znajomo i po krótkiej chwili rozpoznał, że to Sala Lustrzana z Wersalu, który zwiedzał zeszłego lata. Była to olbrzymia półkolistą komnata, o powierzchni kilkudziesięciu metrów, jasno oświetlona przez kryształowe żyrandole, których blask odbijał się w rzędzie wielkich lusterek wiszących na całej długości

ozdobnej, połączanej ściany. Kiedy przyjrzał się bliżej, przekonał się, że nie jest to dokładna replika francuskiego oryginału. Kiedy budowano tę salę w Wersalu, Ludwik XIV zażądał, by umieszczono w niej obrazy i posągi przedstawiające jego osobę w różnych bohater-skich wcieleniach. Hades i Persefona zastąpili je wyobrażeniami samych siebie.

W głębi komnaty znajdowało się podium z dwoma hebanowymi tronami, na których siedziała boska para. Hades był gigantyczny, jego śniada masa wypełniała szczelnie potężny ozdobny tron i jeszcze wylewała się bokami, a ogromna głowa sięgała sufitu. Skórę miał woskowatą i czarną, jakby przysmaloną, ciało rozsadzały mięśnie i wielkie poskręcane liny ściągien. Oczy o twardym spojrzeniu błyszczały niezachęcająco, jak deszcz na drodze w mroźny zimowy dzień. Na widok Hadesa Neil chciał się odwrócić i uciec. Wyglądał jak diabeł - jak śmierć we własnej osobie. Obok niego, absurdalnie śliczna Persefona przypominała lalkę.

- Czy wszedł tu śmiertelnik? - zapytała męża Persefona. - Co za tupet!

- I nawet nie jest martwy - powiedział Hades. - No dalej - zawołał do Neila. - Zbliź się! Przekonajmy się, ile jesteś wart.

Neil ruszył ku nim powoli przez ogromną komnatę.

- Co ty tu robisz, żywa istoto? - zapytał Hades.

- Eee... Artemidy jeszcze nie ma? - zapytał Neil.

- Artemida przebywa w świecie podziemnym? - zapytał Hades, unosząc olbrzymią brew niczym napięty łuk. - Dlaczego Cerber mnie o tym nie zawiadomił?

- A niech to lichy - powiedziała Persefona. - Nie mów mi, że ona się tu kręci. Jak ona zacznie, wszyscy pójdą w jej ślady. Mają w nosie moją prywatność.

- Artemida cię tu przysłała? - zapytał Hades.

Im bliżej podium był Neil, tym silniejsze miał wrażenie, że przy Hadesie on też jest tylko zabawką. Bardzo kruchą zabawką, która wolałaby znaleźć się z powrotem w pudełku.

- Tak - odparł Neil.
- Dlaczego?
- Cóż, głównie dlatego, że zbliża się koniec świata.
- Głównie? - zapytał Hades. - A więc jest i inny powód?
- Noo, tak - odparł Neil - To... sprawa osobista.
- Bardziej osobista niż koniec świata?
- Tak. Chodzi o kobietę.
- Jak zawsze.
- Ma na imię Alice.
- Alice? - Gigantyczne mięśnie Hadesa naprężyły się, kiedy odwrócił się do żony. - Kochanie, znasz jakąś Alice?
- Znam ich miliony - powiedziała Persefona. - Teraz każda kobieta to Alice. Można umrzeć z nudów.
- Nie mogę dać ci milionów Alice - zwrócił się do Neila Hades.
- Nie chcę milionów. Chcę moją Alice. Alice Joy Mulholland. Ma trzydzieści dwa lata. Umarła dwudziestego pierwszego marca tego roku.
- O cholera - powiedziała Persefona. - To już jest wiosna? Powinnam być z powrotem na powierzchni. To takie denerwujące.
- Kochanie, jestem przekonany, że nie musisz tam wracać, skoro świat dobiega końca - powiedział Hades. - Pogoda na pewno jest okropna.
- Czy mogę ją dostać? - spytał Neil.
- Moją żonę? - spytał Hades.
- Alice - powiedział Neil.
- Oczywiście, że nie - stwierdził Hades. - A teraz odejdz, zanim cię zniszczę.

- Ale istnieje precedens - powiedział Neil.

Hades wydał z siebie groźny pomruk. Ściany sali tronowej zadrżały. Neil miał ochotę zrobić krok do tyłu - krok długi na kilometr - ale się nie ruszył. Zacisnął pięści, wybrał jedno z ogromnych oczu Hadesa i utkwił w nim wzrok.

- Jesteś zwykłym śmiertelnikiem - powiedział Hades. - I to nawet nie martwym. Jak śmiesz przychodzić do mojego pałacu i gadać o precedensach?

- Precedensy są bardzo ważne - oświadczył Neil. - Oznaczają, że coś zostało już zrobione, więc można zrobić to jeszcze raz.

- Powinienem w tej chwili pożreć twoją duszę - odparł Hades - tylko że właśnie zjadłem lunch.

- Artemida mówi, że muszę tylko udowodnić, że kocham Alice, i będziesz musiał ją wypuścić.

- Artemida się myli - powiedział Hades. - Zawsze konieczna jest ofiara. Ofiara, próba...

- Może mógłby to być taniec, kochanie - wtrąciła Persefona. - Moglibyśmy kazać mu zatańczyć.

- Persefono, kochanie, proszę - powiedział Hades. - Nie, będziemy musieli przynajmniej uciąć jakieś kończyny.

- Umowa stoi - odezwał się Neil.

- Umowa stoi? - zdziwił się Hades.

- Nie potrzebuję nóg, nie potrzebuję rąk. Weźcie je. Potrzebuję tylko Alice.

- Cóż, to żadna zabawa - stwierdził Hades. - Zdecydowanie za ła-two się zgodziłeś.

- Wciąż uważam, że taniec byłby lepszy - oświadczyła Persefona.

- Chętnie zatańczę - powiedział Neil.

- Nie, nie - zaprotestował Hades. - Coś innego. I proszę przestań już mówić o tańcach, kochanie. Rzecz w tym - zwrócił się do Neila - że

im więcej dostają dusz, tym potężniejszy się stają. Jeśli zabierzesz mi choć jedną, to sprawi mi ból. Nie spodziewam się, żeby śmiertelnik, jak ty, mnie zrozumiał.

- Rozumiem doskonale - odparł Neil. - Mnie zabolalo, kiedy zabrales mi Alice.

- Och, jaki on slodki - powiedziala Persefona. - Dlaczego ty nigdy tak o mnie nie mowisz?

- Wiec jesli to mnie zaboli - ciagnal dalej Hades, ignorujac zone - ja musze sprawic, zeby ciebie tez zabolalo.

Hades siegnal i podniosl Neila jedna reką. Neil czul prawdziwosc Hadesa, i wlasnego ciala w jego dloni. Prawdziwe cialo Neila bylo bardzo, bardzo przestraszone. Ale postanowil nie walczyc. Hades zamknal dlon na jego glowie.

- Zadaj mi bol - powiedzial Neil w palce Hadesa.

- Odbierasz mi w ten sposob cala przyjemnosc - odparl Hades.

- Dla niej, zadaj mi bol - powiedzial Neil. - Zrob, co tylko zechcesz.

Dlon Hadesa zaciskala sie coraz mocniej, po czym nagle rozluznila sie. Hades postawil Neila z powrotem na podlodze przed podium.

- Nie - powiedzial. - Nie warto. Nie mozesz jej zabrac. Przykro mi, do widzenia.

- Czekaj.

- Powiedzialem do widzenia - powtorzyl Hades, machajac w kierunku drzwi.

- Jesli nie chcesz mi jej oddac, to pozwol mi zostac zamiast niej.

- Och, jaki poczciwy chlopak - stwierdzila Persefona.

- Liczba dusz ci sie nie zmieni. Nic cię nie zaboli. Nic nie tracisz. Pozwól jej tylko odejsc, a ja zostane.

- To podziwu godne, że aż tak się stara - upierała się Persefona. - Nie mam nic przeciwko zatrzymaniu go w zamian. Nawet nie znam tej Alice. Wymieńmy ich.

Hades spojrział na żonę, a potem w dół na Neila.

- Mam lepszy pomysł - stwierdził. - Czemu nie miałbyś sam wybrać?

- Wybrać? - zdziwił się Neil.

- Tak. Możesz uratować świat albo uratować Alice. Umieścimy was w jakimś ładnym miejscu na Polach Elizejskich - to najbardziej ekskluzywna dzielnica w tym świecie. Będziecie mogli spędzić razem całą wieczność, dostaniecie ode mnie gwarancję, że nie pojrzę waszych dusz. Będziecie żyli w czystym, niczym niezakłóconym szczęściu aż po kres czasu. Ty i Alice. Razem. Na zawsze. Co ty na to?

- A świat?

- Świat się skończy. Wszyscy zginą. No albo możesz uratować świat, ale wtedy ja zatrzymam dziewczynę.

- Jak to zatrzymasz?

- Zostanie tutaj, ty wrócisz na górę, i już nigdy jej nie zobaczysz. Decyzja należy do ciebie.

- Och, Hadesie, czasem jesteś okropny - stwierdziła Persefona.

- Choć raz siedź cicho, Persefono - powiedział Hades. - A więc, śmiertelniku, co wybierasz? Świat? Alice? Świat? Alice? Świat? Alice?

- Muszę zdecydować teraz?

- Natychmiast.

Neil skinął głową.

- Dobrze - powiedział.

- Jaki jest twój wybór?

- Świat - odparł Neil.

- Świat? - zdziwił się Hades. - Wybierasz świat? Przeszedłeś całą drogę tutaj, do Podziemia, do mojego pałacu, po tę kobietę, ofiarowujesz swoje kończyny, duszę, a jednak wolisz uratować świat?

- Tak - potwierdził Neil.

- Ale dlaczego?

- Każdy kogoś kocha - odpowiedział Neil. - No to ją stracę. Ale wszyscy inni zachowują swoich ukochanych. Ona by tak postąpiła. Poza tym pewnie i tak lepiej jej beze mnie.

Hades się zaśmiał. Nie był to przyjemny dźwięk. Jak krakanie wron świętujących wydłubanie czyichś ładnych soczystych oczu. Neil zamknął swoje. Nie wiedział, co właśnie zrobił, ale jego życie tak czy owak się skończyło.

- Cóż - powiedział Hades - tak się składa, że nie mam mocy ani żeby ocalić świat, ani żeby doprowadzić do jego końca, więc cała ta rozmowa była poniekąd od rzeczy. Ale to piękna odpowiedź. A więc, mówiłeś, że Artemida jest w drodze tutaj? Naprawdę ciekawi mnie, co zrobiła z naszym psem.

37

Artemida musiała przyznać, że pałac jest przyjemny. Irytująco przyjemny, biorąc pod uwagę tę nędzę, którą musiała tolerować w świecie żywych. Nic dziwnego, że Persefona jest zawsze w tak złym nastroju, kiedy wraca na górę; nic dziwnego, że swoim zachowaniem zawsze daje im odczuć swoją wyższość. Tutaj nawet boskość odczuwało się inaczej, jak zanurzenie w czystej, przejrzystej wodzie po kąpielu w mętным strumyku. To nie było w porządku, ani trochę.

Trzeba koniecznie pomówić z Hefajstosem o natychmiastowym remoncie.

Nietrudno było znaleźć Hadesa i Persefonę - wystarczyło po prostu podążać w kierunku, z którego przyciągała ją ich boskość, przez (cóż, jednak nieco jarmarczny, jak się nad tym uczciwie zastanowić) pałac, aż do (ktoś mógłby powiedzieć, niegustownych i pretensjonalnych) drzwi, gdzie dwóch dość zaskoczonych strażników przyjrzało się jej samej, jej śmiertelnicze i jej psu.

- Odsuńcie się - rozkazała Artemida. - Jestem bogini Artemida, bratanica Hadesa, siostra Persefony, a to mój majątek ruchomy. Żądam, żebyście dopuścili mnie przed oblicze moich boskich rodaków, bez których byłibyście tylko prochem i powietrzem.

Strażnicy spojrzeli na siebie nawzajem.

- Co proszę? - zapytał pierwszy.

- Jesteście umówieni? - zapytał drugi.

- Och, po prostu ich wpuśćcie - zawołał głos z wnętrza sali, mroczny i tubalny, jakby ktoś przewracał nagrobki: Hades.

Strażnicy się rozstąpili i drzwi otworzyły się cicho do środka. Artemida, Cerber i Alice przekroczyli próg, a drzwi, równie cicho, zamknęły się za nimi.

- Bądźcie pozdrowieni, towarzysze Olimpijczycy - zaczęła Artemida.

- Daruj sobie formalności - powiedział Hades. - Podejź bliżej, żebym cię widział.

Cała trójka zbliżyła się do podium. Artemida zauważyła, że Alice idzie odważnie i prawie wcale nie drży.

- Urosłeś, wuju - powiedziała Artemida.

- Rosnę z każdą duszą, droga bratanico. Z każdą duszą.

Hades uśmiechnął się szeroko, pokazując długie, ostre zęby. Obok

jego obsceniczej masy mała Persefona przyglądała się Artemidzie z uśmiechem.

- Zupełnie jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz* - stwierdziła Persefona. - Ty jesteś Złą Czarownicą z Zachodu, ta mała śmiertelniczka to Dorotka, a Cerber to Tchórzliwy Lew.

Cerber warknął.

- Albo Toto.

Cerber warknął głośniej.

- To by znaczyło, że wy jesteście Czarnoksiężnikiem - stwierdziła Artemida. - Oszustem z ręczną korbą i kilkoma gwizdkami i dzwonkami.

- Dość - powiedział Hades. - Co ty tu robisz?

- Świat żywych jest zagrożony - odparła Artemida. - Apollo, z sobie tylko znanych powodów - wiecie, jaki bywa porywczy - zgasił słońce, a teraz jest w śpiączce i nie możemy go obudzić. Nie mamy słońca, nie mamy Apollina, i jeżeli nie będziemy współpracować, by utrzymać ziemię przy życiu, nastąpi koniec świata.

- I wtedy wszyscy śmiertelnicy zginą? - zapytał Hades.

- Tak.

- I to źle?

- Cóż... tak... - zaczęła Artemida.

- Ja patrzę na to inaczej - powiedział Hades. - Kiedy nastąpi koniec świata, wszyscy śmiertelnicy zostaną moimi poddanymi.

- Naszymi poddanymi - wtrąciła się Persefona.

- Staną się naszą własnością. My będziemy mieć całą moc, a wy będziecie nikim. Dlaczego mielibyśmy wam pomóc?

- Ponieważ... - zaczęła Artemida. - Ponieważ...

- Ponieważ jeśli wszyscy umrą - powiedziała Alice, robiąc krok do

przodu - nikt się już nie urodzi. Przepraszam, że się wtrącam.

- Proszę - powiedział Hades, dając jej znak, by mówiła dalej.

- Tak więc - kontynuowała Alice - wydaje mi się, że chociaż zostaniesz władcą wszystkich śmiertelników, którzy zamieszkują teraz ziemię, potem już nigdy nie zdobędziesz żadnych nowych dusz. Ani jednej. Wszyscy, którzy w tej chwili żyją, tak czy inaczej umrą w ciągu stu lat, więc tylko przez następne sto lat będziesz niewspółmiernie potężny. Potem zaczniesz tracić moc.

- Spryciara z ciebie - stwierdził Hades.

- Nie powiedziałabym - odpowiedziała mu Alice.

- Oddaj nam Cerbera - zwrócił się Hades do Artemidy - a może pomyślimy o udzieleniu wam pomocy.

- Cerber jest mój - odparła Artemida. - Pokonałam go w walce i teraz należy do mnie. Nie rozstanę się z nim tylko dlatego, byście rozważyli mój postulat.

- Dobrze, skoro tak do tego podchodzisz - powiedział Hades zaskakująco beztrosko. - Ale może w takim razie zamieniłabyś go na to.

Hades sięgnął za swój tron i wyciągnął małą metalową klatkę. A w klatce, skulony na czworakach, siedział Neil.

Alice wytrzeszczyła oczy i już miała się odezwać, ale Neil pokręcił głową, by nic nie mówiła.

- A teraz powiedz mi - zwrócił się do Artemidy Hades - co właściwie sobie wyobrażałaś, sprowadzając do mojego królestwa żywego śmiertelnika?

- On żyje? - zapytała Alice.

Neil skinął głową. Alice się uśmiechnęła.

- Na razie - powiedział Hades.

Uśmiech Alice zgasł.

- Daj nam psa, a dostaniesz z powrotem swojego śmiertelnika - powiedział Hades.

- Nie - odparła Artemida.

- Właśnie! - krzyknął Neil. - Dobrze powiedziane, Artemido!

- Pożremy jego duszę - powiedział Hades.

- Nie! - krzyknęła Alice.

Zrobiła krok w kierunku klatki, ale Artemida złapała ją za rękę, dając jej znak, by nie podchodziła.

- Nie przejmuj się, Artemido, obstawaj przy swoim - powiedział Neil. - Każde kilka sekund z nią jest tego warte.

- Teraz to się już chyba obrazę - stwierdziła Persefona. - Mógłbyś być choć trochę bardziej romantyczny, Hadesie. Ty naprawdę uważasz, że masz mnie na każde zawołanie.

- Neil, nie myśl o mnie, wydostań się z tej klatki i uciekaj - powiedziała Alice.

- Nie mogę - odparł Neil. - Jest nieprzepuszczalna. Nie mogę przejść przez pręty.

- Czy ty jesteś Alice Mulholland? - zapytała Persefona.

- Tak - odrzekła Alice, zastanawiając się, skąd ona to wie.

- Są taką uroczą parą - zwróciła się do Hadesa Persefona. - Nie możesz ich rozdzielić. Powinieneś zjeść ich oboje.

Alice myślała szybko.

- Możesz pożreć mnie, ale Neila powinieneś oszczędzić - oświadczyła. - On jest inżynierem. Bardzo utalentowanym. Jednym z najlepszych w kraju.

- Jakiej specjalności? - zapytała Persefona.

- Budownictwa - odparła Alice.

Persefona zwróciła się do męża:

- Kochanie, czy naprawdę musisz pożerać jego duszę? Nie mogłabym go zatrzymać? Będę się nim zajmować, obiecuję. Wiesz, jak

uwielbiam inżynierów. A szczególnie budowlanych.

- Dam wam Cerbera - odezwała się Artemida - w zamian za śmiertelnika w klatce i dziewczynę, i waszą pomoc.

- Za mnie? - zapytała Alice.

- Ale ja chcę go zatrzymać - jęknęła Persefona.

Hades zastukał palcami w poręcz tronu.

- A na czym dokładnie miałyby polegać ta pomoc? - zapytał.

- Cóż - powiedziała Artemida - trudno powiedzieć. Nie wiem, co się działo na powierzchni, od kiedy ją opuściłam. Ale jeśli wrócicie tam ze mną...

- Nie - przerwał jej Hades. - Nigdy.

- Ale... - zaczęła Artemida.

- Nawet za Cerbera - przerwał jej Hades.

- Ale to tam jesteście nam potrzebny.

- Wykluczone. Ja nie bywam w świecie żywych. To ostateczna decyzja. Rozumiem argument tej małej w kwestii przyszłych narodzin, ale chyba jednak weźmiemy dusze wszystkich śmiertelników, którzy znajdują się teraz na powierzchni, i zakończymy całą sprawę. Przy najmniej będziemy mieli nad wami władzę. Wy już zdecydowanie za długo panoszyście się tam na górze.

- Hades ma rację - powiedziała Persefona. - Świat na powierzchni jest okropny i nie widzę, czemu miałby zasługiwać na ocalenie.

- Ależ Persefono - zwróciła się do niej Artemida - myślałam, że lubisz świat żywych. Kiedyś zawsze narzekałaś na to, że musisz tu wracać.

- Tak było dawniej - odparła Persefona. - W czasach, gdy byliśmy młodzi i potężni i mieszkaliśmy na naszej cudnej górze, a ludzie składali nam ofiary i dawali dużo ładnych rzeczy. Ale teraz jest strasznie.

Starzejemy się i musimy mieszkać w tym obrzydliwym maleńkim domu, i śpiam na podłodze, i nie mogę tam nic robić. Dużo bardziej podoba mi się tutaj, gdzie wszyscy wiedzą, kim jestem, i mogę robić wszystko, na co mam ochotę.

- Z tego co mówiła Persefona, dopuściliście tam do drastycznego obniżenia standardów - zauważył Hades.

- To nie ich wina - włączył się Neil. - Nikt tam w nich nie wierzy. To jasne, że musieli utracić potęgę.

Artemida spojrzała na Neila. Otworzyła usta, po czym zamknęła je. Po czym znów otworzyła.

- Coś ty powiedział?

- Przykro mi, ale to prawda - powiedział Neil.

Przez kilka sekund Artemida stała zupełnie nieruchomo. Potem zwróciła się do Hadesa.

- Nieważne - oświadczyła. - Zmieniłam zdanie. Nie potrzebuję twojej pomocy. Oddaj mi tylko mojego śmiertelnika w klatce i tę dziewczynę, a dostaniesz z powrotem swojego psa.

- Dlaczego tak bardzo zależy ci na tej dziewczynie? - zapytał Hades.

- Masz pojęcie, jak trudno jest znaleźć porządną sprzątaczkę w centrum Londynu? - odparła Artemida.

- Ale przecież mówiłaś, że bez naszej pomocy nastąpi koniec świata? - powiedziała Persefona.

- Może i tak - stwierdziła Artemida - ale zanim to się stanie, będę potrzebowała osoby, która zajmie się odkurzaniem. No więc jak? Umowa stoi?

Hadesowi zwężyły się oczy, kiedy przyglądał się badawczo Artemidzie, starając się dociec, na czym polega podstęp. Ale nie potrafił tego

rozgrzyć. Potem spojrział na swojego skulonego ze strachu ogara piekiel, który wpatrywał się w niego błagalnie. Zwrócił się więc znów do Artemidy.

- Umowa stoi - powiedział.

Alice podbiegła do klatki i rzuciła się na kolana obok Neila, jednocześnie śmiejąc się i szlochając suchymi łzami, całując powietrze, które otaczało jego postać za kratami. Neil wyciągnął rękę i pogłaskał miejsce, gdzie widział jej włosy.

- Ale... - zaczęła Persefona.

- Kochanie, inżynierowie wciąż umierają. Ten też w końcu umrze. Zapewne wcześniej niż później, zważywszy na obecną sytuację. A Cerber jest tylko jeden.

- Nigdy nie pozwalasz mi wziąć sobie tego, co chcę - zaczęła jęczeć Persefona, ale po minie Hadesa widziała, że te drzwi się zatrzaśnięły i żadne walenie ani wrzaski już ich nie otworzą.

- Świetnie - powiedziała Artemida. - To mamy więc ustalone. Słuchajcie, mogłabym skorzystać z waszego telefonu, kiedy wy będziecie uwalniać śmiertelnika z jego pudełka? Muszę zamienić słówko z Hermesem.

- W jakiej sprawie? - zapytał Hades, a oczy znowu mu się zwięzły.

- Och, chcę tylko dać mu znać, że już wracamy.

I Artemida uśmiechnęła się, a ten uśmiech mówił mu, że ona coś kombinuje, ale nie miał pojęcia co.

38

Afrodyta się pakowała. Nie wiedziała, dokąd się wybiera. Wiedziała tylko, że jeśli zbliża się koniec świata, ona nie ma zamiaru zostać tu i czekać. To nie będzie ładny widok, a Afrodyta chciała, żeby wszystko

było ładne. To nie była jej słabość: do tego została stworzona.

Wiedziała, że będzie tęsknić za swoją sypialnią, za różami i filigranami, i łóżkiem w kształcie łabędzia, i tymi wszystkimi ślicznymi lustrami. Będzie też pewnie tęsknić za tą planetą. To takie zmysłowe miejsce: tyle tu rozrywek. Gdziekolwiek się udadzą, mało prawdopodobne, by okazało się tam równie przyjemnie, jako że będą zmuszeni urządzić się bez słońca. Afrodyta uwielbiała pewne powiedzenie śmiertelników: „Wszystko, czego potrzebujesz, to miłość”. Ale rzecz w tym - choć nigdy nie powiedziała tego głośno - że to nieprawda. Gdyby to ona zorganizowała świat, wszyscy uprawialiby tam fenomenalny seks, i gdyby było coś widać, to na pewno byłoby to piękne, ale nikt by niczego nie widział, bo do tego potrzebne jest światło, a światło to nie jej działka. Potrzebowała Apollina, żeby dawał jej światło, światło i ciepło, inaczej wszystkie stworzone przez nią istoty spędzałyby wieczność na uprawianiu zimnego seksu w ciemnościach, a w tym nie ma nic pięknego i... Stłumiła płacz. Gdzie on jest?

Ze zdwojoną energią wróciła do pakowania. Ckliwe rozmyślenia o Apollinie mogłyby wywołać poczucie winy w związku z tym, jak go traktowała. A Afrodyta nie miewała poczucia winy. Nie do tego ją stworzono. A pakowanie, powiedziała sobie, idzie bardzo dobrze, głównie dlatego, że większość jej ubrań robi się niezwykle mała po złożeniu, więc może z łatwością spakować je do małych walizek. Problemem będą buty. Niezależnie od tego, gdzie się teraz miała udać, będzie potrzebować wiele par butów.

Otworzyły się drzwi. Afrodyta podniosła wzrok, przez jedną głupią chwilę mając nadzieję, że może to Apollo, ale to był tylko Eros.

- Och - powiedziała - to ty.
- Nic ci nie jest, mammo? - zapytał Eros.
- Oczywiście, że nic mi nie jest - odparła Afrodyta, składając ubrania dwa razy szybciej.

Eros usiadł na ogonie łabędziego łóżka. Koszula wylazła mu ze spodni i był nieuczesany.

- Nie możesz tracić nadziei, mammo.

- Ja nie tracę nadziei. Kto niby traci nadzieję? Ja się tylko przygotowuję.

Afrodyta wcisnęła kilka garści bielizny do pary botków wysokich po uda i położyła je na dnie następnej walizki.

- Apollinowi nic nie będzie - odezwał się znów Eros. - Artemida go znajdzie.

- Oczywiście, że go znajdzie. Artemida to wspaniała łowczyni. Potrafi znaleźć wszystko.

- Szkoda tylko, że wybiegła tak bez słowa i nie powiedziała nam, dokąd idzie.

- Chyba miała swoje powody - orzekła Afrodyta. - Możesz mi podać jedno pudło zabawek erotycznych spod łóżka?

Eros sięgnął na dół i podał matce jedną z dwóch identycznych różowych półprzezroczystych skrzynek.

- A więc na pewno nic ci nie jest - upewnił się Eros.

- Z całą pewnością.

Afrodyta przesyłała grzechoczącą zawartość skrzynki do walizki.

- I jesteś pełna nadziei?

- Aż się przelewa.

Widocznie przy upadku wcisnął się włącznik jakiegoś wibratora, bo w walizce rozległy się brzęczenia i drgania. Afrodyta zaczęła ją przekopywać w poszukiwaniu winowajcy.

- Rzecz w tym - powiedział Eros. - Rzecz w tym...

- W czym jest rzecz?... Ach, mam go. - Afrodyta wyłączyła niesforne urządzenie.

- Rzecz w tym... - zaczął znowu Eros - że ja tak jakby, no wiesz, tracę nadzieję, no wiesz.

- Och - odparła Afrodyta. Odłożyła wibrator. - Och Erosie, czemu nic nie powiedziałeś?

Zepchnęła walizki na jedną stronę i usiadła na łóżku obok syna, obejmując go i przytulając jego głowę do ramienia.

- Kochanie - powiedziała - przecież wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Ale ty się pakujesz - wymamrotał Eros.

- Pamiętaj, że ja to ja - odrzekła Afrodyta. - Inni może będą szczęśliwi, uciekając w tym co mają na sobie, ale niektóre moje ciuchy są od projektantów. Słuchaj, to, że ja się pakuję, nie oznacza, że musimy odejść, po prostu lubię być gotowa, to wszystko. Nie lubię niespodzianek. I jestem materialistyczną suką. Wszyscy to wiedzą. Nie możesz brać ze mnie przykładu. Przy okazji, nie mów nikomu o tym całym przytulaniu.

- Nie powiem - obiecał Eros w jej obojczyk. - Ale mam, wydaje mi się, że tym razem nam się nie uda. Nic takiego się nigdy dotąd nie wydarzyło. Potrzebujemy Apollina. Bez niego po prostu sobie nie poradzimy.

- Potrzebujemy nas wszystkich - odparła Afrodyta. - Potrzebujemy mnie, żeby dobrze wyglądać, dzięki temu śmiertelnicy mają do czego aspirować. Potrzebujemy Artemidy, żeby popruła kto wie gdzie, tak by się zdawało, że coś robimy z tą sytuacją. Potrzebujemy ciebie, żeby mieć wiarę.

- Ale ja nie mam wiary - stwierdził Eros.

- Cóż, jeśli ty jej nie masz, to nikt inny nie będzie jej mieć - powiedziała Afrodyta. - W tym domu nie zebrało się tylu bogów od

ostatnich urodzin Zeusa i wszyscy latają jak kurczaki bez głów. Ojej, co za potworność. Latają jak sperma szukająca jajeczka, i prawda jest taka, że tylko ty masz jakieś doświadczenie w zakresie wiary, tylko ty wiesz, jak wierzyć w rzeczy, które nie są prawdziwe. Więc lepiej idź tam i zacznij przekonywać wszystkich, że znajdziemy Apollina i że wszystko będzie dobrze, i to ich zajmie, do czasu aż...

- Aż co, mamó?

- Aż rzeczywiście wszystko dobrze się skończy albo spakuję i przygotuję do drogi nas wszystkich. Jesteśmy bogami, Erosie. Znajdziemy jakieś wyjście, nawet jeśli nie będzie nam się ono szczególnie podobało. Zawsze je znajdujemy.

Eros usiadł prosto i skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Masz rację.

- Jak zawsze - podsumowała Afrodyta.

Właśnie wtedy drzwi znów się otworzyły i do pokoju wszedł Hermes.

- Czy nikt tu już nie puka? - zapytała Afrodyta.

- Myślę, że powinniście zejść na dół - powiedział Hermes. - Właśnie zadzwoniła do mnie Artemida.

39

Powrotowi na ziemię towarzyszyło ogromne napięcie. Alice, która dostała wszystko, co chciała, była teraz przerażona, że mogłoby jej to zostać odebrane. Zgodnie z precedensem ustanowionym przez Orfeusza Neila zmuszono, by szedł przed nią, i powiedziano mu, że jeśli się obejrzy, Alice zostanie odesłana z powrotem do świata podziemnego,

na zawsze. W związku z tym przez pierwszą część podróży z pałacu Hadesa i Persefony do stacji metra Alice powtarzała tylko od czasu do czasu „Jestem tu”, bojąc się, że jeśli zacznie rozmowę, Neil się zapomni i odwróci się, by jej odpowiedzieć. Skupiała się więc na tyle ukochanej głowy, brązowych włosach sterczących nad wyszorowanym różowym karkiem, obsypanym piegami, a potem niżej, na delikatnym błękitcie jego szlafroka i, co dziwne, wystających spod niego mankietach dżinsów i adidasach.

Jednakże kiedy otoczyły ich ciemności tunelu, Alice poczuła, że zaczyna wpadać w panikę i nie mogła już dłużej czekać.

- Nie odwracaj się - zaczęła. - Artemido, nie chcę okazać się niewdzięczna, ale troszkę się martwię. Nie mam już ciała. Czy teraz będę duchem?

- Spokojnie - odparła Artemida. - Afrodyta się tym zajmie.

- Afrodyta?

- Tak. Pewnie zrobi cię trochę ładniejszą, niż jesteś teraz, generalnie świetnie jej wychodzi robienie ciał. To ona uczyniła Helenę piękną, i ludzie do dziś o niej tak mówią.

- To bardzo miło - powiedziała Alice - ale wydaje mi się, że Afrodyta nie bardzo mnie lubi.

- Będzie cię lubić, gdy to się skończy - odparła Artemida.

- Ale czy na pewno zgodzi się to zrobić? - zapytał Neil, a w jego głosie słychać było nie mniej niepokoju, niż czuła Alice. - Myślałem, że macie wszyscy oszczędzać moc, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma słońca.

- Teraz już wszystko będzie dobrze - powiedziała Artemida.

- Ale jak to? Zbliży się koniec świata, wciąż nie obudziliśmy Apollina...

- Zaufaj mi.

Przez chwilę szli w ciszy.

- Nie odwracaj się - powiedziała Alice. - Ale przecież nie moge nagle pojawić się żywa. Wszyscy wiedzą, że umarłam. Chyba miałam pogrzeb?

- Cóż, ja nie uczestniczyłem - zwrócił się Neil do Artemidy - ale jestem przekonany, że pogrzeb się odbył, co więcej, informacja o jej śmierci ukazała się we wszystkich gazetach i wiadomościach, przez to że trafił ją piorun. Zamieścili zdjęcie. Wszyscy wiedzą, kim ona jest. Wszyscy wiedzą, że nie żyje.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Artemida.

- Więc nie możemy jej tak po prostu sprowadzić z powrotem.

- Owszem, możemy - upierała się Artemida. - I właśnie to zrobimy.

- Ale...

- Czy nie powiedziałam właśnie, żebyś mi zaufał? - zapytała Artemida.

Kiedy dotarli do końca tunelu, Alice była już tak zdenerwowana, że nie mogła mówić, tylko sporadycznie wykrztuszała z siebie „Jestem”, przerażona, że Neil się obejrzy, by się upewnić. Cała trójka wdrapała się na peron - Neil nie poruszając głową, by nie odwrócić się nawet przypadkiem - i przeszła przez ścianę na stację żywych. Światła wciąż nie było, ale po absolutnych ciemnościach panujących w tunelu cienie nabrały tu jakichś kształtów, co wystarczyło, by Alice poczuła, że jest w znajomym miejscu, którego banalna swojskość otuliła ją niczym miękka rękawiczka.

- Jesteśmy już na miejscu? Mogę na nią spojrzeć? - zapytał Neil, a ból i tęsknota w jego głosie przeniknęły Alice do głębi, tak jakby sama ich doświadczała.

- Nie jestem pewna - odrzekła Artemida. - Nie wiem, gdzie dokładnie znajduje się portal. Myślę, że najlepiej poczekać, aż wyjdziemy ze stacji, dla wszelkiej pewności.

Tak więc mieli przed sobą długą, długą wspinaczkę po schodach do wyjścia, razem, ale wciąż osobno.

Dopiero kiedy w końcu przeszli przez bramki i na wpeł przebiegli, na wpeł wypadli przez kraty na ulicę, Alice uwierzyła, że to się dzieje naprawdę, że dostała drugą szansę, a Neil nareszcie odwrócił się i spojrział na nią; twarz pojaśniała mu z radości i rzucili się sobie w ramiona, przelecieli przez siebie na wylot i wylądowali na zamarzniętym chodniku, a potem podnieśli się i zaczęli się śmiać, i odwrócili się do siebie, i patrzyli na siebie, i patrzyli, i patrzyli, i patrzyli.

- Wyglądasz dokładnie tak samo - wyszeptła Alice, kręcąc głową. W ogóle się nie zmieniłeś.

- No dobra - powiedziała Artemida. - Może byście tak skończyli. Nie mamy dużo czasu. Musimy wrócić do mieszkania Neila i zabrać ciała.

- Ciała? - zdziwiła się Alice.

- Wytlumaczę ci po drodze - powiedział Neil.

Kiedy Neil opowiadał jej o tym, co się stało z Apollem i ze słońcem, Alice starała się słuchać - było to oczywiście bardzo ważne - ale nie mogła skupić się na jego słowach. Jak spalona ziemia deszczem upajała się jego cudownymi rysami, żywym wyrazem oczu - żywym!, czy w świecie podziemnym cokolwiek było żywe? - tym, jak jego skóra napina się i rozluźnia, kiedy mówi, każdym włosem, każdym porcem, wszystkim, co próbowała przywołać - i czego próbowała nie przywoływać - przez cały ten długi samotny czas bez niego. Widziała, jak Neil się w nią wpatruje, i zastanawiała się, czy na jej twarzy widnieje ten sam wyraz zdumienia i oszołomienia.

- Kocham cię - przerwała mu. - Neil, nie mogę czekać, by ci to powiedzieć ani sekundy dłużej. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparł Neil.

- To pięknie - powiedziała Artemida. - Idziemy dalej.

Artemida poprowadziła ich do mieszkania Neila przez

brudne tylne uliczki i ńędzne tanie ulice handlowe, które tworzą zniszczony gmach podtrzymujący lśniąca fasadę Londynu. Pomarańczowe światła latarni odbijały się od metalowych żaluzji pozaciąganych na oknach sklepów i knajp z daniami na wynos, pozamykanych na głucho w obawie przed szabrownikami, rozświetlały strzępy śmieci, unoszące się nad chodnikiem niczym szarłat. W oczach Alice był to jeden z najpiękniejszych widoków w jej życiu.

- Zapomniałam - powiedziała Neilowi - ileż tu jest miejsc, gdzie sprzedaje się jedzenie. Wszystkie te restauracje, supermarkety i małe sklepiki. W świecie podziemnym w ogóle się nie je. Jest kilka barów, jak ten, w którym pracowałam, ale służą one tylko spotkaniom towarzyskim. Nie ma tam żadnego jedzenia - prócz granatów w pałacu - ani napojów - prócz wody z Lete. Tutaj wszędzie jest pełno jedzenia. Szkoda, że nie mogę nic przekąsić. Ani nawet powąchać. Nie wiesz, jak bardzo mi tego brakowało, ledwo pamiętam, czym jest jedzenie.

- Miło słyszeć, jak mówisz - powiedział Neil.

- Mam wrażenie, że nie odzywałam się od lat - odparła Alice. - Oczywiście odzywałam się, ale nie do ludzi, którzy mnie znają. Nie do ciebie.

- Ale nie byłaś tam wcale tak długo - powiedział Neil.

- Czas umarłych - wtrąciła Artemida, nie odwracając się do nich.

- Co to znaczy? - zapytała Alice. - Hermes też o tym wspomniął, ale nie mogłam zrozumieć, o czym mówi.

- Tam na dole czas płynie szybciej niż tutaj - wyjaśniła Artemida.
- Więc jak długo jestem martwa? - zapytała Alice.
- Dwadzieścia sześć dni - odparł Neil.
- Dwadzieścia sześć dni? - powtórzyła. - DNI?
- A myślałaś, że jak długo cię nie było? - zapytał Neil. Kiedy Alice odpowiedziała, jej głos był bardzo cichy.
- Myślałam, że minęły lata.
- I przez cały ten czas byłaś sama? - zapytał Neil, a jednocześnie Alice powiedziała:
- Biedaku, musisz wciąż być w szoku.
- A więc jednak wróciła - stwierdziła Artemida. - Patrzcie, jest i dom. Miejmy nadzieję, że ani ty, ani Apollo nie zamierzacie na śmierć.

40

Dopiero gdy Neil wrócił do swojego ciała, uświadomił sobie, jak bardzo jest zimne. A przecież zegarek wskazywał, że nie było ich za ledwie kilka minut.

- Ile mamy czasu? - spytał Artemidę.
- Teraz, w świecie żywych, nie za dużo - odparła, po czym odwróciła się i pośpiesznie wyszła z pokoju.

Tymczasem Alice rozglądała się po sypialni, jakby nigdy dotąd jej nie widziała.

- Słowo daję, mam wrażenie, że minęły lata - powiedziała. - Zapomniałam, jak wygląda twoja sypialnia. A przecież byłam tu kilka tygodni temu. Jak to możliwe, że to tylko kilka tygodni?

Artemida wróciła. Przewiesiła sobie przez ramię nieruchome ciało Apollina jak ciężką futrzaną narzutę.

- Chodźcie. Musimy się pośpieszyć.
- Dokąd idziemy? - spytała Alice.
- Na Trafalgar Square.
- Dlaczego tam? - spytał Neil.
- Bo tam są wszyscy.
- Jacy wszyscy? - drążył Neil.
- Wszyscy - odparła Artemida. - Ruszcie się.

Neil włożył swoje najcieplejsze swetry i kurtkę i jeszcze trochę ciepłych ubrań spakował do torby.

- Po co ci to? - zagadnęła Alice.
- Dla ciebie - odparł Neil. - Kiedy odzyskasz ciało. Uśmiechnęli się do siebie.

- Czy bylibyście łaskawi przestać się nad sobą rozpadać i pośpieszyć się? - wtrąciła Artemida. - Wszyscy wiedzą, że jesteście zakochani, ale na wypadek, gdybyście nie zauważyli, przypominam, że świat właśnie się kończy. Miłość może poczekać.

Wyszła w sposób, który miał być dostojny, chociaż cokolwiek popsuła efekt, zahaczając dyndającą głową Apollina o framugę drzwi.

- No, chodźcie - zawołała zza progu.

Fakt, że Neil odzyskał ciało, znacznie spowolnił ich marsz. Alice nadal przemieszczała się tuż nad chodnikiem, nie czując niczego, a Artemida, jak przystało bogini i łowczyni, kroczyła pewnie mimo niewiarygodnego ciężaru, jaki przyszło jej dźwigać. Neil natomiast ślizgał się na lodzie, tracił równowagę i nadaremnie próbował się rozgrzać. Na domiar złego wskutek ogólnej paniki i korków transport publiczny nie funkcjonował, nie było też ani śladu taksówki. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko przejść pieszo całą drogę z Hackney do centrum, a z każdą minutą robiło się coraz zimniej. Neila i Alice nie martwiła jednak szczególnie konieczność tego spaceru, gdyż dzięki

temu mogli omówić wszystkie zaległości z ostatnich czterech tygodni / kilku lat, zanim będą musieli się skupić na poważnej kwestii ocalenia świata. Mimo to Neil nie mógł się powstrzymać, by nie spytać, czy nie byłoby lepiej, gdyby tę część podróży odbyli jeszcze w czasie umarłych.

- Wiem, że to denerwujące - odparła Artemida - i wiem, że jest ci zimno, ale potrzebuję waszych ciał, twojego i Apollina. Szkoda, że nie mogłam obudzić Apollina w domu, ale jestem jeszcze za słaba.

- Jak to „jeszcze”? Myślałem, że cały czas słabnie.

- Już nie.

Trafalgar Square usłyszeli, zanim się na nim znaleźli: odgłos zbiorowych rozmów, raczej gniewne buczenie niż szum, oraz towarzyszący mu oczywiście - czy londyńscy w ogóle mogliby się zgromadzić bez tego - dźwięk bębnow, na których grali biali ludzie z dredami. Neil był wyczerpany; maszerował już ponad dwie godziny, a temperatura spadła znacznie poniżej zera. Całą energię zużywał na to, by nie wystygnąć.

- Jak Apollo się obudzi i zobaczy, co się dzieje ze światem bez niego, będzie już zupełnie nie do zniesienia - zauważyła Artemida, przerzucając sobie ciało brata na drugie ramię. - Takie dramatyczne efekty to jego żywioł. Gdybym to ja wpadła w śpiączkę, skutki nie byłyby może tak spektakularne, ale niemal równie katastrofalne.

- Na przykład? - spytał Neil.

- Przy pływy i odpływy by się pomieszały. To bardzo ważne zjawisko. Spytajcie Posejdona. Kobietom rozregulowałby się cykl menstruacyjny. Po ulicach błąkałyby się dzikie zwierzęta. A ludzie uprawialiby seks gdzie popadnie.

- To straszne - powiedział Neil, a Alice się zaczerwieniła.

Do tej pory ulice były opustoszałe, ale gdy weszli na St Martin's Lane, dostrzegli obrzeża tłumu gromadzącego się na Trafalgar Square. Wraz z nimi zdążało w tamtą stronę jeszcze kilku zakutanych w grube płaszcze, czapki i szale maruderów, którzy nie objawiali najmniejszego zdziwienia osobliwym widokiem pięknej kobiety bez wysiłku dźwigającej przetrzucone przez ramię nieruchome ciało. Najwyraźniej ludzka tolerancja dla osobliwości w ciągu ostatnich paru godzin wybitnie wzrosła.

- Nieźle. - Artemida objęła spojrzeniem tłoczących się śmiertelników, którzy w jej oczach wyglądali zapewne jak termyty gramolące się na pagórek. - Im więcej świadków, tym lepiej. Teraz musimy się dostać do kolumny.

- Nie przedrzemy się przez ten tłum - zmartwił się Neil.

- O ty, istoto małej wiary - zgañiła go Artemida.

Zwodniczo niedbałym gestem machnęła ręką, na której nie trzymała Apollina. Tłum rozstał się przed nią, najwidoczniej nieświadomy, co robi.

- Zupełnie jak Mojżesz w Morzu Czerwonym - zauważyła Alice.

Artemida się skrzywiła.

- Bardzo proszę bez tych biblijnych porównań. To oni naśladowali nas, nie na odwrót.

Wszyscy troje ruszyli korytarzem między falującą masą pod kolumnę Nelsona.

- Pamiętaj - powiedziała Artemida - że oni widzą Neila, ale ciebie nie.

- Tak, pamięć... - Alice nagle urwała. - Przecież to moja kuzynka. Neil, to moja kuzynka. To Emma. Co ona tu robi? Mogę z nią porozmawiać? Artemido, mogę z nią porozmawiać?

Artemida pokręciła głową.

- Ona cię nie widzi. Idziemy. Nie mamy za dużo czasu.
- A to sprzątaczką z mojej agencji - Alice wycelowała palec w tłum. - A tam jest mój dawny szef!

- Wszyscy, którzy tu są, znają Alice - powiedziała Artemida. - Albo osobiście, albo z gazet czy z telewizji. Hermes jest bardzo skuteczny.

- Hermes? - zdziwił się Neil.

- Tak, to on ich tu zgromadził. Po to dzwoniłam do niego z pałacem.

- O mój Boże - Alice przytknęła dłoń do ust. - Tam są moi rodzice. Proszę, Artemido, proszę. Musisz mi pozwolić z nimi porozmawiać. Skoro Neil mnie widzi, to czemu oni nie mogą? Nie możesz czegoś zrobić, żeby mnie zobaczyli?

- Jeszcze nie teraz, Alice - odparła Artemida. - Musisz być cierpliwa. I proszę, nie mów „o mój Boże”.

- Mamo! - Alice machała ręką. - Tato! To ja, Alice!

Byli zaledwie parę metrów od nich, ale rodzice nie odwrócili się. Nadal patrzyli przed siebie niewidzącym wzrokiem. Matka Alice sprawiała wrażenie wychudzonej i wyczerpanej. Jej mizerną twarz przysłaniał gruby szal i czapka. Ojciec obejmował ją opiekuńczym gestem i tulił do siebie, chroniąc od zimna i bogowie wiedzą czego jeszcze.

- Tak bym chciała móc im powiedzieć, że nic mi nie jest.

- Już niedługo. No dobrze. Jesteśmy na miejscu.

Dotarli na środek placu, do słynnej wysokiej kolumny strzeżonej przez olbrzymie lwy, teraz, w mroku, dziwnie groźne. Kolumnę odgradzały przed naporem tłumu barierki. W zgromadzonych u jej stóp postaciach Alice rozpoznała wszystkich bogów, u których sprzątała. Było tam również kilka innych osób, których nigdy dotąd nie widziała,

ale które zdawały się należeć do towarzystwa. Artemida wpuściła ich do środka i zamknęła za nimi barierkę.

- Dzień dobry - powitała Alice bogów.

Nie zareagowali.

- Czy oni też mnie nie widzą? - spytała Artemidę.

- Widzą. Po prostu mają cię w nosie.

Artemida ostrożnie złożyła ciało Apollina na stopniu przed kolumną. Pierwsza podbiegła do niego Afrodyta, za którą lojalnie podążał Hefajstos. Ukłękła u boku kochanka.

- Nic ci nie jest? - spytała, ale on ani drgnął. - Artemido, gdzie on był? Gdzie go znalazłaś?

- Mógłby ktoś pomyśleć, że masz nieczyste sumienie, mamó - zauważył Eros, podchodząc do niej.

- A ty znów z tym swoim sumieniem - rzuciła Afrodyta. - Widzę, że wróciłeś do dawnych obyczajów.

Nagle wszyscy bogowie zaczęli mówić naraz.

- Nie zamierzasz mu jakoś pomóc? - zwróciła się Demeter do Artemidy. - Co masz zamiar zrobić?

- Zaraz zobaczycie - odparła Artemida.

- Cześć - powiedział Ares, podchodząc do Alice i Neila. - Miło widzieć was razem. Po tamtej kłótni martwiłem się, że trochę mnie poniosło.

- Nie przejmuj się - odpowiedział Neil. - Wszystko w porządku.

- Miałś udany urlop? - zagadnął Ares Alice.

- Nie za bardzo.

- Och, ale zawsze to jakaś odmiana. Ja osobiście nigdy nie mogę wziąć urlopu. Gdziekolwiek pojedę, zaraz wybucha tam wojna, a wtedy to już nic tylko praca, praca, praca.

- Widzę, że odnalazłaś swoją sprzątaczkę - zwrócił się do Artemidy Hermes. - Jak poszło tam na dole? Cieszę się, że wróciliście wszyscy cali i zdrowi.

- Sprzątaczką nie jest cała - odparła Artemida - i nie będzie, dopóki nie zrobimy porządku z tym pieprznikiem. Naprawdę należy jej się ode mnie ciało.

- Co z Hadesem i Persefona? - zapytał Hermes.

- Odmówili, nie przyjdą - odparła Artemida.

- A Cerber?

- Stoczyłam z nim walkę. I wygrałam. Wymieniłam go na dziewczynę.

Hermes uniósł brwi.

- Dobra robota.

- Twój heros też się przydał.

- Czy nadal jestem wariatem? - spytał Zeus, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

- Tak, kochanie - powiedziała Hera, trzymając go mocno za ramię.

- Zaraz, czy ja nie zabiłem tej dziewczyny? Powinienem ją znowu zabić?

- Raz w zupełności wystarczy - odparła Hera.

- Artemido - odezwała się Atena - jestem zmuszona podkreślić, że wszelkie skierowane do zgromadzonych tak licznie rzesz społeczeństwa enuncjacje, jakie mogłaś przedsięwziąć, wymagają starannego przygotowania strategicznego w celu uzyskania możliwie najszerszej ekspozycji i precyzji środków wyrazu, by zmaksymalizować oddziaływanie...

- W porządku, Ateno - przerwała jej Artemida. - Wiem, co robię.

- Czy ktoś ma ochotę na drinka? - spytał Dionizos.

- Tak, ja. Dziękuję - powiedziała Artemida.

- Ty? - zdziwił się Dionizos.

- Ten jeden raz myślę, że dobrze mi to zrobi - oświadczyła Artemida, wyjęła mu z ręki butelkę i pociągnęła tęgiego łyka.

- No dobrze - rzekła. - Jestem gotowa. Zaczynamy.

Weszła po stopniach pod samą kolumnę Nelsona i dała znak Alice i Neilowi, żeby poszli za nią.

- Wy dwoje we mnie wierzycie, prawda? - spytała.

- Oczywiście - odparła Alice.

- Po tym wszystkim, co się stało? - dodał Neil. - Wierzę w ciebie ślepo.

Artemida wchłonęła moc ich wiary niczym przyływ czystego tlenku. Potem zwróciła się do tłumu.

- Śmiertelnicy - przemówiła.

Nie podniosła głosu, a jednak każda istota w rozciągającym się przed nią morzu śmiertelności usłyszała ją i zwróciła ku niej twarz. Widząc te tysiące zaciekawionych oczu, Artemida przez chwilę pożałowała, że nie włożyła na tę okazję czegoś bardziej efektownego niż stary dres, ale było już za późno, żeby się o to martwić. Poza tym taka myśl mogłaby przyjść do głowy Afrodycie, a tym samym była poniżej jej poziomu.

- Nadeszły dziwne czasy - przemówiła Artemida do tłumu. - Wasze słońce znikło. Zatonęliście w ciemności i chłodzie i pewnie się zastanawiacie, czy to wasze ostatnie chwile.

Z tłumu zerwał się głośny pomruk, ale Artemida uciszyła go ruchem ręki.

- Może tak - oznajmiła z naciskiem - a może nie. To zależy od was.

Teraz pomruk dobiegł ją od strony bogów, którzy woleli myśleć, że o sprawach takich jak koniec świata decydują oni.

- Zamknijcie się - syknęła Artemida do swojej rodziny. - To zależy od was - zwróciła się ponownie do tłumu. - Wy wybieracie. Musicie się zdecydować, czy uwierzyć, czy nie.

- Uwierzyć w co? - krzyknął ktoś z tłumu.

- Ja wierzę w to, co widzę - krzyknął ktoś inny. - A teraz nie widzę nic szczególnego.

- Gdzie jest słońce? - dorzucił trzeci głos.

Reszta tłumu podchwyciła to pytanie jak refren.

- Gdzie jest słońce? - skandowali. - Gdzie jest słońce? Gdzie jest słońce?

Artemida znowu podniosła rękę i skandowanie ucichło.

- Neil wam wszystko wyjaśni - zapowiedziała.

- Co?! - zdumiał się Neil.

- A kto to, kurwa, Neil? - zawołał znowu ktoś z tłumu.

- Dalej - powiedziała Artemida. - Opowiedz im o wszystkim, co się wydarzyło. Mnie nie posłuchają.

- Ale... Ale ja nie potrafię.

- Owszem, potrafisz. Jesteś urodzonym kaznodzieją.

- Kaznodzieją? Ja? Artemido, przecież wiesz, jak nienawidzę takich rzeczy.

- Tak, ty. Posłuchaj, dopóki nie poznałam ciebie, myślałam tak jak inni bogowie, że tracimy moc, bo się starzejemy.

- A nie jest tak? - spytała Alice.

- Nie - odparła Artemida. - Neil, to ty się zorientowałeś, że nie tracimy mocy ze starości, tylko dlatego, że nikt już w nas nie wierzy.

- Nie wiedzieliście o tym? - zdziwił się Neil.

- Niewykluczone, że to właśnie to przez cały czas usiłowała nam powiedzieć Atena - przyznała Artemida - ale jasność wypowiedzi nie jest jej najmocniejszą stroną. Tak czy owak, ponieważ ty, i tylko ty znasz prawdę, i ponieważ jesteś ostatnią osobą, którą można byłoby posądzić o wiarę w nas... Nie ma sensu, żebym ja ich przekonywała, że jestem boginią. Nic z tego nie wyjdzie. To musi być śmiertelnik. To musisz być ty.

- Ale ja nie potrafię - upierał się Neil. - Jestem beznadziejnym mówcą. Spójrz na mnie. Nie mam odpowiedniej prezencji. A tu są setki ludzi. Tysiące. I posłuchaj ich tylko!

- Kto to, kurwa, Neil? - skandował tłum. - Kto to, kurwa, Neil?

- To będzie bardzo proste - zapewniła Artemida.

Neil uniósł brwi.

- Wierz mi, zrobię, co do mnie należy - ciągnęła. - Ale najpierw musisz im powiedzieć o Alice. Byłeś przy jej śmierci. I byłeś przy tym, jak ją ożywiłiśmy.

- Ale... - zaczął Neil.

- Neil. Jesteś herosem. Zrób więc, co do ciebie należy.

- Neil - powiedziała Alice. - Zrób to.

- Okej - powiedział Neil. - Postaram się.

- Wypadniesz fantastycznie - zapewniła go Alice. - Wiem to.

Neil zwrócił się do tłumu i przelknął ślinę. Było tam cholernie dużo ludzi i to niezbyt zadowolonych. Czuł, że cały drży, a dłonie mimo zimna miał mokre od potu.

- Cześć - powiedział. - Neil to, kurwa, ja.

Ten i ów się zaśmiał i skandowanie ucichło.

- Nie znacie mnie, ale znacie moją przyjaciółkę, Alice.

Alice coś szepnęła.

- Moją dziewczynę, Alice - poprawił się Neil i uśmiechnął się do niej, albo, z punktu widzenia tłumu, do pustego miejsca obok siebie.

- Alice Mulholland. To ta dziewczyna, która kilka tygodni temu zginęła od uderzenia pioruna.

Jego słowa płynęły równie gładko jak przedtem słowa Artemidy. Zerknął na nią, a ona mimo widocznego skupienia posłała mu uśmiech.

- Byłem przy tym - ciągnął Neil. - To był najgorszy dzień w moim życiu.

Na samym przedzie dostrzegł rodziców Alice. Matka wtuliła się w ramię ojca i płakała.

- Tak bardzo ją kochałem, a wiedziałem, że już nigdy jej nie zobaczę.

Tłum zastygł w ciszy i bezruchu. Zamilkły nawet bębny.

- Ale, jak się okazało, byłem w błędzie.

- Co to znaczy? - krzyknął ktoś z tłumu.

- Chodzi mu o to, że zobaczy ją w niebie! - odkrzyknął inny głos.

- Wszyscy umrzemy! - zawołał jeszcze ktoś.

W odpowiedzi rozległ się czyjś wrzask i ludzie ze środka zaczęli przepychać się na boki. Hałas potężniał w miarę narastania paniki.

- Uciekajmy!

- Ale gdzie?!

- Nie! - krzyknął Neil machając rękami. - Nie o to mi chodziło. Proszę, uspokójcie się! Posłuchajcie! Nie umrzemy! To znaczy, nie teraz.

Za jego plecami Artemida wyęzła się ze wszystkich sił, by pomóc mu uspokoić tłum. W końcu ludzie ucichli, choć na ich twarzach nadal malowały się popłoch i dezorientacja.

- Przepraszam - powiedział Neil. - Nie jestem w tym dobry. Ale proszę, zostańcie i posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia.

Urwał. Ludzie słuchali, więc ciągnął dalej.

- Mówiąc, że byłem w błędzie w sprawie Alice, miałem na myśli, że jednak ją zobaczyłem. Dzisiaj. Dziś po południu, po tym, jak słońce zgasło, poszedłem razem z Artemidą - oto ona... no więc zeszedliśmy do świata podziemnego. Do krainy zmarłych. Wiem, że mi nie uwierzycie. Sam bym w to nie uwierzył. Poszedłem szukać Alice i znalazłem ją. I przyprowadziłem z powrotem. Wy jej nie widzicie. Ale ona

tu stoi, tuż obok mnie.

Uśmiechnął się do Alice, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Ale w tłumie nikt się nie uśmiechał. Znowu rozległy się okrzyki:

- Pieprzysz! Gównno prawda!
- Gdzie jest słońce? Gdzie jest słońce?
- Kto to, kurwa, Neil?

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - przekrzykiwał ich Neil. - Ale zastanówcie się. Kto by wczoraj pomyślał, że słońce zniknie? Nie jest tak, jak nam się wydawało. Chcę przez to powiedzieć, że istnieją bogowie, prawdziwi bogowie, i chodzą po świecie razem z nami. Znam ich. I wy też. To są właśnie te osoby, które stoją tu przed wami. Zaufajcie mi. Zaufajcie im. Oni zwrócili mi Alice i oni też zwrócą nam słońce.

Tłum zaczął buczeć i syczeć. Znow odezwały się bębny, tym razem agresywnie. Poszybowały pociski: monety i puste butelki.

- Świetnie, Neil - powiedziała Artemida. - Wprost wspaniale.
- Wspaniale? Żarty sobie robisz? Popatrz na nich.

Tuż obok jego głowy przeleciała puszcza po piwie.

- Możesz już zejść - oświadczyła Artemida. - Teraz moja kolej. Mam tylko nadzieję, że starczy mi sił.

Zwróciła się do tłumu.

- To prawda. Alice jest tutaj.

Zrobiła krok naprzód i wyciągnęła rękę w stronę miejsca, gdzie stała Alice. Przez parę sekund nic się nie działo. Potem tłum nagle ucichł.

Artemida odwróciła się do Alice.

- Teraz cię widzą.

- A czy mnie usłyszą?

- Tak, usłyszą.

- Mamo! - krzyknęła Alice. - Tato! Wszystko w porządku! Oni mnie wskrzesili! Nic mi nie jest! Żyję, jestem zdrowa! Kocham was!

Wybuchła wrzawa. Przyjaciele i rodzina Alice zaczęli się przepychać ku barierkom, wołając ją i płacząc. Pozostali wrzeszczeli i wiwatowali.

- Nie pozwól im się zanadto zbliżyć - ostrzegła Artemida. - Nie masz jeszcze ciała.

Ale wypowiedziała te słowa z najwyższym trudem. Potężna fala wiary napływająca od tłumu powaliła ją i wypełniła mocą. Poczula, że odżyła, narodziła się na nowo. Że jest nieśmiertelna. Dookoła słyszała westchnienia i jęki innych bogów, tak jak ona przepędnionych ekstazą, jakiej żadne z nich jeszcze nigdy dotąd nie zaznało. Jej skóra jędrniała w oczach, z dłoni znikaly bruzdy i zmarszczki. Mięśnie objęły kości ciasnym uściskiem, a krew wystrzeliła do naczyń, niosąc jej członkom wigor i energię, a umysłowi jasność.

- Teraz... - jęknęła. - Aaach... zaczyna się.

Nie bez trudu obejrzała się na swoją rodzinę u stóp kolumny. Siwe włosy pociemniały, mięśnie napęczniały, zmarszczki się wygładziły. Niemal tryskali światłością. Nowy Zeus wyłonił się ze starej powłoki niczym motyl z na pozór martwej poczwarki: ze zniszczonego żywego szkieletu narodził się muskularny, promienny, urodziwy mężczyzna o błyszczących oczach i falujących włosach.

- Moja rodzinno! - zawołał - Wróciłem!

Wokół niego bogowie rozkwitali jak kwiaty.

- To właśnie ciągle wam powtarzałem - stwierdził Eros. - Wiara śmiertelników...

- To niesamowite! - krzyknęła Afrodyta. - To lepsze niż seks! Artemido, ty dziwko, to z tym się cały czas czaiłaś?

Artemida podźwignęła się i zwróciła do tłumu, obserwującego przemianę bogów w osłupieniu, z szeroko otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami.

- A teraz - obwieściła - czas na słońce!

Zbiegła po schodkach i dołączyła do pozostałych bogów.

- Afrodyto - powiedziała - zwróć tej śmiertelniczce jej ciało, szybko, zanim ludzie ją dopadną. Co prawda ją widzą, ale jeśli jej dotkną, zanim będzie czego, pomyślą, że to iluzja, i przestaną wierzyć. Wszyscy inni do mnie: budzimy Apollina.

Afrodyta odłączyła się od grupy i pośpiesznie podążyła do Alice. Rodzice byli już tylko kilka metrów od niej, a ona płakała bez łez, z wyciągniętymi przed siebie rękami, wykrzykując wyrazy miłości do wszystkich, którzy desperacko parli naprzód, by jej dosięgnąć. Lada moment sforsują barierki. Neil stał kilka stopni przed nią, gotów interweniować, gdyby ktokolwiek podszedł za blisko, ale nie mógł się powstrzymać, by się co chwila nie odwracać i nie spoglądać w jej twarz, jaśniejącą szczęściem i wdzięcznością.

- No, Alice - zagadnęła Afrodyta. - Chcesz być bardzo urodziwa? Chciałabyś się pozbyć jakichś wypukłości, a może cellulitu? Masz okazję...

- Nie, dzięki - odparła Alice. - Jestem zadowolona z siebie.

Afrodyta wyciągnęła rękę i dotknęła jej - naprawdę dotknęła. Alice gwałtownie wciągnęła powietrze i zachwiała się, przytłoczona nagłym doznaniem siły ciężenia, które powróciło do niej wraz z ciałem w całej jego doskonałej niedoskonałości. Potem podbiegła do Neila, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała w usta. Gdy oddawał

jej pocałunek, jej rodzice w końcu przedarli się przez barierki i wbiegli po schodkach, śmiejąc się, płacząc i wyciągając ku niej ramiona. Alice, trzymając za rękę Neila rzuciła się do nich, a po jej twarzy płynęły prawdziwe łzy.

- Wróciłam - łkała. - Wróciłam, wróciłam.

Tymczasem bogowie zgromadzili się wokół Apollina.

- O tym właśnie usiłowałam was poinformować! - mówiła Atena.

- Wiedza była przez cały czas dostępna!

Ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Jesteś pewna, że to się uda? - spytał Hermes. - Zwrócić siły witalne bogu... trzeba do tego wielkiej mocy.

- A nie czujesz jej? - odpowiedziała pytaniem Artemida.

- No tak, czuję, ale...

- Przecież cały czas wam to mówiłam! - wrzeszczała Atena, ale nikt jej nie słuchał.

- Weźcie się za ręce - poleciła Artemida.

Ujęli się za ręce nad rozciągniętym na ziemi ciałem Apollina.

- A teraz wszyscy razem. Na trzy. Raz. Dwa. Trzy...

Apollo otworzył oczy. I weszło słońce.

Epilog

- Musimy ich wszystkich zapraszać?

Neil siedział na łóżku. Obok niego piętrzył się stos zaproszeń.

- Naturalnie, że musimy - odparła Alice.

- Nawet Hadesa i Persefonę?

- Hades nie przyjdzie, i dobrze, ale byłoby miło, gdyby Persefona się pojawiła. Uważała, że jesteście uroczą parą, pamiętasz?

Alice odłożyła szczoteczkę do zębów, wróciła do sypialni i usadowała się na swojej połowie łóżka.

- W tej koszulce nocnej wyglądasz bardzo seksownie - Neil powiódł dłonią po atlasie.

- Neil. Najpierw zaproszenia. Skup się.

Alice ujęła go za rękę i przeniosła ją na jego połowę łóżka.

- Dobrze. - Neil wziął długopis i następne zaproszenie. - Afrodyta i Hefajstos.

- Napisz na ich zaproszeniu, żeby Afrodyta przyszła bez komórki.

- Ciągłe pracuje w sekstelefonie?

- Teraz za darmo - wyjaśniła Alice. - Uważa to za służbę publiczną.

- Hermes - rzekł Neil.

- Już potwierdził.

- Przecież nawet jeszcze nie wysłaliśmy zaproszeń.

- On zawsze musi być pierwszy.

- Zeus i Hera.

- Będziemy musieli trzymać go z daleka od drухen - stwierdziła Alice. - Ale przecież nie możemy pobrać się bez niego.

- Jeśli on przyjdzie, to przyjdą też wszyscy paparazzi. To przecież władca bogów!

- Hermes będzie ich trzymał na dystans.

- Dobrze. - Neil zaadresował zaproszenie. - Demeter dostarcza kwiaty, więc na pewno będzie, no i oczywiście Eros.

- Rozmawiałeś z nim o szczegółach ceremonii?

- Tak, dzwoniłem rano. Chętnie się zgadza, żebyśmy sami ułożyli tekst przysięgi, ale ciągle ma opory co do samej uroczystości. Ciężko mu się pogodzić z tym, że nie jest już chrześcijaninem. Ciągle mu

chodzą po głowie wszystkie te kawałki o Jezusie.

- Na pewno świetnie sobie poradzi. A co z Dionizosem, czy mówił już coś na temat muzyki?

- Tak, powiedział, że może przynieść własne gramofony i pytał też, czy ma dostarczyć wino na wesele.

- Mam nadzieję, że podziękowałeś.

- Poprosiłem tylko o jedną butelkę, na noc poślubną.

- Och, jesteś bardzo niegrzeczny.

- Jeśli nie chcesz, to mogę mu powiedzieć, żeby nie przynosił.

- Nie, nie. Niech przyniesie...

- No to kto jeszcze? - spytał Neil.

- Atena. No i powinniśmy też wysłać zaproszenie Aresowi, chociaż on nie przyjdzie, jak powiedział, dla naszego dobra. Zresztą ma jeszcze na głowie mnóstwo wojen. To naprawdę okropne, myślałam, że takie rzeczy powinny się już teraz skończyć.

- Pod rządami tej bandy? Mało prawdopodobne. A co z Artemidą? Zgodziła się być starościna?

- Tak, ale strasznie wydziwia z suknią. I chce przyjść z psami.

- Powiedz, żeby je zostawiła w domu. Ma teraz wystarczająco duży ogród.

- Och, Neil, nie bądź małostkowy. Ona tak kocha te psy. Może niech weźmie chociaż jednego, żeby poprowadził orszak.

- Masz strasznie miękkie serce.

- I za to mnie kochasz.

- Niech będzie. Artemida i jeden pies. Wobec tego zostaje tylko...

- Apollo - powiedziała Alice.

- Słynny na cały świat Apollo. Gwiazdor jasnowidz. Artysta rockowy. Gawędziarz. Międzynarodowy playboy.

- Zaproś go - zdecydowała Alice.

- Chcesz tego? Po tym wszystkim, co narobił?

- Oczywiście, że chcę. Zresztą rozmawiałam z Erosem. Może moglibyśmy mu pomóc znaleźć sobie na weselu nową dziewczynę.

- Alice...

- Daj spokój, Neil! Nic nie ryzykujemy. Właściwie to myślałam konkretnie o twojej siostrze. Dawno się z nikim nie spotykała, co ty na to?

- Alice!

Neil rzucił się ku niej i pocałował ją, roześmianą, a zaproszenia sfrunęły na podłogę. Alice oblała się żywym rumieńcem, który powędrował w górę jej szyi i aż po czubki uszu.

